# ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVI. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXII.

TOM II. — ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA.

1891.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

# SPIS RZECZY.



---


*Druk ukończono dnia 9 maja 1891 r.*



# DZIELNA KOBIÉTA.

## POWIEŚĆ.

Halce Krasnopolskiéj—Autor.
Braciejowa, 5 marca 1891 r.

### I.

Masa nieruchomego powietrza, wypełniona złotem promieni, przygniatała drzémiące fale jeziora, rozlane po brzegi ciemnego lasu i zieloną ławę łąk. Kolumna zbitéj trzciny, ozdobiona czarnemi pałkami, stała na straży od południa.

Tafla jeziora gładka, migocąca od dotknięć słońca, wypełniła cały krajobraz, tak że białe ściany wielkiego dworu, szare chaty wioski i stare lipy parku, ginęły wobec masy wody, rozpływając się w niebieskawym kolorycie powietrza przesyconego parą, drgającego ciepłem i światłem.

Wielka cisza letniego upału roztoczyła swe skrzydła i zawisła. Świat, tonąc w żarach słońca, zamierał w senném odrętwieniu. Jedyny gość na niebie, jastrząb, ukazał się raptowie, zamajaczył i po chwili utonął w lazurach.

Ciszę przerywał plusk ryb i szelest liści spadających na wodę.

O zachodzie kula ognista, nurzając się w przezroczystéj fioletowéj przestrzeni, rzucała po za sobą czerwone smugi. Powoli budziło się życie i rozweselało świergotem ptaków, rykiem bydła, odgłosem wesołéj wrzawy.

Noc przychodziła, kładąc zwolna na niebie i ziemi ciemności. Wita ją monotonna, tęskliwa muzyka żab na dole—w górze roziskrzone gwiazdy, od południa malutki, srebrnawy sierp miesiąca.

Czarne pałki trzciny zaszeleściały, pochyliły się i rozstąpiły, do

brzegu zbliżała się ostrożnie łódź, niosąc na swym pokładzie dziewczę i wielkiego czarnego psa.

Dziewczę zręcznie i cicho manewrowało wiosłem.

Czółno uderzyło o brzeg, pies wyskoczył, nastawił uszu, słuchał. Za nim rozglądając się, wysunęła się z trzciny dziewczyna, położyła rękę na obroży psa—poszli.

Co parę kroków przystawali — pies zwracał łeb w stronę stawu i słuchał. Cisza—przerywana brzękiem chrabąszczy;— przyspieszali kroku.

Czarne szeregi tajemniczych, milczących olbrzymów zastąpiły im drogę. Za chwilę dziewczę i psa pochłonęły ciemności.

Tuż za lasem, na nieznacznem wzniesieniu z okna budynku wydobywało się niebieskawe światło, robiąc zdaleka wrażenie spadłéj gwiazdy. Pies zaskomlał wesoło, wyrwał się i popędził z całych sił, że aż ziemia dudniała. Dziewczę przystanęło. Za chwilę wrócił pies, łasił się i rwał naprzód, szczekając ciężkim, niskim basem. Głos jego silny niosła rosa, powtarzały echa.

Wśród ciemności, rozjaśnionéj światłem wyiskrzonych gwiazd i blaskiem niebieskiéj lampy ze ścian dworku, ukazała się postać męska. Pies pobiegł ku niéj, za psem dziewczyna.

— Cóż—zapytała—są wiadomości?

— Są—odpowiedział—inaczéj nie wywieszałbym znaku.

— Wpatrywałam się w niego od czwartéj godziny, gorączka paliła mi skronie. Co pan masz?

— List i dwa dzienniki. W jednym wielki felieton.

— O jego obrazie?

— Tak, tylko o jego obrazie.

— Chodźmy, chodźmy, podaj mi rękę. O jego obrazie, Boże. I cóż mówią?

— Pokonał formę...

— Pokonał formę!? — zatrzymała się, chwyciła w płuca powietrza, odetchnęła głęboko. Pokonał formę, chodźmy, bo mi serce pęknie.

Szli szybko, pies w podskokach sunął przed nimi.

— Pokonał formę, czy rozumiész pan, co to znaczy?

— Rozumiem—odpowiedział cicho wzruszonym głosem.

Weszli na ganek wiejskiego dworku, osłoniętego dzikiém winem. Mężczyzna otworzył drzwi, przez sień dostali się do oświeconego pokoju.

Na stole leżały dzienniki i list zaadresowany: Marya... Rozdarła kopertę, list rozłożyła, pożerając go wzrokiem. Rumieńce wy-

dobywały się na jéj twarz i powoli gasły; wracała bladość, która znowu różowe wydobywała płomienie.

— A to jest wielki felieton — przerwał ciszę towarzysz, podając jéj dziennik i krzesło. Dziennik był drukowany w niemieckim języku.

— Pokonał formę — powtarzało szeptem rozpromienione dziewczę. — Pokonał formę, to tyle, jakby podbił świat, i zwalił go do swych stóp.

Uszczęśliwiona zerwała się, chodząc po pokoju.

Wpatrywało się w nią czworo oczu: psa wyciągniętego na ziemi i czterdziestoletniego mężczyzny, opartego o framugę okna. Lampa osłonięta niebieskiém szkłem, rzucała sinawe Guido-reniowskie reflek-sy na matową twarz dziewczyny, jéj czarne, świécące ogniami oczy i krucze włosy. Upojona, marzyła głośno wobec towarzysza.

— Jeżeliś opanował formę, ja ci dam najszlachetniejsze idee, ja będę twojém natchnieniem, duszą twych prac... We mnie płoną ognie i wielkie myśli, lecz mi brak formy słowa, czémże są słowa wobec barw i świateł... Ja ci dam motywa, że świat zadziwisz.

— Pan Henryk...

Szept ten zrobił wrażenie, jak gdyby się gad wyczołgał z framugi okna.

Dziewczę stanęło jak wryte.

— Kto wymówił w obecności mojéj to imię?

Nie było odpowiedzi. Mężczyzna oparty o framugę okna milczał.

— Ten „słodki pan“ — zawołała — śmié stawać na drodze mego życia!?

— Śmié i staje. Nie jest to słodki pan?

— Słodki—powtórzyła z mocą—wyperfumowany paczulą, uczesany na gładko, upomadowany.

— I zły—dokończył.

— Wąż ślizgający się po murawie i zostawiający za sobą lepką ślinę słodyczy, od któréj trawy schną.

— Ciężka i trudna z nim walka.

— Ja go zdepczę—tupnęła nogą.

— Trudno—ma prawo za sobą.

— Jakie?—co za prawo? Słowo czternastoletniéj dziewczyny znaczy tyle, co wiatr szumiący po polu. Zdobył je cukierkami, paczulą, którą się perfumował i ckliwą słodyczą.

— Ckliwa słodycz — pawtórzył towarzysz — to coś bardzo mdłego.

— Bardzo—pochwyciło dziewczę. — Czy chcesz pan, aby ta paczula wiecznie była obok mnie i ze mną?

— Niech mnie Bóg broni, nie chcę.

— Więc czegóż chcesz? Powiedz, czego chcesz?

— Twego szczęścia, panno Maryo.

— Co to za określenie? Szczęście, jakie? z kim? mów, odpowiadaj.

Ręka jéj drżała, oczy świeciły.

— Jeżeli mówię o szczęściu pani, to myślę również o Adamie.

— Nareszcie, nie lękałeś się pan połączyć nas.

— Pragnę, lecz zanim to nastąpi, boję się fatalnych następstw dla pani... I jeszcze się boję—dodał ciszéj—aby bogatéj dziedziczce nie uprzykrzył się biédny chłopiec, którego całą pięknością młodość, a całą wielkością i zasługą artyzm... Jest artystą i dla sztuki, zdradziłby nawet, jestem pewny, panią.

— I za to go kocham — zawołało dziewczę. — Bądź pan spokojny, nie zdradzi... My znamy swoje siły, swoje wpływy i swoje uroki.

Uśmiéchnęła się tryumfująco.

— Lecz znudzona, możesz go pani odepchnąć, a wtedy?

— Znudził mnie, zmęczył, wysuszył mi mózg swoją czczością, słodki pan—i znienawidziłam go. Możesz i pan mnie znudzić swojém tchórzostwem... Lecz młodość, odwaga, oryginalność, artyzm nie nudzą, piękny panie.

— Powiedz raczéj pani—słodki panie.

— Nie powiedziałam z grzeczności, a może i z litości. Żal mi pana, nie chcę panu dokuczać, jesteś zacnym człowiek, wychowałeś Adama, odejmując sobie od ust. Wychowałeś go dla mnie. Podaj mi rękę, panie Romanie, będziesz prowadził wszystkie moje sprawy, nasze sprawy, a nam pozwolisz pracować dla sztuki.

Roman wzruszony poniósł do ust podaną rękę.

— Trzeba wracać. Wymknęłam się wprawdzie niepostrzeżona podczas nieobecności słodkiego, ma on jednak słuch gadu i węch policyanta, a pewno ma i swoją policyę. Czuję, że jestem szpiegowaną.

— Ma on i rozum policyanta—dodał Roman.

— Prawda, spieszmy się. Proszę o pióro i papiér.

Wyjęła z kieszeni małego kalibru rewolwer, oprawny w srebro i kość słoniową, położyła na stole, a pochwyciła pióro, pisząc niém szybko.

„Drogi mój Adamie!

„Pokonałeś formę, zwyciężyłeś ją — jestem dumną z ciebie i kocham cię. Pokonałeś formę, a ja ci dam moje czarowne natchnienia,

wspaniałe pomysły. Będziesz wśród nagromadzonych bogactw wybierał najpiękniejsze, będziesz im dawał ciało, każesz im żyć wiecznie. Stworzysz je!... Tworzyć, co to za rozkosz! A co to za rozkosz patrzéć na dzieło wydobywające się z nicości, brać w téj boskiéj pracy udział. Sama myśl upaja mnie."

— Panno Maryo—odezwał się cicho Roman.

„Budzą mnie"—pisało daléj szybko dziewczę—„budzi mnie twój brat, każe kończyć i uciekać..."

„Przysięgam ci, że cię nie opuszczę, przysięgam, że pokonam wszystko na méj drodze, aby być zawsze z tobą... Składam pocałunek na twém poczciwém czole.

„Kochaj twoją

„*Maryą.*"

— Pokonałeś formę, czy ty pojmujesz, jakiś ty wielki, a ja jak jestem dumna—szeptała. Szybko powstała. Pies również się zerwał, przeczuwając powrót.

Pochwyciła rewolwer.

— Sześć naboi pewnych—nigdy nie zawiodły. Czasami w lesie wystrzelam z niego dla wprawy po trzydzieści ładunków...

— Panno Maryo—przerwał Roman.

— Bądź zdrów, strach ci z oczu świeci, usta drżą — boisz się słodkiego.

— Boję się, bo go znam.

— Weź dubeltówkę, zapałki i odprowadź mnie. Pomożesz mi odszukać łódkę.

— Rozkaz pani wzięcia broni poświadcza moje obawy.

— Czy pan sądzisz, że ja nie widzę niebezpieczeństwa. Lecz jestem na wszystko przygotowana i idę naprzód.

— Chodźmy więc—rzekł Roman, zdejmując fuzyę ze ściany.

Wyszli, pies radując się biegł naprzód i wracał; ciemność, mimo że gwiazdy świeciły, otuliła dwoje ludzi. Błękit nieba z granatowego zmienił się w czarny, przysunął do ziemi, gwiazdy migotały jak kaganki, na dworze było parno, sucho, bez kropelki rosy. Wóz niebieski przechylił się ku zachodowi, planety szeroko rozléwały swe światła.

— Byleby dobić do pełnoletności — mówiła poważnie Marya, głęboko westchnąwszy. Nie masz pan pojęcia, jak byłabym szczęśliwa, gdybym dziś, w téj chwili miała dwadzieścia pięć lat.

— Byłoby inaczéj — odparł Roman. — Byłabyś pani w Monachium, w Paryżu, może u siebie, lecz już w każdym razie panią w swym domu.

— W każdym razie, w każdym razie—powtarzała.

Lecz na te rozkoszne chwile trzeba czekać jeszcze trzy lata.

— Tak długo? niepodobna. Stanęła raptownie. Czuję katastrofę wiszącą w parném powietrzu, w rozdrażnionych moich nerwach, w naprężeniu położenia, w wyperfumowanéj słodyczy mego opiekuna.

Ujęła za rękę Romana.

— Proszę, przychodź pan zawsze w wieczór, lub w nocy nad jezioro. Jeżeli kiedykolwiek lampa w oknie mego pokoju przestanie świecić, będzie to znak, że mi grozi niebezpieczeństwo — szukaj mnie i broń.

Przy świetle zapałki odnaleziono czółno.

— Podaj mi rękę, potrzymaj łódkę, teraz odepchnij ją całą siłą, aby się wydobyć ze zbitéj ławy trzcin.

Pies skoczył pierwszy, za nim dziewczę.

— Do widzenia, kochany panie, odwagi i dobréj myśli, musimy zwyciężyć.

Ciemność zapanowała, a z nią cisza przerywana łagodnym szelestem trzcin, rozstępujących się przed czółnem, a w oddali dwoma chórami monotonnych i smutnych skarg żab.

Ostatnie szeregi zbitéj ławy pochyliły się, zaszeleściały i wyprostowały. Na gładkie wody jeziora, odbijające gwiazdy i ciemny koloryt nieba, wypłynęła łódź.

Pies stał na przodzie z miną uroczystą, zapatrzony w przeciwny brzeg, zaledwo oznaczony czerwonemi światełkami.

Łódka posuwała się cicho, jak zaklęta, jedynie woda ociekająca z wioseł kroplami sprawiała szmer spadających pereł.

Dostrzeżono z brzegu cień sunący po płaszczyznie jeziora lub może usłyszano szmer ociekającéj wody z wioseł.

Padł strzał. Pies się nasrożył, warknął, spojrzał na swoją panią, przysunął się do niéj i na znak swego współczucia musnął ją językiem po twarzy.

Dziewczę zaczęło cicho a szybko cofać się w głąb jeziora i daléj, robiąc wielkie koło, usiłowało niepostrzeżone dostać się do brzegu.

Po godzinie ciężkiéj pracy, wśród ciszy podobnéj do wieczności otulonéj ciemnościami, przy akompaniamencie żałosnego skrzeku żab, przybiła do brzegu.

Wysiedli—pies nie odstępował na krok swéj pani, wietrzył, stawał—stawała również dziewczyna, nasłuchiwali oboje.

Z po za kłębu drzew ukazała się szarawa postać. Pies spojrzał

na panią, czekając rozkazu, postać zbliżała się wolno, miarowym krokiem, zmieniając się w rosłego mężczyznę.

— Dzień dobry—dał się słyszéć rozkazujący, ostry głos.

— Raczéj dobra noc—odpowiedziała dziewczyna.

— Świta już, a zatém po szczęśliwie spędzonéj nocy, życzę pani dnia dobrego.

— Dziękuję panu.

— Czekam na panią od północy.

— Miałbyś pan pilny interes?

— Strzeliłem na znak, że panią widzę wydobywającą się z po za ławy trzcin.

— Dostrzegłeś mnie pan?

— Z pomocą lornety morskiéj.

— Szkoda, że jéj nie miałam ze sobą. Nie wysuwałabym się z ławy trzcin.

— Żałowałem strzału...

— Jednego ładunku?...—nadzwyczajna oszczędność.

— Tylko dlatego, że panią skazałem na ciężką pracę okrążania jeziora, lecz czułem się w obowiązku ostrzedz panią, że wiem skąd przyjeżdżasz.

— Cóż to za obowiązek—odezwało się dziewczę wyniośle.

— Pytynie to, nazwę najskromniéj dziecinném. Opiekun, jeżeli jest uczciwym człowiekiem, powinien wiedziéć o nocnych wyprawach swéj pupilki.

— Jesteś pan prawnym opiekunem mego majątku, lecz co do méj osoby...

— Jest miss Bex, z któréj pani zrobiłaś niewolnicę i bawisz się nią, jak zdziecinniałą małpą.

— To pański wybór.

— Nie wiedziałem, że pani jesteś do tego stopnia despotką, a miss Bex do tego stopnia zawojowaną.

— Ona mnie kocha!...

— Nierozsądnie. Szczęściem dla pani, że są ludzie, którzy panią kochają...

— Rozsądkiem.

— Ci ludzie, którzy panią kochają, posiadają rozsądek.

— Obliczony na wysokie procenta—dokończyło dziewczę w duchu, a dodało głośno:—I takt.

— Takt, czyli umiejętność życia, przedewszystkiém potrzebna jest kobiécie.

— Dziękuję panu.

— Pani jesteś jeszcze dzieckiem i nikt od pani nie wymaga sztuki życia, nazwanéj taktem.

— Dziekuję panu—powtórzyła nerwowo.

— Myślałem, że potrzebny takt będzie miéć miss Bex.

— Omyliłeś się pan.

— I zawiodłem.

— Aż tak dalece?

— Nie przypuszczałem, aby flirtowanie z młodym nauczycielem rysunków mogło panią doprowadzić do szaleństw — wykradania się w nocy z pałacu, przepływania czółnem jeziora i biegania na folwark, do tego starego głupca, aby tam odbiérać listy i odpisywać romantyczne madrygały, które czytają wszyscy studenci w Monachium. Niezawodnie nie przyszłoby do tego, gdybyś pani miss Bex nie okradła z rozsądku.

— Cóż pan zamyśla wobec tych faktów?...

Dziewczę drżało z gniewu.

— Rzeczy bardzo proste. Miss Bex otrzyma jutro dymisyą, a raczéj dziś, i dziś wyjedzie. Czółno ludzie wyniosą na skład. Straż postawię naokoło parku. Z dzierżawy wypędzę brata nauczyciela rysunków. To mi nakazuje obowiązek opiekuna, jak również honor narzeczonego.

— Zapomniałam—rzekła cicho—o honorze narzeczonego.

— Domyślam się, że na utratę pamięci pani wpłynął nauczyciel rysunków.

— Być może, być może—odpowiedziała roztargniona.

— Przyznajesz pani, że mam nieco słuszności. Powiédz prawdę, były to dziecińśtwa rozpieszczonéj i samowolnéj dziewczynki.

— A jeżeli tego nie powiem?

— Dziś upór i miłość własna zakazują pani mówić prawdy, lecz jutro? jutro do mnie należy. Jeżeli nie faktyczne jutro, to dziesiąte, lub setne.

— Kto przyjedzie w miejsce panny Bex?

— Tymczasowo siostra Salomea.

— Biczować mnie?

— Niezawodnie, lecz przypuszczam, że tylko moralnie. Siostra Salomea przygotuje panią do wielkiéj przedślubnéj spowiedzi.

— Kiedy ślub?

— Za trzy miesiące. Wtedy będę miał większe prawo i możność strzedz panią przed dziecińśtwami, któreby mogły wyrość z czasem na przestępstwa.

— Przeciw komu i czemu?—zawołała rozdrażniona.

— Przeciw obyczajom, porządkowi, przepisom dystynkcyi—nie powiem moralności.

— Dlaczego nie chcesz pan powiedzieć?

— Wyraz ten jest ostatniém potępieniem młodéj, dobrze urodzonéj osoby.

— I chcesz pan zostać moim mężem?

— Pragnę, albowiem umiem rozróżnić chwilowe fantazye rozpieszczonego dziecka od wrodzonych skłonności. Jako mąż dokończę edukacyi pani.

— A jeżeli panu powiem, że pana nie kocham, czy i wtedy będziesz miał odwagę zostać moim mężem?

— Będę, gdyż nie wątpię, że mnie pani pokochasz nazajutrz, w tydzień, lub miesiąc po ślubie. Przeczysz pani, wstrząsając główką. Ja zaś nie wątpię... Dziś się pani na mnie gniéwasz, lecz za rok, od dziś dnia za rok, położysz rękę na mojém ramieniu i powiész: Henryku przypominasz sobie, jakie ze mnie było dziecko?... Ten nauczyciel rysunków ze śpiczastą brodą, a rozczochraną głową, ze swym dzikim językiem,—szukający wszędzie jasnych lub ciemnych plam, jakże on teraz w mych oczach jest śmiesznym... Henryku przebaczasz mi?...

— Tymczasem ja panu przebaczam — odparła dziewczyna, poważnie prostując się.

Różowa jutrzenka, wydobywająca się wolno z po za ciemnego lasu ożywiła bladą jéj twarz.

— Co mi pani przebaczasz?

— Słodycz pańską, mój „słodki panie“ i zarazem pańską brutalność.

— Aż tak?

— Tak... chcesz mnie trzymać w więzieniu. Wypędzasz uczciwą kobiétę, która prawie że mnie wychowała, a sprowadzasz zakonnicę. Pod pozorem rekolekcyi osadzisz mnie w klasztorze. Gdybym się chciała bronić, zwiążecie mi ręce różańcem, a jedwabną chusteczką zatkacie usta. Raz zamknięta w klasztorze, już z niego nie wyjdę... Pan jesteś jedynym moim spadkobiercą i wtedy wyszukasz sobie drugą młodą osobę, również bogatą, lub bogatszą odemnie. Zamiast jednego, będziesz miał dwa posagi.

Słodkiemu panu złowrogo zaświeciły oczy, na zielonawą twarz czerwone wystąpiły plamy, włosy misternie ułożone podnosiły się, na skroniach gwałtownie biły pulsa.

— Jest to nauka „tych ludzi“ z folwarku — rzekł drżącym głosem, siląc się na spokój.

— Są to moje specyalne przeczucia.

— Zręcznie podsunięte przez tych łotrów.

— Milcz pan. Jeden z nich jest moim narzeczonym, a drugi jego bratem.

— A wszystko razem jest halucynacyą po nieprzespanéj nocy... Proszę wracać do swego pokoju.

Postąpił naprzód, aby ją ująć za rękę.

— Nie dotykaj się mnie—krzyknęła, cofając się.

— Jeszcze jedno słowo oporu, a wezmę panią na ręce i zaniosę.

— Nie—zawołała gwałtownie, wyciągnęła szybko z kieszeni rewolwer, mierząc nim w piersi swego przeciwnika.

— Oddal się, bo ci tę wypomadowaną głowę kulą prześwidruję.

Mężczyzna zrozumiał niebezpieczeństwo i cofnął się.

— Uzbroili cię przeciwko mnie i namówili do morderstwa. Korzystaj z chwili—świadków nie ma—strzelaj! Wytłómaczysz się łatwo, żeś mnie zabiła w obronie swéj niewinności.

— Nie zeszpecę sobie życia zabójstwem, jeżeli mnie nie doprowadzisz do ostateczności. Rewolwer ofiarowała mi panna Bex. „W twém biednćm położeniu jest dla ciebie niezbędny“, powiedziała mi. „Nie rozstawaj się z nim nigdy.“

— A więc angielka jest twoją wspólniczką.

— Przyjaciółką, jeżeli ten wyraz jesteś zdolny zrozumiéć.

Zamilkli oboje. Dziewczyna oddychała ciężko, cofając się ku jezioru, zwrócona twarzą do przeciwnika.

— Panno Maryo — zaczął czule Henryk — dobrze odegraliśmy nasze role, a teraz podajmy sobie ręce na zgodę. W ten sposób między nami rozpoczęta walka do czegoż prowadzi?

Dziewczyna zmierzyła wzrokiem odległość dzielącą ją od towarzysza, odwróciła się gwałtownie, rozpędziła, skacząc na łódkę, pies za nią. Łódź się zachwiała i odsunęła nieco od brzegu.

Henryk zdołał ją pochwycić.

— Puszczaj — przysięgam na cienie méj matki strzelę — patrz mierzę.

— Jedno słowo.

— Ani jednego, póki nie puścisz—raz—dwa...

Puszczona łódź zaczęła się nieznacznie kołysać, popychana wiatrem, odsuwać zwolna. Dziewczę pochwyciło ręką wiosło i dwoma uderzeniami odsunęło się na głębinę. Siadła, rewolwer położyła na kolana, ujęła wiosła — i silném poruszeniem oddaliła się znacznie od brzegu.

— Przysięgam ci również na cienie twéj matki, na miłość

moją, że nigdy nie pozwolę, abyś tak się nędznie i głupio zmarnowała.

— A ja ci zapowiadam wylakierowana dystynkcyo, że padnę, a nie będę twoją. Wolę śmierć, niż jeden twój zimny pocałunek, podobny do dotknięcia płazu całus... Bądź zdrów, uściskaj odemnie poczciwą Bex i podziękuj jéj raz jeszcze za rewolwer; przydał się, nieprawdaż?... Może się jeszcze kiedy zobaczymy, lecz już nie tutaj. A teraz kochany kuzynie i piękny opiekunie, polecam się twéj pamięci. Ucałuj siostrę Salomcę i proś ją o błogosławieństwo... *Adio!*...

Kuzyn nie odpowiadał. Stał w miejscu chwilę, małą chwilkę i pogalopował ile mu sił starczyło ku stajniom.

Krzyki, przekleństwa, gwałtowne otwierania bram, rżenia koni łączyły się w dziką harmonią, odbijającą się od wód jeziora.

Marya pracowała gorączkowo, łódka ślizgała się po gładkiéj fali, mknąc ku zbitéj w ciemną kolumnę trzcinie.

Na gościńcu rozległ się tentent galopujących koni.

— Nie dajesz za wygraną—walka na śmierć i życie. Nim mnie zdołasz dogonić upłynie godzina, długa jak wiek, a ważna jak życie. Za piętnaście minut wyląduję, za pół godziny będę zabarykadowana we dworku, a wtedy zobaczymy. Daléj do pracy...

Wiosła, jak dwa długie skrzydła, nurzały się miarowo w wodzie i wychylały. Za każdém ich zagłębieniem czółno podskakiwało, zbliżając się do zielonéj o czarnych pałkach ławy. Nareszcie czarne pałki zatrzęsły się, liście zaszeleściały, kolumna rozstąpiła — czółno znikło...

Dziewczę wyskoczyło, trzymając w ręku rewolwer. Zdaleka słychać było głuche jęki ziemi pod kopytami koni.

— A teraz na ciebie koléj, mój poczciwy psie — ratuj mnie. Schwyciła ręką mosiężne kółko obroży. Daléj, daléj!

Pies rwał się naprzód, ciągnąc za sobą młodą swą panią, co znacznie ułatwiało jéj bieg.

U wejścia do lasu głuchy jęk ziemi kopyt koni stawał się wyraźniejszym, odbijając się w sercu dziewczyny przerażeniem... Zdaleka zobaczyła parę mierzynów, ciągnących drabiniasty wóz. Powoził niemi wieśniak.

— Stój, stój—wołała, dając znaki ręką.

Wóz stanął, odetchnęła, dając wciąż znaki, aby przyjechał.

Wieśniak usłuchał rozkazu.

— Poznajecie mnie?—jak się nazywacie?

— Błażéj, a co nie miałbym poznać naszéj dziedziczki. A toć jasna panienka uratowała mi łońskiego roku babę...

— Słuchaj Błażeju, stówka jeżeli mnie zawieziesz do Porajskiego dworku.

— I bez niczego jasna...

— Gonią mnie. Uciekajmy co koń wyskoczy. A jeżeliby ci który koń padł, po stówce za konia.

— Kiéj gonią, uciekajmy.—Zawrócił galopem.

— Jakże jasna panienka siądzie w drabiny?...

— Już siedzę. Jeżeli uciekniemy, będziesz szczęśliwy, rozumiész?

— O moja złocista — wio, wio siwa, wio kasztan.

Konie uderzone batem pogalopowały.

Dziewczyna stopami oparła się o ramę drabiny, lewą ręką trzymała się o kłonicę, w prawéj ściskała rewolwer. Pies biegł przy wozie.

— Uciekniemy? Błażéj...

— Coby nie? konięta małe, ale okrutnie ogniste.

Lecieli. Małe, ogniste biegły, ile im sił starczyło, wóz skakał po korzeniach drzew.

— Patrz, są już w lesie — zawołała.

Spojrzeli.

Czterech jeźdźców pochylonych na koniach galopowało.

— Nic nam złocista nie zrobią, uciekniemy. Szkapy ich pomęczone, a moje wystane — pocieszał Błażéj.

— Może siły swych koni chowają na ostatnią chwilę?...

— Przecie woleliby nas pochwycić w lesie, niż na gościńcu...

— Prawda. Patrzcie jeden z nich wysuwa się naprzód. Ten nas dopędzi.

— Gna ci okrutnie... Ej to ciura od wierzchowych. Batem lunę i po nim. Uciekniemy, byle tylko dorwać się gościńca. Wio siwa, wio kasztan.

Wyjechali na gościniec równy i gładki, koniki pędziły jak wiatr.

— Prędzéj, prędzéj — wołała dziewczyna — dogania nas.

— Dam ja mu — Błażéj batem pogroził.

Czternastoletni, smagły ciura, na wielkim angielskim koniu, robiącym bokami jak miechami, dociérał do wozu z zamiarem zabiegnięcia drogi i zepchnięcia wozu w rów. Błażéj batém trzasnął konia w łeb, nic nie pomogło.

Marya zagroziła rewolwerem, lecz ciura wesoło krzyknął:

— Nie nabity!

— Trzymajcie mocno konie — zawołała na chłopa.

Padł strzał, koń ciury przestraszył się, odskoczył raptownie w bok i runął z chłopakiem w przekopę.

Trzech jeźdźców oddalonych o dwieście kroków, galopowało bez przerwy, zbliżając się miarowo do wozu.

— Już dwór, nie dogonią nas.

— Oddajcie mi lejce, zeskoczcie z wozu i zamknijcie bramkę.

Wpadli na dziedziniec, Błażéj zamknął wrota.

Dziewczę zatrzymało konie przed gankiem, wyskoczyło.

— Pędź po wójta, radnych, gromadę. Kto żyje niech biegnie na ratunek. Chcą mnie zgnębić.

— Obronimy, czemu nie! Niech ino jasna się trzyma. Wójt da sobie radę.

O ile lud lubiał i przepadał za młodą dziedziczką, o tyle niecierpiał jéj opiekuna.

Błażéj skoczył na wóz i zanim jeden z jeźdźców zdołał otworzyć bramkę, umknął z końmi drugiemi wrotami.

Na dziedziniec wpadło konno trzech ludzi, na przodzie pan Henryk. W téj saméj prawie chwili otworzyło się okno, a w niém ukazała się młoda dziewczyna.

— Przysięgam, że ktokolwiek przestąpi próg pokoju...

— Palisz mu pani w łeb — dokończył Henryk. — Postaramy się uniknąć rozlewu krwi.

Trzymając się w przyzwoitéj odległości naradzali się cicho. Nadjechał ciura. Trzech jeźdźców z siadło z koni, znikając za ścianami dworku.

Przestraszone dziéwki dworskie, krzycząc i lamentując, uciekły na wieś, parobek od koni stanął we drzwiach stajni, pan Henryk nadjechał bliżéj okna i salutując po wojskowemu zapytał:

— Zanim ludzie moi wezmą szturmem dworek, możemy czas oczekiwania skrócić rozmową.

— Nic panu nie mam więcéj do powiedzenia.

— Ja zaś bardzo dużo. Postępowaniem swém ośmiészasz się pani, wobec całego kraju.

— Cóż mnie obchodzi śmiészność. Nie będę nigdy znała tych ludzi, którzy się ze mnie będą śmieli.

— Narażasz pani swoją reputacyę, dobre imię, stanowisko w świecie.

— Czém?

— Tém, że cię gwałtem będę musiał wziąć z dworku twego dzierżawcy.

— Po co bierzesz!? — krzyknęła.

— Aby cię ratować, aby cię osłonić mém nazwiskiem, moją powagą...

— Dziękuję ci za twoją powagę, za twoje stanowisko i z twéj łaski uszanowanie ludzi. Ja nie chcę żyć z tobą w sferze twego świata, w sferze twych ludzi, w sferze twych pojęć i twych pragnień... Zostaw mnie.

— Cóż pani tak gardzisz sferą, w któréj się wychowałaś.

— Bo to jest sfera panowania kucharzy. O nich się mówi, a o ich wyrobach marzy... Jest to sfera banalnych form, banalnych myśli, banalnych pojęć... sfera mała, płytka, nudna. Duszę się w atmosferze téj sfery, nudzę, słuchając powszedniości waszych rozmów, czczości waszych pojęć i sądów. Ja chcę szerokiego horyzontu...

— Jak płótno rysownika.

— Z którego wygląda artyzm natchnienie i wielkie idee!... Jeżelibyś mnie chciał zamknąć na całe życie w twojéj sferze...

Uderzenia siekiéry o powałę zatrzęsły dworkiem. Tynk z sufitu zaczął się walić na podłogę pokoju, tworząc oślepiający pył.

Henryk odskoczył na koniu galopem od okna na odległość kilkudziesięciu kroków.

— Sfera w któréj pani żyłaś od urodzenia, będzie i nadal dla pani tém, czém woda dla ryby, przekonasz się. Tymczasem radzę się poddać, wszystko obrócimy w żart i rodzaj zakładu.

— Nigdy! — usłyszał odpowiedź.

— Ostro chłopcy, a potém odrazu na komendę oknem, drzwiami i z powały — wołał Henryk.

Dziéwczę milczało, stojąc nieporuszone.

Runęła jedna z góry deska, tworząc ciemną chmurę kurzu.

— Daléj naprzód — krzyczał Henryk.

Marya jednym susem skoczyła do drzwi i wpadła do drugiego pokoju. Trzask i zgrzyt zamku dał znać, że i tym razem zwyciężyła.

— Jeszcze nie — zawołała, otwierając drugie okno.

Od strony wioski rozlała się dokoła szeroko wrzawa.

W serce dziewczyny wstąpiła nadzieja, opiekuna jéj opanowała wściekłość. Przeklinał służbę i groził jéj.

Dziewczę blade, z osypanym wapnem włosem, stało w oknie nieporuszone.

Odgłosy uderzeń siekierą nad jéj głową ponowiły się, lecz wrzawa rosła, jak wzburzone fale.

Końmi Błażka wjechał na dziedziniec wójt i czterech radnych; za nimi gospodarze konno. Parobcy, kobiéty i dzieci biegli piechotą.

Wójt, wielki, barczysty chłop, nieco dla nabrania odwagi, podcięty, zeskoczył z wozu.

— Co to za zbytki i szelmostwa—wrzasnął—rabunek...—Radni, ściągnąć tych łajdaków ze strychu i związać.

— Milcz, ja tu rozkazuję — zawołał Henryk.

— Hola, ja tu pan w gminie, ja tu pilnuję porządku i krzywdy nikomu nie dam zrobić.

Dziedziniec zaczął się wypełniać ludem. Przestraszony ciura zsunął się ze strychu i wskoczył na konia, za nim służba.

— Cóż to nie znacie mnie — zaczął łagodniéj Henryk.

— My znamy tylko naszą dziedziczkę.

— Nasza dziedziczka, jasna panienka, tę ino znamy—wołał lud.

— Co nam do przybłędów — krzyknął ktoś z tłumu.

Wójt nie dał się wyprzedzić.

— Héj chłopcy bierzcie się do nich, z koni, ja tu porządek zrobię.

— Z koni, z koni — powtórzono chórem.

Z początku nieśmiało, lecz z każdą chwilą coraz ostrzéj zaczęli nacierać na konnych zbitych w gromadkę.

Pierwszy wysunął się za bramkę ciura i pogalopował, za nim kłusem wysunęli się drudzy. Henryk był ostatnim.

— Nauczę ja was rozumu chamy, łajdaki— pogroził, zawracając konia. Jechał wolno. Na gościńcu skręcił i pogalopował wprost do miasta powiatowego.

Marya wyszła na ganek, lud ją obstąpił.

— Nasza złocista!...

— Uratowana— dokończyła.—Wójcie, dziękuję ci—wyciągnęła do niego rękę.

Wójt, zdjąwszy kapelusz, całował młodą dziedziczkę w kolana.

— Wiele chat w Poraju?

— Sześćdziesiąt numerów.

— Po dziesięć papierków przeznaczam na chatę.

— Słyszycie — zawołał wójt.—Będzie za co żniwa opędzić.

— Niech żyje setne lata nasza dziedziczka.

Na dziedziniec wpadł na spienionym koniu Roman.

— Co to jest, co się tu dzieje?

— Uratowana — zawołała Marya.

— Uratowana nasza jasna panienka — powtórzył lud.

— Uratowana nasza złocista przed tym zbereżnikiem — dodawały kobiéty.

Dziewczę i Roman weszli do dworku.

— Patrz pan — pokazała zawaloną powałę — brał mnie szturmem i zręcznie.

— Stało się, jestem wolna...

— Prawda, lecz za parę godzin wróci z żandarmami, a ci oddadzą panią jako nieletnią napowrót opiekunowi.

— Kiedy może wrócić?...

— Za cztery godziny.

— Potrzebuję dwóch do ucieczki.

— Za Sączem w bok Muszyny, mieszka moja ciotka na folwarczku. Nikt tu o niéj nie wié.

— Do ciotki. Ciotka jedynym ratunkiem i jedyną ucieczką. Pióra, papiéru.

Zaczęła pisać, a na dziedzińcu wrzało od radości ze zwycięstwa, uratowania dziedziczki i dziesięciu papierków na chatę. Roman wyniósł dla ludzi cały zapas wódki.

„Piękna Judyt a droga moja Bex!

„Zwyciężyłam, twój rewolwer co za świetna myśl?!... Uciekam, ciebie wypędzą biedaczko, lecz nie na długo. Przyślij mi suknie, klejnoty moje i jedną połowę twoich oszczędności, drugą zachowaj dla siebie. Musimy się połączyć koniecznie, lecz gdzie, jak?...

„Myśl i ułóż się z Romanem...

„Judyto padam w twoje pulchne ramionami.

„Twoja na wieki...

Marya.

„Pokonał formę, czy ty to rozumiesz Judy!... Spiesz się, szaleję z niecierpliwości... Adam za tydzień będzie do mnie należał.“

Wybiegła na ganek.

— Kto z was najlepiéj siedzi na koniu?

— Ja, jasna panienko, ja, ja — ręce parobków podniosły się do góry.

— A kto czółnem kieruje?

— Ja — zawołał chłopak stojący we drzwiach stajni. — Ja woziłem pana Adama czółnem do pałacu.

Przyzwała go ręką.

— Konno galopem przez las. U brzegu w trzcinie...

— Wiem, jest łódź.

— List oddasz...

— Angielce — pochwycił chłopak.

— Do rąk, odbierz odpowiedź. Kufer z rzeczami na łódź i na konia. Za godzinę będziesz z powrotem?

— Będę.

Oddała mu list, chłopak wyprowadził konia ze stajni, skoczył na niego i za chwilę znikł na gościńcu.

Przywołano wójta, radząc z nim przy zamkniętych drzwiach.

— Jasna przebierze się w chusty mojéj dziéwuchy i pójdziemy.

— Żeby tylko żandarmi nie poznali — zrobił uwagę pan Roman.

— A od czego głowa na karku?... Byle przycupnąć. Przycupniemy na odpuście w Kobylance. Z odpustu wraca wszelki naród i my wracać będziemy za ludźmi i zajedziemy, gdzie ino sami zechcemy.

— Na odpust do Kobylanki daleko, dziesięć mil.

— Dziś upalimy ze sześć. Szkapy mam młode i wyobroczone. Kto to pomyśli, że uciekamy na święte miejsce? Tam się ochfiarujemy Najświętszéj Panience i daléj w drogę.

— Wójcie, dziękuję wam, pomysł wyborny.

Położyła rękę na ramieniu chłopa.

Włosy jego siwe, oczy szare, rysy wyraziste, składały się na wyraz twarzy tchnący uczciwością, zmieszaną ze sprytem i z przebiegłością chłopską.

— Jasna panienko — rzekł drapiąc się w głowę.

— Mów śmiało.

— Kiéj nie śmiem.

— Daléj, ostro — nalegała.

— Dzieciska dorastają, dziewczyna na wydaniu.

— Prędko!

— W Zagajnikach nie będzie całych dwóch morgów łączyny.

— Twoja, gdy szczęśliwie dowieziesz mnie do celu.

Chłop drgnął, trwarz jego oblał szkarłat szczęścia, przykląkł, chwycił dziewczynę za kolana, całował.

— Oj, oj, oj, na moje stare lata! dla dzieci...

— Dobrze, dobrze; boję się tylko, żeby żandarmi nie nadjechali, i po waszéj łące — nalegała.

— Nie przyjadą wcześniéj jak w południe. Do południa kawał.

Wójt wybiegł z pokoju, głos jego rozlegał się podobny do komendy. Wyrazy padały jedne po drugich, z siłą i pewnością siebie, człowieka przyzwyczajonego do rozkazywania.

— Do domu, baby warzyć strawę, chłopy do pracy chodźmy... Dziesięć papierków na lumer, nie ominie nikogo, choćby najbiedniejszéj chaty. Bójcie się Boga, a toć radość ze skóry powinna wyskoczyć.

Lud niosąc w sercach radość, która ze skóry u młodych rada

była wyskoczyć, wesoło wracał do wsi. Na dziedzińcu zrobiło się pusto.

W oknie pokoju zmęczone stało dziewczę patrząc na skazówki ściennego zégara... Obok niéj stał Roman. Milczeli, rozważając, co się stało. Marya rozglądała się w swéj nowéj pozycyi. Czuła przepaść, jaka ją rozdzielała od wczorajszego dnia.

— Uciekać z własnego domu, z własnego kawała ziemi, tylko dla tego, że się kocha, że się ma wstręt do banalnéj nicości... to okropne; co za barbarya, jakie sponiewieranie uczuć ludzkich — zamyśliła się.

— Jak on śmié—zawołała po chwili—żandarmami ciągnąć mnie do ołtarza.

— Ależ nie do ołtarza, lecz uciekające dziecko chce sprowadzić do domu pod swą opiekę i nadzór. Jak dotąd wszystko jest w porządku.

Dziewczę rozśmiało się nerwowo.

— Jakże on się będzie wspaniale teraz mścił nademną—odezwał się spokojnie Roman.

— W każdym razie nie długo.

— Zdecydowany jestem wyprzedać się.

— I przyjechać do nas. Pamiętaj pan...— Wyciągnęła rękę. — Jakże jestem zmęczona, gorączka mnie pali. Pić, pić!

— Napij się pani wina, wzmocni panią, orzeźwi.

Wypiła pół szklanki. Na twarz wystąpiły rumieńce.

— Za tydzień mogę być razem z Adamem. Cóż mnie więc obchodzą żandarmi i wszystkie awantury słodkiego pana. Za tydzień! — rozśmiała się serdecznie.

Stajenny chłopak z zawiniątkiem przewieszoném przez konia wpadł galopem na dziedziniec, podając przez okno list.

„*Dear Mary!*

„Stało się to, na co byłyśmy przygotowane, a sprawdziło się, że każda *respectable and honourable miss*, powinna mieć zawsze przy sobie broń, przed żarłocznością naszych tyranów. I ja również swój wydobyłam z biurka. Łakomstwo tych zwierząt w redingotach jest znane.

Marya uśmięchnęła się.

Judyta miała trzydzieści lat, a zatém łakomstwo zwierząt w redingotach musiało być dla niéj straszne.

„Jesteś wolna, idziesz za popędem serca, co za rozkosz? Ja ci pomogłam i dumna jestem. Dokonałam wielkiego czynu, oswobodzi-

łam jedną duszę z pęt niewoli i jedną kobiétę zrobiłam niezależną, panią swego serca, panią swych czynów, to szczyt. *Mary*, to szczyt!...

„A teraz niech przychodzi ten cukrowy człowiek, stawię mu mężnie czoło. Jeżeli będzie chciał pastwić się nademną, zamorduję go. A jeżeli będzie chciał odebrać mi wolność?!... Nie, on mnie tylko wypędzi. Pojadę do Krakowa i tam zaczekam na wizytę *Mister* Romana. Powié mi, gdzie jesteś... Słuchaj co za idea!... Nie miał jéj mój ukochany Dickens, ani nawet Collins, ten pomysłowy Wilkie Collins. W Krakowie przygotuję dwa ubrania zakonne sióstr miłosierdzia; welony, różańce, krzyże. Ty w welonie będziesz czarująca, ja może trochę zaintryguję dystynkcyą, lecz mniejsza. Przebrane przejedziemy spokojnie całą Austryą i Belgią, wylądujemy na ziemi angielskiéj w Brighton. Tam wolna oczekiwać będziesz oblubieńca. Brighton, co za rozkosz, pomyśl tylko... Morze, cały nasz dobry świat, konna jazda, regaty, kriket, gra w piłkę, wolność boska, czarująca! Ślub da wam w kaplicy Stuartów, mój przyjaciel *minister* z katolickiego kościoła *mister* Sharp. Wtedy zaprosimy twego cukrowego opiekuna, aby mu pokazać twoje szczęście.

„Posyłam ci spis rzeczy i klejnotów, pokwituj z odbioru i pokwitowanie odeślij. Boję się, aby mnie nie posądzono o kradzież i nie odebrano wolności. Posyłam tysiąc guldenów, wystarczy ci do chwili naszego spotkania się. Gdy cię schwycą, pieniądze odbiorą.

„Jestem bardzo ożywiona, mało brakuje, abym nie powiedziała szczęśliwa, twém zwycięstwem.

„Do Anglii, do mojéj pięknéj, *respectable* wyspy, do wolności...

„Kończę, gdyż już rzeczy twoje spakowane. Ludwika płacze. Dobra dziewczyna.

„A więc do widzenia moja bohaterko.

„Twoja wierna

Judith.

— Podróż w welonie siostry miłosierdzia, Wiedeń, Bruksella, morze, okręt, Brighton— wołała rozpromieniona Marya, skończywszy list. — Judyto, jesteś wspaniała swym spokojem, odwagą i romantyzmem. *Minister* Sharp czeka nas w kaplicy Stuartów. Panie Romanie, za dużo na raz szczęścia i boję się. Byle tylko uciec!

— Po wójta, jedźcie po wójta — wołała z okna

Chłopak skoczył na konia.

Po chwili zajechał wójt ze swą córką, wozem w półkoszach, wyładowanym koniczyną. Dziewczyna przyniosła do pokoju odświętne swe suknie.

Przebranie trwało zaledwo parę minut.

Najciężéj było z butami. Małą nogę Maryi musiano poobwijać, aby twarda skóra jéj nie gniotła. W chustce na głowie, gorsecie, krótkiéj, różowéj spódniczce, przejrzała się i uśmiechnęła. Ładna z niéj była wieśniaczka. Wójtówna włożyła jéj na palec swój mosiężny pierścionek z Matką Boską.

— A niechno jasna panienka nie świéci przed ludźmi swoją gębusią i bieluśkiemi łapkami. Boże broń żandarmów, zaraz ci pomiarkują — radziła dziewczyna.

Kuferek schowano pod koniczynę. Wójt siadł na przodzie, dziewczę okryte chustką, posadzono na środku wozu.

Żegnana przez Romana, służbę i wiejskie kobiety, które zdołały przybiedz, wyjechała przez bramę.

Wójt skręcił konie drogą wiodącą wprost do miasteczka.

— Chcecie mnie oddać opiekunowi i żandarmom — spytała przerażona, stając na wozie.

— Chcę się ino, panienko, do lasu dostać—odparł wójt. – Szmul słyszy jak trawa rośnie, a ziandary na radę przyjdą do niego. W lesie skręcę k'sobie prosto do czarciego bagienka, potém wygonami na Sobótkę do drogi. Zawrócimy od siebie i co nam zrobią. Żyd ma rozum, ziandary węch, a ja łeb na karku.

Śmignął batem, konie ruszyły z kopyta, dziewczę się obejrzało. Kapelusz Romana i czapki służby trzymane wysoko w rękach, posyłały ostatnie pożegnania. Kobiety zbite w gromadę, kłaniały się. Dziewczę powiewało chusteczką.

Wóz znikł w lesie.

— Uratowana—rzekł pan Roman radośnie.

— Ho, ho — poświadczały kobiety — wójt w piekło się schowa a nie odda panienki. Mój Boże, taka łąka, sam groszek i koniczyna i taki kawał, za jedno wywiezienie. Wójt mądra ryba — wzdychały zazdroszcząc.

— Nie odda — pochwycił Roman.

— Pod ziemię się wryje, a na swojém postawi.

Naprawiano zburzoną powałę, gdy na dziedziniec wjechało pędem dwa wozy. Na jednym siedział pan Henryk z adjunktem sądowym, na drugim trzech żandarmów. Żandarmi wyskoczyli, szykując się do wzięcia szturmem dworku.

Roman ukazał się w oknie.

— Proszę — za chwilę otworzył drzwi od ganku.

— A więc forteca poddaje się bez wystrzału — spytał adjunkt.

— Nigdy się nie broniła.

— Gdzież dziedziczka?

— Wyjechała.

Odpowiedź Romana zrobiła piorunujące wrażenie. Pan Henryk skoczył do żandarmów, radząc z nimi cicho.

— Co, jak, gdzie?

— Proszę pana sędziego do pokoju.

— Służę, służę. — Zwrócił się do Henryka. — Czy pan hrabia raczysz mi towarzyszyć?

— Jeżeli uciekła, musimy ją gonić.

— Ach prawda, należy; tylko, że moja rola tu się kończy.

— Damy sobie sami radę — odparł Henryk, wskakując na wóz. Obok niego umieścił się wachmistrz. Żandarmi siedli na drugi wóz, pogalopowali.

Uwolniony z pod wpływów i komendy Henryka, młody adjunkt pobiegł na ganek, wpadł do pokoju, wsadził ręce w kieszenie i rozpromieniony zawołał:

— A to awantura! Miasto, powiat, cała Galicya, dwie stolice trząść się będą. Wykierowała go!

— Wykierowała — potwierdził Roman.

— Uciekła, ha, ha — rozśmiał się. — Dzielna! jak mego Boga kocham, dzielna.

— Patrz pan, brali ją szturmem. — Roman otworzył drzwi, pokazując zrujnowaną powałę.

— Spiszemy protokół i nauczymy go rozumu. Nie cierpię tego pyszałka, nie przemówił do mnie całą drogę ani jednego słowa.

Wozy z żandarmami i Henrykiem zatrzymały się przed karczmą. Wybiegł Szmul, zdjął jarmułkę, kłaniał się, opowiadał, rozkładając rękami. Ludzie z okien chat przysłuchiwali się.

Henryk przywołał go do siebie i szepnął mu do ucha.

Żyd wpadł do karczmy i za chwilę wrócił gotów do drogi. Siadł obok żandarmów.

Jeden wóz w jedną stronę, drugi wiozący Henryka i wachmistrza w przeciwną, rozjechali się. Tumany kurzu wznosiły się w górę i opadały. Zrobiło się w wiosce cicho, jakby makiem siał.

W dwa dni późniéj zajechał przed pałac w Zalesiu wóz w półkoszkach. Wysiedli z niego pan Henryk i żandarm.

Żandarm zatrzymał się na dole, pan Henryk poszedł na górę wprost do pokoju *miss* Judyty Bex.

Angielka czekała na jego przybycie, spokojna, zimna i sztywna, jakiemi tylko angielki być umieją. Na przywitanie skłonił się jak człowiek wytwornie wychowany, blady był, zmęczony.

Judyta odkłoniła się poważnie.

— Papiéry, kasa, klejnoty i rzeczy panny Maryi — rzekł sucho.

*Miss* zadzwoniła, weszła panna służąca.

— Proszę o pokwitowanie panny Maryi z odbioru jéj rzeczy i biżuteryi.

Dziewczyna podała papiér.

— A oto jest — dodała Judyta — spis pozostałych rzeczy i klucze od jéj pokoju i biurka.

Dziewczyna wyszła, pan Henryk zsunął się na fotel, wskazując ręką miejsce Judycie.

— Wiedziałaś pani o ucieczce?

— Dowiedziałam się dopiéro o dziewiątéj rano po odebraniu kartki od *Mary*.

— Oszukiwałaś mnie.

— Nikogo nie oszukuję — odparła wyniośle.

— Oszukiwałyście mnie — powtórzył pan Henryk smutno — za troskliwość, jaką was otaczałem, za miłość moją...

— *Sir* — rzekła Judyta głosem nieco miększym.

— Pani powierzyłem mój skarb, moje dobro, szczęście, przyszłą żonę, honor, stanowisko w świecie, nieskazitelność nazwiska. A pani tak się wywiązałaś z powierzonéj misyi. Pomagałaś egzaltowanéj dziewczynie zhańbić się, a mnie na całe życie ośmieszyć.

— Zhańbić się — powtórzyła *miss* zdziwiona.

— Udajesz pani zdziwienie. Spacery po nocy do dzierżawcy na folwark, ucieczka, pogoń, wezwanie na pomoc żandarmów i wyjazd z chłopem w świat... Wszystko to działo się pod mojém okiem. Wystrychnęłyście mnie na głupca i błazna — ukrył twarz w dłonie.

— A jeżeli w tém wszystkiém odgrywało główną rolę uczucie— szepnęła Judyta.

Henryk się zerwał.

— Jakie uczucie może mieć szlachetna i dobrze wychowana dziewczyna dla chłopaka z kończastą brodą, rozczochranym łbem, który używa wstrętnego żargonu kawiarnianéj cyganeryi, chodzi jak niedźwiedź, kłania się jak prowincyonalny aktor, myśli jak mieszczanin, a działa milczkiem jak chłop lub żyd, chciwy na majątek. Czyż można mieć uczucie dla tego rodzaju istoty. To szał, dziewczyna została opanowana brutalnością i siłą pierwotnéj natury chłopa. Szlachetne jéj uczucia, delikatne myśli, idealne pragnienia pochłonął chłop.

— Na Boga, *sir* unosisz się.

— Powiédz mi, co ona będzie z nim robić, gdy się wytrzeźwi — zawołał.

— Artysta.. — zaczęła.

— Tacy rodzą się na bruku jak śliwki na drzewie. Lecz chociażby był wielkim artystą, to i cóż? Czy będzie z nim całe życie malować? farby mu rozcierać, płótna rozciągać? Dziedziczka paru tysięcy morgów ziemi, będzie musiała żyć w sferze, umieszczonéj między pracownią, a kawiarnią, wśród ludzi, którzy tę „facetkę“ będą brać na „kawał“.

Zbliżył się do Judyty i patrząc jéj badawczo w oczy, mówił daléj.

— Czy pani pojmujesz jaką popełniłaś zbrodnię? Gdy dziewczyna się ocuci, a to nastąpi po minięciu pierwszych chwil szału, co pocznie? Nie będzie już mogła wrócić do swego świata i do swych stosunków, a otoczenie, w którém musi żyć, dusić ją zacznie. Przyjaciele artysty podrwiwać z niéj będą, a pewno i karotować, ciągnąć co się da... Jak się obroni, gdzie się skryje? Zmarnowałaś pani tę młodą, gorącą duszę, a człowieka, który ci ją oddał, oszukałaś haniebnie...

Ciężko odetchnął.

— Dziewczyna o szlachetnéj naturze, gdy zobaczy, że się znalazła w pozycyi bez wyjścia i ratunku, w otoczeniu, którém pogardza, co pocznie?

— *Sir*, *sir* — szeptała wzruszona *miss* — na takie zarzuty nie zasłużyłam.

— Judyt — zaczął cicho, a tkliwie Henryk — to ja nie zasłużyłem na taką zemstę z twéj strony.

— *Sir*, *sir*.

— Miałem dla ciebie dużo, dużo sympatyi i dla tego powierzyłem ci to, co mam najdroższego.

— *Sir*...

— Czułem, że nie jesteś dla mnie obojętną. Rozumiałem, że uczucie, jakie mam dla ciebie, przelejesz na to dziewczę, które nam los oddał. Tak wysoko oceniałem szlachetność twego serca. A ty?... Ty wypędziłaś dziewczynę z jéj własnego domu, mnie okryłaś śmiesznością, rzuciłaś na moją głowę stek ohydnych podejrzeń, zrobiłaś mnie niemożliwym w świecie i zmuszasz, abym odszedł...

Wziął rewolwer leżący na biurku.

Judyta pochwyciła go za rękę.

— Panie Henryku, samobójstwo w twoim wieku, sile, piękności, ulituj się nad sobą i nademną. Nie przeżyłabym tego okropnego nieszczęścia.

Wyrwała mu rewolwer.

— Cóż mi pozostaje?—Siadł zmęczony, blady, wyczerpany. Łzy grubemi kroplami staczały się po jego twarzy.

Judyta chusteczką zaczęła je ocierać.

— Czuję sama, że popełniłam szaleństwo—mówiła wzruszona.— Byłam opanowana przez dziewczynę, rozegzaltowana jéj egzaltacyą. Dziś dopiéro wstępuje we mnie rozwaga i wraca zimna krew Brytanów.

— Zapóźno moja droga, zapóźno... zostaliśmy siérotami.

— Tak—poświadczyła cicho—tak—powtórzyła—siérotami.

— Głupiec ze śpiczastą brodą wypędzi cię z twego przyjemnego gniazdka.

— Na to nie pozwoli *Mary* — zawołała.

— Dziś nie, lecz za parę miesięcy, za rok, któż zaręczy, że tego nie zrobi? Pokój twój spodoba się jednemu z przyjaciół; jednemu z tych wielkich, co robią na płótnach jasne i ciemne plamy. Przeniosą cię do oficyny.

— *Mary*...

— *Mary*, opanowana brutalną siłą, ustąpi, a z tobą droga Judyt zrobią to, co z niepotrzebnym sprzętem. Będziesz im zawadzać. Jeżeli on wobec mnie i *Mary* ośmielił się żartować z twych oczu, przywodzących na pamięć głębią i kolorytem morze; śmiać się z twéj zgrabnéj figurki, a miał odwagę karykaturować twój przyjemny akcent, twoje ruchy i szlachetne obejście, pełne dystynkcyi, to gdy zostanie panem w tym domu, wolno mu będzie kazać przenieść cię do oficyny. A z oficyny wiész, gdzie się wychodzi?

— Na gościniec—zawołała Judyt, łamiąc ręce.—Panie Henryku, dla czego byłeś tak straszliwie dumny i traktowałeś mnie jak sługę?

— Wobec dorosłéj dziewczyny, szpiegostwa sług, plotek, podejrzeń, należało z nieugiętą surowością dźwigać ciężar władzy i opieki. Rozumiesz teraz mój chłód i dumę.

— Rozumiem— powtórzyła. — Dlaczego mi jednak tego nie powiedziałeś, nie zwierzyłeś się? Umiałabym milczéć.

— Ale jabym nie umiał. Raz zdradzona tajemnica pchałaby mnie niepowstrzymanym pędem do katastrofy, do szaleństw.

— Do szaleństw — powtórzyła Judyt, wpatrując się w jego oczy.—Jesteś zdolny do szaleństw, ty taki zimny i obojętny?

— Mógłbym coś powiedziéć o wulkanach pokrytych śniegiem, lecz jeszcze nie mam białych włosów.

— Wezuwiusz jest czarny i brunatny od wyrzuconéj lawy — powiedziała cicho, serdecznie *miss*.

— A więc pozwalasz mi być Wezuwiuszem?... — Ujął ją za rękę.—W twéj białéj ręce Judyt, która tak pieszczotliwie dotyka méj dłoni, jest tajemnica naszéj przyszłości. Dziewczynę trzeba od-

naleść, wrócić ją światu, uratować mój honor... — Ujął jéj drugą rękę i obie przyłożył do rozpalonéj twarzy.

— Prawda, nie zastanowiłam się— mówiła wzruszona Judyta— tyś mi dopiéro otworzył oczy... Widzę przepaść, w jaką mimowoli wepchnęłam moją ukochaną *Mary*, ciebie panie Henryku i siebie. Ci ludzie z folwarku, gdy przyjdą do posiadania i władzy, będą straszni bezwzględnością.

— Ratujmy ją, jeżeli jeszcze jest czas i możność.

— Jest, jest — zawołała radośnie. — *Mary* czeka na mnie, brat malarza ma mi powiedziéć w Krakowie, gdzie ukryta... *Mary* będzie ocaloną, ty i ja... W serce moje wstępuje nadzieja, a z nią ciepło radości.

— Judyt, droga Judyt, wracasz mi honor, przyszłość, życie... — Patrząc w jéj oczy, białe, wypieszczone ręce tulił do ust.

## II.

W kilka dni późniéj w Krakowie, do drzwi pokoju w hotelu Saskim zastukał Roman, Judyta otworzyła.

— Gdzie *Mary*, gdzie *Mary*, mów, mów pan— szeptała nerwowo oczy jéj dziwnie świeciły, ręka drżała.

— Bezpieczna — odparł Roman,

— Ale gdzie, gdzie jest — zawołała gwałtownie. Twarz jéj mieniła się. Ciekawość i przestrach wyglądały z jéj zielonych, wilgotnych oczu.

Roman nie był psychologiem, lecz za to ostrożnym, a więc i podejrzliwym. Uderzył go nienormalny stan angielki, coś przypomniał sobie nagle.

— Gdzie jest — powtórzył powoli i zamyślił się.

— Mówże pan prędzéj.

— Sądzę, że jest w Wiedniu, jeżeli nie wyjechała.

— Miała wyjechać?

— Prawdopodobnie...

— Jakto?

— Przecież nie uciekała po to, aby zamieszkać w Wiedniu.

— Pojechała do Monachium.

— Przedtém jednak miała zamiar połączyć się z panią w Wiedniu.

— Nareszcie—szepnęła Judyta, odetchnąwszy głęboko — Gdzie ją znajdę?

— Na *poste restante* główněj poczty wiedeńskiéj czekał na panią list od panny Maryi, a niezawodnie i jéj adres. Do mnie się boi pisać.

— Dobrze, doskonale, jadę najpierwszym pociągiem.

— O wpół do czwartéj?

— Niezawodnie. — Zaczęła się kręcić po pokoju, jak gdyby chciała się pozbyć gościa.

— Czy kostiumy zakonnic gotowe?

— Niepotrzebne już. Mam paszporta angielskie.

— Tak rychło?...

— Miałam je dla siebie i młodéj służącéj.

— Cóż pani zamyśla. Gdzie pojedziecie?

— Nie wiem, zdecyduje *Mary*.

— Proś pani panny Maryi, aby napisała do mnie pod adresem K. R. Kraków *poste restante*. Będę czekał.

— Ja sama napiszę z pewnością do pana, gdy ją tylko znajdę. Lecz czy znajdę?

— Teraz na mniekoléj powtórzyć: z pewnością, i pożegnać panią.

— Do widzenia w Zalesiu, kochany panie Romanie. Bo że tam, wrócę—bo że tam—poprawiła się—wrócimy, bądź spokojny.

Uśmiéchnęła się nerwowo, lecz niezbyt przyjemnie, wyciągając na pożegnanie rękę.

Zaledwo Roman wyszedł, Judyta zastukała do bocznych drzwi pokoju.

Otworzyły się, wszedł Henryk.

— Słyszałeś?

— Wszystko i byłem przerażony twoją niezręcznością. Trzeba było wielkiéj naiwności wieśniaka, że się niczego nie domyślił.

— Być może; lecz, mój drogi, zrozum i pomyśl coś ze mnie zrobił? Z uczciwéj kobiéty, rygorystki, kochającéj *Mary* jak córkę...

— Zrobiłem potwora.

— Kazałeś mi zdradzać ukochane dziecko i zdradzam je podwójnie, oddając ją...

— Najlepszemu z mężów — dokończył pan Henryk.

— Zdrajcy — zalała się łzami.

— Któryż dobry mąż nie zdradza.... powiédz sama, idyllo mego twardego życia... Stało się moja droga, otrzyj łzy i do czynu-— dodał rozkazującym tonem. — Nie mamy czasu na płacze i żale. Naprzód, śmiało, Judyto, szczęście nasze w twych rękach. Zwijajmy namioty i daléj.

Zadzwonił, wszedł służący.

— Przysłać pannę do pakowania rzeczy i rachunki, wyjeżdżamy do Wiednia pierwszym pociągiem.

Służący wyszedł.

— Henryku, przynajmniéj moja zdrada musi być utajoną w oczach *Mary*.

— Koniecznie, niezbędnie. Spotkam was przypadkiem na ulicy. Przecież zostaniesz z nami i przy mnie Judyto — dodał namiętnie. — Już cię potrzebuję i pragnę. Bądź dzielną Brytanką.

— Ja jestem już tylko niewolnicą twoją.

Weszła służąca, Henryk oddalił się.

Na dworcu przed odejściem pociągu wiedeńskiego, w ciemnéj framudze, prowadzącéj do trzeciéj klasy, ukryty w półcieniu stał pan Roman, wpatrzony w główne wejście.

Tłum ludzi wił się, służba kolejowa wnosiła kufry i bagaże.

Na jasném tle we drzwiach, zarysowała się sylwetka Angielki. Blada, zmęczona, o świecących oczach, patrzała na pół nieprzytomnie. Obok niéj wyniosły, dobrze zbudowany, pewny siebie mężczyzna. Służba robiła mu miejsce. Czuć było, że człowiek ten urodził się na pana, uzdolniony do dawania rozkazów, budził ogólny szacunek.

— Nie omyliłem się — szepnął Roman — cofając się w głąb zadymionéj trzeciéj klasy, nie tracił jednak z oczu przybyłéj pary.

Henryk przywołał do siebie kogoś ze służby, dał mu pieniądze na kupno biletu, podał rękę *lady* i z majestatycznym spokojem zaprowadził ją do salonu pierwszéj klasy. Pan Roman wysunął się z ukrycia, zapytał posługacza kupującego bilety dla Henryka, czy hrabia jedzie do Wiednia. Posługacz potakująco skinął głową.

Nie było żadnéj wątpliwości. Pobiegł do telegrafu.

„Angielka jest wspólniczką słodkiego pana, pojechali do Wiednia, ostrzegam. Telegrafuj do biura w Oderbergu, odpowiedź zapłacona“.

Roman.

Telegram zaadresował do Monachium, wrócił do kasy, kupił bilet do Oderberga, siadł do ostatniego wagonu i uszczęśliwiony z dokonanego dzieła, pojechał.

Pociąg w Oderbergu zatrzymał się o dziewiątéj wieczorem. Ciemno było zupełnie. Na dworcu kolei przez oświetlone okno pierwszéj klasy, zobaczył „słodkiego pana“ z Judytą, jedzących wieczerzę.

„Słodki pan“ był prawdziwie słodkim i uprzejmym dla swéj towarzyszki i nią jedynie zajęty.

— Korzystajcie z ostatnich chwil, miłość wasza skończy się w Wiedniu.

W biurze telegraficznym czekała na Romana odpowiedź.

„Dziękuję, nie dam się wziąć, czekam na rozkazy.

Adam“.

Zadzwoniono po raz drugi, Henryk i Judyta przebiegli tuż obok Romana.

— Słodki i tkliwa Judyt, bądźcie zdrowi.

Pociąg ruszył. Czerwone jego oczy migotały czas jakiś, zmniejszały, gasły, póki się nie rozpłynęły w ciemnościach.

Pan Roman w wybornym humorze, wszedł do sali jadalnéj, kazał sobie podać kawał pieczonego mięsa i butelkę dobrego wina. Jadł, pił, rozmawiał z kelnerami, żartował, śmiał się.

Z nadejściem pociągu z Wrocławia wziął bilet w kierunku do Pesztu i przesiadając się z linii na linię kolei, dobił do Orłowa z Orłowa do Muszyny.

W nocy wózkiem góralskim pojechał na folwark swéj ciotki.

---

Po przyjeździe do Wiednia Henryk pobiegł na pocztę, lecz listu do Judyty nie znalazł. Rozpoczął poszukiwania z pomocą policyi, sypał złotem, napróżno.

Dzień za dniem schodził, horyzont nad czułą parą zaciemniał się. Judyt opanowana przez Henryka, truchlała z przerażenia, aby ją nie posądził o zdradę i nie odpędził. Zmieniła się w wiernego psa, drżącego przed wzrokiem swego pana. Henryk nie posądzał jéj o zdradę, lecz o głupotę, siebie o brak przytomności i sprytu.

— Należało zamiast jechać do Wiednia — powtarzał — śledzić draba z folwarku, onby nas najlepiéj zaprowadził do schroniska dziewczyny.

Czułość i tkliwość Judyty nużyły go, jéj niewolnicza wystraszona natura, wywoływała w nim niesmak.

Zrozpaczony i zły, znękany i upokorzony, godzinami chodził po pokoju. Judyta wodziła za nim przerażonym wzrokiem.

Szóstego dnia pobytu w Wiedniu, przywołał go do siebie dyrektor policyi i oświadczył, że osoby, któréj szuka, prawdopodobnie nie ma w Wiedniu. Policya w Monachium śledzi młodego człowieka od pięciu dni, lecz jak dotąd napróżno.

— Maluje w pracowni, idzie na obiad, wraca do pracowni, wieczorem z kolegami na przechadzkę i do kawiarni... Zwykły tryb jego życia.

— Czeka na rozkazy — rzekł Henryk.

— Niezawodnie— odparł dyrektor — lecz kto mu je poda? Odkąd jest śledzony, nie odebrał ani jednego listu...

Należało na coś się zdecydować, coś stanowczego postanowić. Wracać do Galicyi nie chciał za żadną cenę. Wstyd i obrażona ambicya zamykały mu możność powrotu.

— Judyt, sprobujmy Monachium -- zdecydował Henryk po powrocie z biura policyi.

— Sprobujmy — powtórzyła szybko, zerwała się jak automat, zabierając się do pakowania rzeczy.

— Przychodzi mi idea...

Judyta zatrzymana temi wyrazami stanęła.

— Ciśnie mi się na pamięć — mówił dalej — jeden ustęp biblii starego testamentu. Romantyczna historya. Twoja imienniczka bohaterką.

— Judyta i Holofernes.

— Byłem pewny, że odrazu zgadniesz. Wy angielki znacie wybornie stary testament. Jakże ci się ta historya podoba?...

— Straszna... Młoda dziewczyna rozkoszuje się w objęciach barbarzyńca, a potém łeb mu ucina.

— Straszna, ale wspaniała. Bohaterska Judyta uratowała losy Izraela i miasta. Legenda ta, namiętna i gorąca jak krew ludzi południa, tchnie żarem podzwrotnikowego słońca. Lubieżna i krwawa, piękność i podstęp, rozkosz i śmierć.

Mówiąc to, Henryk wpatrywał się swemi piwnemi oczyma w towarzyszkę.

Judyt blada, zmęczona, zasłuchana, utkwiła wzrok w przestrzeń.

— Holofernes jest — zaczął cicho — i Judyta jest.

Biedną kobietę przeszły dreszcze.

— Coś ty powiedział?...

— Że Holofernes zastępuje nam drogę powrotu do Zalesia — urwał.

— A więc dalej — mów.

— Czyn izraelskiéj dziewczyny był wielki.

— Czego chcesz?...

— Gdy zabraknie Holofernesa, jesteśmy we troje uratowani.

— Czuję, że jestem w twéj mocy, że mógłbyś zrobić ze mną co ci się spodoba, lecz wolę śmierć, niż zbrodnię.. Nigdy, nigdy, ulituj się nademną — padła na kolana.

— Judyt moja—podniósł ją i przytulił — nie chcę być twym despotą, lecz sługą... Czyny nasze dotąd szlachetne. Mam prawo do twéj sympatyi. Zrozpaczonemu, któremu ostatnie promyki nadziei gasną, przychodzą do głowy potworne pragnienia, halucynacye, nie-

dorzeczne zamiary... Nie mówmy o tém, jeżeli ten przedmiot jest dla ciebie nieprzyjemny.

— Przeraża mnie i straszy... Boję się ludzi, całego świata, siebie saméj...

Judyta całą noc nie spała. Henryk słyszał jéj urywane wyrazy, modlitwy, zaklęcia. Bała się jego wpływu — i siły rozkazu, — drżała przed nim.

Nazajutrz zmienił taktykę. Był bardzo serdeczny, tkliwy, słodki.

## III.

W Monachium policya wskazała Henrykowi mieszkanie i pracownię młodego artysty, restauracyę, w któréj się stołuje, kawiarnię, w któréj bywa wieczorami.

— Koniecznie należy wydobyć z niego tajemnicę, choćby połowę, choćby jeden promień prawdy, aby przy jego świetle zagłębić się w tę ciemną noc i znaleść ścieżkę.

— Koniecznie—powtórzyła Judyta—lecz jak?...

— Oczaruj go, jak mnie oczarowałaś.

— To raczéj ty mnie, mój drogi—westchnęła.

— Dobrze, niech on cię oczaruje, bylebyś od niego wydobyła prawdę. Tyle sposobów ma zręczna kobiéta dowiedziéć się wszystkiego, czego chce.

— Nie posiadam zręczności. Świeżość méj inteligencyi, twórczość, pomysły, zaprzepaszczone. Od chwili, kiedym została z tobą, pod twym wyłącznym wpływem, czuję ciężar gniotący mój mózg.

— Odzyskasz wszystkie władze, gdy zobaczysz jedynego naszego wroga. On, albo my. Judyto, szkoda marnować życia, jest ono piękne i przyjemne w szczęściu; w nieszczęściu ciężarem.

— A więc?

— Bądź ujmującą, serdeczną. Spotkacie się przypadkiem na ulicy, obok restauracyi. Razem pójdziecie na obiad. Pogawędka przy szklance piwa, zaprawiona zręczną kokieteryą i naiwnością angielską wiele może. Wy, córy Albionu, dużo posiadacie wrodzonéj naiwności.

Pan Henryk spojrzał na zégarek.

— Już czas, idź i wracaj z dobremi wieściami--czekam.

Judyta wyszła. Drogę od restauracyi do pracowni przebywała wolno. Smutna była, zdenerwowana, nie wiedząc, jakie rozkazy wyda za godzinę jéj pan.

— Ach, jakże mnie ta poczciwa Judyta niewypowiedzianie męczy—zawołał Henryk, wznosząc ręce w górę. — Gdyby to była francuska ze swym sprytem i przebiegłością, nareszcie włoszka ze swą namiętnością i energią, możnaby dużo zrobić, jeżeli nie wszystko. Ta zgnębiona niewolnica, myśląca o swym grzechu i zdradzie, jest nieco nudna na towarzyszkę...

Wesoły, uśmiechnięty, żywy w ruchach, z wywiniętym od koszuli kołnierzem i jasną jedwabną chustką, na szyi związaną *à la Byron*, w aksamitnéj marynarce, a fantastycznym kapeluszu, dzwoniąc laseczką o bruk, szedł Adam z miną człowieka, który podbił świat, a raczéj pokonał formę, co u artystów na jedno wychodzi. Niebieskie jego oczy tęskliwe, rozmarzone, patrzały daleko przed siebie, nie widząc otaczających go przedmiotów.

Gdy go Judyta spostrzegła, wszystkie radosne wspomnienia z Zalesia zaczęły gwałtownie tłoczyć się jéj do mózgu, rozrzewniać serce.

— *Mister* Adam, *sir*—zawołała radośnie i serdecznie, wyciągając ręce.

Zbudzony cofnął się, lecz w téj chwili zapanował nad sobą. I jemu również wspomnienia błyskawicą radości oświeciły umysł.

— *Miss* Judyta tutaj, co pani robisz, skąd przybywasz?

— Jakto, pan nic nie wiész? *Mary* uciekła z własnego domu.

— Ależ wiem, pisał mi brat. Jakieś okropności, żandarmi, rewolwery, słodki pan...

— A to wszystko zrobiła dla ciebie, *sir*. Nie chciała zostać żoną pana Henryka. Przelękła się jego teroryzmu. Resztę lepiéj wiész ode mnie, bo ja już nic nie wiem.

— A ja bardzo mało. Lecz po cóż pani tu przyjechałaś?

— Od pana dowiedziéć się o *Mary*. Idziesz na obiad, chodźmy razem — pomówimy.

— Służę pani, a co do panny Maryi, to tylko wiem, że jest w jednym z klasztorów w Belgii. Tam postanowiła czekać na swą pełnoletność.

— Gdzie? pojadę do niéj—będziemy czekać razem.

— Gdybym wiedział, poleciałbym, zobaczyć ją choć przez kratę.

— Prawda, niezawodnie.

Zasiedli przy osobnym stoliku w sali wypełnionéj przeważnie artystami różnych narodowości.

do charakterystyki dróg prywatnych, twierdzi, że „samodzielne i mimo wszystkich przepisów prawnych, nie dające się skontrolować panowanie towarzystw kolejowych nad ważnemi interesami społecznemi całych prowincyi, przemienia administracyą wielkiéj kolei prywatnéj w istotny rząd partykularny, który czuje w sobie powołanie, potęgę i siłę kierowania ruchem gospodarczym, z pominięciem interesu ogólno-państwowego, jedynie w celu osiągnięcia zysków dla prywatnego przedsiębiorstwa akcyonaryuszy. Koleje żelazne są według swego przeznaczenia i zastosowania publiczną instytucyą komunikacyjną... charakter ich spekulacyjny tylko o tyle uwydatniać się może, o ile to się zgadza z zasługującém na pierwszeństwo dobrém ogólném. Odpowiednio do téj sankcyonowanéj przez prawodawstwo i wskazanéj dobrem państwowém zasady, uważano stale, zlecenie budowy i ruchu dróg żelaznych prywatnym tylko, jako przejściowy stosunek, zaś nabycie ostateczne dróg prywatnych na rzecz państwa, jako coś naturalnego, co się samo przez się rozumiało“. Na przypadek, gdyby drogi państw sąsiednich — po za granicami Niemiec — przejść miały w posiadanie rządowe, a Prusy i Niemcy pozostały przy swém rozbiciu, wtedy ucierpiałby handel krajowy, zdany postronnym mocarstwom na łaskę i niełaskę. „Konstytucya rzeszy, czytamy daléj, w zgodzie z ideą narodową i potrzebami komunikacyi i obrony kraju domaga się, jednolicie ułożonego systemu dróg żelaznych, podniesienia tychże na stanowisko prawdziwie narodowéj instytucyi komunikacyjnéj“. Wielce zajmujące są, z powodu ich dwulicowości, objaśnienia kanclerza, dla czego przenosi energiczną akcyę na drodze polityki kolejowéj z Prus do Niemiec. Rozszerzeniem kolei pruskich państwowych powiększyłby się partykularny wpływ Prus na losy Niemiec, natomiast koleje w ręku rzeszy stanowić będą środek do wzmocnienia jednoczących węzłów narodowych. Zbyt sztuczne to rozróżnianie wpływów partykularnych Prus i Niemiec, gdyż wobec widocznéj przewagi Prus w Niemczech, wobec tego, że król pruski jest zarazem cesarzem niemieckim, wzmocnienie centralnéj siły w Niemczech wyszłoby głównie na korzyść pruskim wpływom i poglądom. Odczuły to natychmiast instynktownie państwa związkowe, u których separatyzm i partykularne poglądy dotąd nie wymarły.

Gdy mimo to mowa tronowa, zagajająca sejm 19 stycznia 1876 r., ani wzmianki nie poświęciła sprawie poruszonéj przez usłużne księciu kanclerzowi pióro, opozycya na chwilę odetchnęła. Obrady ministeryalne ówczesne oczywiście osłonione były jak najściślejszą tajemnicą. Wkrótce jednak znowu wieści, podobne dawnym, zaczęły krążyć po gazetach, a rozczarowanie nastąpiło zupełne, gdy pod koniec marca

przedłożono sejmowi pruskiemu projekt, odpowiadający zupełnie szerzonym poprzednio pogłoskom. W motywach zaś do prawa, ułożonych w pruskiém ministeryum, umieszczono na wyraźne życzenie Bismarcka, przestrogę dla opozycyjnych rządów niemieckich, że jeżeli projekt upadnie, natenczas Prusy postarają się o rozszerzenie swojéj sieci kolejowéj, czyli, innemi słowy, że zagrożą swą przewagą samodzielną politykę kolejową rządów partykularnych. Wniosek rządu przyjęto téż istotnie w sejmie pruskim, lecz w Saksonii, Bawaryi i Wirtembergii podniósł zagrożony partykularyzm odważnie głowę i znalazł silne poparcie w swych reprezentacyach sejmowych. W sejmie bawarskim odpowiedział minister Pfretzschmer na interpelacyą posła partyi katolickiéj Freytaga, że „rząd bawarski nietylko praw wyjątkowych sobie przyznanych nigdy się nie wyrzecze, lecz zarazem wszystkiemi środkami prawnemi oprze się centralizacyi dróg żelaznych po za granicami Bawaryi się znajdujących“. Sejm saski przyjął 66 głosami przeciwko 7 wniosek, aby „rząd wnioskom wystosowanym do rady związkowéj, zamierzającym nabycie wszystkich lub części kolei żelaznych niemieckich przez rzeszę, odmówił swego poparcia“. A nawet choćby podobny projekt nie miał być rządowi saskiemu przedłożonym, ma i bez tego przedstawić kanclerzowi rzeszy swe zastrzeżenia przeciwko podobnym zamiarom. Minister Friesen w swéj odpowiedzi zaznaczył, że stanowisko rządu króiewsko-saskiego w sprawie kolejowéj zbyt jest znane, aby potrzeba było jakichkolwiek z jego strony objaśnień. Wnioskowi o prawo kolejowe dla całych Niemiec, stawionemu przez mniejszość, któréj przewodził profesor Biedermann oparł się minister stanowczo, a winę nieurzeczywistnienia reformy taryfowéj, spędził na zły system alzacko-lotaryński i gnuśną nieudolność urzędu kolejowego.

Pod wpływem zagrażających drobnym państwom związkowym zapowiedzi, zabrano się natychmiast w Saksonii do układów o zakupno kolei prywatnych, by na wszelki wypadek tém silniejsze zdobyć dla siebie stanowisko wobec rządu centralnego cesarstwa. Przepłacono jednę z najstarszych kolei niemieckich lipsko-drezdeńską, a uczyniono to na wieść o pruskich usiłowaniach, byle tylko rzesza czasem ręki po nią nie wyciągnęła. Wówczas udało się Saksonii przeprowadzić u siebie czysty system kolei państwowych. Równocześnie nie zasypiały Prusy sprawy, i pod koniec czerwca postawiły w sejmie wniosek, by przejąć na siebie gwarancyę i administracyą linii berlińsko-drezdeńskiéj. W ten sposób miał urzędnik kolejowy pruski, jak się złośliwie wyraża bezimienna współczesna broszura, „dotrzéć aż do serca państwa saskiego“. Nie można się dziwić, że w tych warun-

kach organ dworu saskiego zaciętą prowadził polemikę przeciwko kolejowym projektom kanclerza. Dodajmy dla uprzytomnienia sobie, jak wówczas wrzały umysły, że rozprawy w sejmach bawarskim i saskim nastąpiły jeszcze przed ogłoszeniem projektów pruskich, jedynie na samą wieść o nich.

W Wirtembergii znalazł ks. Bismarck gorliwego obrońcę w osobie wspomnianego już posła parlamentu Elbena. W organie poczytnym bardzo w Szwabii wirtemberskiéj pisał Elben gryzącém piórem, że „partykularyści, ultramontanie i radykaliści w nowéj polityce kolejowéj z ową bystrością wzroku, którą daje nienawiść, spostrzegli nową potężną dźwignię ekonomicznego podniesienia narodu, czemu jakoby instynktem swym wiedzeni, w samym początku oponować muszą". W sejmie jednak wirtemberskim zwolennik kanclerza nie znalazł poparcia, gdyż za wnioskiem jego tylko 6 oświadczyło się głosów. Dobitnie charakteryzuje panującą w Wirtembergii nieufność i niechęć dla zamiarów Bismarcka, że zaniechano z rozmysłem uporządkowania znajdującéj się w nieładzie statystyki kolejowéj, ażeby nie pozwolić, jak się wyrażano znacząco, każdemu wglądać do tych spraw, gdyż toby mogło powiększyć u niektórych apetyt na koleje wirtemberskie.

W osobnéj broszurze, skierowanéj głównie przeciw motywom dodanym do pruskiego prawa, oświadczyły skoalizowane prywatne koleje niemieckie, że jedynie odpowiednim jest czysto teoretyczny nadzór rzeszy. Wtedy albowiem, gdy rzesza również sama posiadać będzie na własność drogi żelazne, zejdzie z natury rzeczy ze stanowiska bezstronnego rozjemcy i stanie się przy sprawach spornych stroną interesowaną.

Prawo pruskie o przelaniu kolei na rzeszę, które taką wywołało wrzawę, upoważnia rząd pruski do zawarcia następnego układu z rządem niemieckim. Prusy ustępują Niemcom własności dróg żelaznych państwowych, za stosownem wynagrodzeniem; daléj praw swych wobec dróg prywatnych. Cesarstwo zaś przyjmuje na się wszystkie zobowiązania Prus wobec kolei i wchodzi w używanie praw wszystkich, które Prusom przysługiwały. Motywa do prawa podają zgodnie z istotnem położeniem, że rozwój dróg państwowych pozostał w tyle po za prywatnemi. Wskutek wielkiego rozgałęzienia się dróg prywatnych, został nadzór nad niemi znacznie utrudnionym. Ponieważ zaś takowy, według konstytucyi zjednoczonych Niemiec, jest atrybucyą rządu cesarskiego, więc się mu oddaje, dla energiczniejszego przeprowadzenia nadzoru, koleje pruskie.

Zaraz po podpisaniu i potwierdzeniu nowego prawa przez króla

4 czerwca 1876, nawiązał kanclerz układy o zakupno dróg pruskich przez rzeszę. Był jednak przeciwnym połączeniu owych układów z ponownem przedłożeniem nowego prawa kolejowego ze strony Prus, ze względu na objawiającą się wszędzie w Niemczech partykularystyczną niechęć. Trzeba w téj sprawie, by nie popsuć powodzenia układów, uniknąć—jak pisał 12 czerwca 1876 r. — „taktycznego błędu“ wobec niemieckich rządów związkowych i tymże raczéj pozostawić inicyatywę w propozycyi prawa kolejowego. Równocześnie jako rozważny polityk pobudzał kanclerz, ze względu na ewentualność niekorzystnego przebiegu układów, energią swych kolegów pruskich na obradach ministeryalnych, w celu jak największéj konsolidacyi pruskich kolei państwowych. Z prawdziwém zajęciem śledzić można wysiłki ks. Bismarcka w przeprowadzeniu tych zamiarów, mianowicie, że spotykał się ciągle z przeszkodami, nie wyłącznie tylko przez związkowe państewka stawianemi. Przytoczymy dla przykładu, że na pismo obszerne z 12 czerwca 1876, wystosowane do ministra handlu Achenbacha nie odbierał żadnéj odpowiedzi; musiał mu więc, przypomniéć po upływie pół roku przeszło, w dniu 27 stycznia 1877 r. sprawę naglącą. A gdy nareszcie 8 lutego t. r. otrzymał odpowiedź, dowiedział się z niéj o tylu trudnościach, podnoszonych wobec zamierzonych układów kolejowych ze strony ministra finansów Camphausena, że nie mógł z żadną urzędową wiadomością stanąć przed parlamentem niemieckim. Nawet po roku sprawa z miejsca nie ruszyła, a na zapytanie posła opozycyjnego Richtera (25 lutego 1878) o losy projektu zakupna kolei pruskich przez Niemcy odpowiedział kanclerz wymijająco, że nic stanowczego zakomunikować nie może, gdyż brak mu dotąd rezultatu obrad wydziałowych w ministerstwie pruskiém. Odłożono więc rzecz *ad calendas graecas* i zwrócono się do sprawy pozytywniejszéj i bliższéj zaprowadzenia ładu we własnym domu w obrębie czarno-białych słupów granicznych, a w tym kierunku najczynniejszym był Maybach, który w marcu 1878 po ustąpieniu Achenbacha objął tekę ministra handlu [1]).

Niebawem po wyjaśnieniu sytuacyi zwrócono znowu baczniejszą uwagę na taryfy kolejowe. Wspomnieliśmy, że sprawa reformy taryfowéj znaczne przedstawiała trudności, raz z powodu braku jednolitéj organizacyi kolei niemieckich, a po drugie, że względne zalety tego lub owego „zbawczego“ systemu, nie mogły wyłącznie kwestyi rozstrzy-

[1]) Dodajemy dla objaśnienia karyery ministeryalnéj Maybacha, że w roku 1879 oddzielono sprawy handlowe i przemysłowe z pod jego kompetencyi i zamianowano go ministrem robót publicznych.

wojuje, nie podbije wielkością i wyższością — czém? Spojrzyj na portret.

Nastała chwila milczenia.

Adam zaczął chodzić nerwowo po pracowni.

— A jeżeli mi się uda ją podbić?

— Życzę—rzekła Judyta—lecz z niemką nie potrzebujesz pan walczyć. Ona żartuje sobie z pańskiéj wielkości, sławy, powodzeń i zwycięstw. Ona pana kocha dlatego, żeś się jéj podobał. Pan, tylko pan jesteś dla niéj wszystkiém, a niczém pańskie zwycięstwo formy, sława, talent.

— Musiałem się jednak podobać pannie Maryi...

— Niezawodnie; lecz *Mary*, pisząc do mnie list w czasie swéj ucieczki, napisała o panu: „Pokonał formę! Judyto, czy ty to pojmujesz?“ Wtedy nie zastanawiałam się nad tém, dziś wybornie rozumiem.

Adam stanął raptownie.

— Co?—zapytał przestraszony.

— Że ucieczkę *Mary* zdecydowała wiadomość o pańskiém zwycięstwie. Gdyby się panu nie udało zwyciężyć—zostałaby. Henryk podał do sądu o jéj usamowolnienie, ślub miał nastąpić za dwa miesiące, robiono przygotowania. Mówię szczerą prawdę... Cóż pan tak na mnie patrzysz.

— Nie, nie, zupełnie na panią nie patrzyłem, lecz w głąb méj duszy.

— I cóżeś zobaczył?

— Nie miałem jeszcze czasu rozejrzéć się.

— Przerwałam panu—przepraszam.

— Po co mi to wszystko pani mówisz, w jakim celu, kto panią namówił...

Judyta się zmieszała.

— Dziwne pan zadajesz pytania. Rozmawiamy, jak dobrzy i starzy znajomi.

— Dawniéj, nie ma jeszcze roku, inaczéj pani traktowałaś moją miłość i sympatye do mnie panny Maryi.

— Miłość pańska i przywiązanie *Mary* były wtedy w dziedzinie marzeń. Wszyscyśmy marzyli. Dziś wchodzimy na drogę praktyczną.

— Czy nie należało mi oszczędzić tych podejrzeń?

— Ja nic nie podejrzéwam.

— Czy nie byłoby szlachetniéj ze strony pani nie rzucać mi w serce tych ziarn, które bardzo szybko wschodzą.

— Panie Adamie—Judyta wyciągnęła ręce—nie przeczuwałam, że gadaninę moją weźmiesz do serca.

— To nie gadanina — odpowiedział. — Rozżarzyłaś pani iskry, które na dnie mego serca, zasypane popiołem optymizmu, tlały.

Siadł na drewnianém krześle, wyciągnął nogi, ręce włożył w kieszenie, głowę pochylił na piersi.

Judyta się zerwała.

— Bądź pan dobréj myśli. Serce kobiéty ma wiele, bardzo wiele komórek. *Mary* jest przedewszystkiém dobra i szlachetna. Gdy panu raz odda rękę, to choćby się w tydzień rozczarowała, nie powié, nie zdradzi się. Niczego się pan nawet nie domyślisz.

— Zmiłuj się — zawołał Adam — i nie dręcz mnie. To właśnie jest najstraszniejsze, że nie powié, a ja zacznę się domyślać lub podejrzéwać.

Zerwał się i znowu zaczął chodzić wielkiemi krokami.

Judyta czuła, że się zagalopowała.

— Jeżeli ten rodzaj rozmowy irytuje pana, nie wznawiajmy go nigdy.

— Dobrze, jeżeli już nie jest zapóźno. Wszczepiony w serce jad jątrzy ranę.

— Gdy tylko ujrzysz pan *Mary*, wszystkie wątpliwości rozstąpią się, jak mgły od ciepła jéj spojrzenia. Młodość, piękność, szczęście, gorąca krew...—zaczęła się śmiać.—Nie rozpaczaj! Wy, artyści, macie nerwy z pajęczyny i więcéj wrażliwości od kobiét. Przebacz mi i nie gniéwaj się, będę milczéć, jak grób—do widzenia!

Wyszła.

— Przeklęta, wydobyła z głębi mego serca wszystkie bóle i zatargała. Czego ona chce? Kto tę głupią facetkę nauczył czytać w mych myślach? Czy to nie robota „słodkiego“?

Stanął przed portretem.

— I ja—zawołał—mam zostać mężem téj dumnéj, pięknéj pani! Artysta zakochany w swéj sztuce; człowiek cichy i skromny, unikający świata, ludzi, mający wstręt do blasku, zbytku i użycia... Czy ja ją kocham?...—zamyślił się głęboko. Nie wiem, nie mam o tém pojęcia. Ja ją czczę i zarazem boję się jéj, ona mi imponuje, upokarza i onieśmiela. Nie jestem z nią swobodny, jak z Kätti, wobec niéj nie potrafię być sobą, czegoś mi brakuje, tracę część swéj istności. Chcę być panem, a czuję, że jestem niewolnikiem. Naprawdę, co ja mogę miéć wspólnego z tą wielką panią? Wyrwę ją z jéj otoczenia, wydrę z jéj świata, salonów do... do czego? Do tych rozbitych na ramach szmat, do trujących farb i do tych miernot moich. Boże, Boże—zanu-

rzył palce rąk w gęstéj czuprynie i zatargał.—A tom się ubrał! Im bliżéj téj wielkiéj, stanowczéj chwili, tém większy strach mnie opanowuje. Czuję, że nie jestem stworzony do roli, jaką mi los narzuca. A jednak bez téj myśli, bez nadziei, bez ciebie saméj—szeptał, wpatrując się w portret,—nie byłbym w stanie żyć, nie znalazłbym dla siebie materyału do życia. Nie wiedziałbym, co z sobą robić! Za miesiąc, może wcześniéj, ja mężem téj pani, téj wielkiéj pani.

W téj chwili klamka się poruszyła, drzwi zaskrzypiały.

— Czy wolno, — odezwał się młody głosik, dźwięczny, jak dzwonek.

Do pracowni wbiegła Kätti w białéj, wygorsowanéj sukience. Główkę i ramiona miała okryte gazą, kwiaty we włosach.

— Ta przeklęta angielka nie dała mi mówić, uprzedzić pana. Teraz dopiéro przychodzę pokazać się panu, jako artyście. Może znajdziesz co do poprawienia — patrz? Stanęła na przewróconéj od obrazu niskiéj pace.

Zachwycony artysta zbliżył się, aby kwiaty poprawić, dotknął się jéj ramion. Niemeczkę przeszły dreszcze, przysunęła się, nadstawiła usta do pocałunku. Nerwowo odchyliła gazę, ujęła głowę Adama w swe ręce i twarz jego przytuliła do wyglądających z po za białego stanika białych piersi, podobnych zapachem i delikatnością skóry do dwóch pączków róży.

— *Mein Schatz*, *mein Kind*, *mein Gott* — szeptała pieszczotliwie cicho.

— Kätti — rozległ się łagodny głos matki — spiesz się, konie czekają.

— Zaraz, zaraz, już jestem—zawołało dziewczę.

Jeszcze raz nadstawiła usta, zeskoczyła z paki.

— Dziś ślub Klary, znasz ją pan. Kazała pana prosić. Przyjdź mój skarbie! Potrzebuję cię, jak ptak powietrza. Przyjdź, zrobisz mi wielką łaskę, radość, będę bardzo szczęśliwą.

— Kätti!

— Idę—*Canon-gasse*, czwarty numer. Przyjdź, proszę!

Wybiegła.

Adam patrzył za nią rozbrojony, upojony, oczarowany.

— Ta biała sukienka, biało-różowe pachnące ciałko, swoboda, szczęście, uśmiech, — gotowy model do przyszłego obrazu! Ona mnie kocha dla mnie. Nie pyta się, czym pokonał formę, czym dostał medal. Wielkie imię, sława—nic ją nie obchodzą. Jestem jéj skarbem, dzieckiem, bogiem—dosyć...

Pochwycił kapelusz, zbiegł ze schodów, wpadł do kawiarni, aby

wśród kolegów rozproszyć tłoczące się myśli, ułagodzić gniew, ugasić ogień, przelatujący po jego nerwach.

Towarzystwo w kawiarni nie uspokoiło go. Wieczorem wrócił do domu, chodził po pracowni dużemi krokami, a gdy się zmęczył, bezwiednie prawie zaczął się ubierać. Wdział frak, biały krawat, znalazł w komodzie jasne rękawiczki, w których odbierał medal.

Udawał, że nie wie, co robi. Przejrzał się w lustrze, ułożył artystycznie czuprynę, poprawiając wąsy.

Wyszedł, stanął w bramie i rozważał. Nadjechała dorożka, zatrzymał ją i wsiadł.

— *Canon-gasse*, numer czwarty.

— To i pan na wesele—odezwał się stary Bawar z kozła. — Zawiozłem stąd śliczną *mädel*. To za nią pewno—ładna bestyjka. Roześmiał się grubo i śmignął batem nad starą szkapą.

Odjechali.

(*D. c. n.)* *Sewer.*





NOWE SZCZEGÓŁY

# Z ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI MICKIEWICZA.

Ciągle, choć potroszę, przybywa materyałów do wniknięcia dokładniejszego w życie i działalność największego poety naszego. Dostarcza ich nietylko towarzystwo literackie imienia Mickiewicza we Lwowie, skupiające prace różnorodnych autorów i wspomnienia, lecz także poszczególni badacze w ogłaszanych przez siebie rozprawach i dziełach. Nic wprawdzie w ostatnich latach nie pojawiło się takiego, coby zmienić mogło mniéj więcéj znane i ustalone pojęcia, coby stanowiło przewrót w poglądach dotychczasowych, ale bądźcobądź w wycieniowaniu charakteru samego poety i osób z nim związek mających, w ustaleniu wielu dat, w sprostowaniu mylnych twierdzeń, w głębszém wejrzeniu w natchnienia wieszcza, dokonano już niemało.

Wiele z tych sprostowań i uzupełnień jest tego rodzaju, że z powodu luźności i drobiazgowości swojéj mogą zająć specyalnych jedynie badaczów literatury; są wszakże i takie, które zainteresować zdołają większą liczbę ludzi, pragnących mieć o najznakomitszym poecie informacye szczegółowsze.

Niestrudzony w poszukiwaniu syn poety p. Władysław Mickiewicz, rozporządzający wielu niedrukowanemi dotąd materyałami, a mianowicie pamiętnikami i listami, w cennym „Żywocie“ swego ojca (Poznań, 1890, tom I-szy) podał sporo wielce ciekawych dokumentów. Niektóre z nich rozświetlają uczucia przez Mickiewicza wzbudzane i podzielane; z niemi przedewszystkiém zaznajomić chcemy czytelników naszych.

I.

Wszyscyśmy dotąd wiedzieli, że pierwszą miłością 20-letniego studenta uniwersytetu była Maryla Wereszczakówna. Tego charakteru nie utraci ona nigdy, to niewątpliwa; lecz że serce poety żywiéj zabiło przed nią dla innéj kobiéty, dowiadujemy się z opowiadania Aleksandra Chodźki. Chodźko jak w młodości wielbicielem, tak późniéj w Paryżu, od czasu zwłaszcza zajęcia się Towiańszczyzną, był serdecznym i zaufanym druhem poety i skrzętnie notował rozmowy z nim prowadzone. Mickiewicz, gdy wkoło niego nie było dużo osób, chętnie zwracał pogadankę do rzeczy potocznych i lubił odświéżać wspomnienia dawniejsze. Raz, 18 czerwca 1846 r. cały wieczór spędził Chodźko sam na sam z poetą, który mu tonem swobodnym, może nawet troszkę żartobliwym, odmalował owo przelotne zajęcie serca swego. Słuchacz spisał to opowiadanie. Ponieważ jest ono jedyném źródłem do tego epizodu z życia Mickiewicza, nic lepszego nie ma do zrobienia, jak je w całości powtórzyć:

„Przed Marylą kochałem Józię: śliczna, świeże usta, białe zęby. W domu ich, małym zaścianku, samo życie i radość. Pamiętam, gdy kładła zauszniki i ubierała się, wychodząc na pole, siostra moja (potém Stypułkowska) mawiała: oto, gdyby wszystkie żniwiarki takie ładne były! — Znalazłem ją raz w polu siedzącą na snopie z gitarą i śpiéwającą silnym, czystym głosem. Przy niéj jakiś komisarz (!), zapewne kochanek, płakał bujnemi łzami. Moja miłość do Józi nie miała nic namiętnego; lubiłem siedzieć przy niéj, tyle z niéj wionęło świeżości i życia. Po kilku latach straciłem ją z oczu i wiedziałem tylko, że wyszła za mąż za krewnego mego, Felicyana Mickiewicza. Będąc na wakacyach, w blizkości, wstępuję do niéj. Parobek w brudnéj koszuli kłania się w pas.—Czy jest pani Felicyanowa?—A jest, paniczku... Przychodzę; dwoje małych dziatek, a ona ubrana brudno, zżółkła, wychudła, zbrzydła; ledwo przypomniałem sobie, że to Józia. Zaczęła rzewnie szlochać: mój Boże, ja tak poszpetniała! Parobek był to także mój krewny, chodził do szkół i słynął z dowcipu, ale teraz nie mogłem dopytać się u niego ani słowa; więc mi wstyd było mojego fraka i chustki (!), żenujących tych poczciwych ludzi.“

Z téj relacyi prawdopodobne wolno wyciągnąć przypuszczenie, iż zachwycił się Mickiewicz Józią jeszcze jako uczeń szkół nowogrodzkich, a rozczarował („po kilku latach“) jako student uniwersytetu, mo-

że tych samych wakacyi 1818 r., kiedy miał poznać Marylę i doświadczyć wzruszeń o wiele silniejszych.

Do dziejów téj pierwszéj wielkiéj i wpływowéj miłości przydał p. Władysław Mickiewicz 10 listów Maryli, z których do niedawna dwa tylko maleńkie urywki były znane. Przechował je poeta starannie w osobnéj kopercie z napisem: „Listy z Litwy“, mieszcząc w niéj miniaturowy portrecik Maryli i zeschły liść tak dobrze znany z „Dudarza“ i z „Dziadów.“ Nie objaśnia nas czcigodny autor „Żywota“ czy to liść cyprysowy, czy jodłowy, ale stwierdza, że nie był on w utworach wieszcza poetyckiém zmyśleniem, lecz istotną pamiątką.

I jeszcze jeden szczegół z „Dziadów“ znajduje faktyczne uzasadnienie w liście, a raczéj króciutkim bileciku Maryli. Któż nie pamięta owéj wstrząsającéj sceny pożegnania wśród nocy, w ogrodzie, przy altanie, kiedy odjeżdżający nazajutrz Gustaw, błądzi po zaroślach i w rozmyślaniu a modlitwie szuka téj zbroi, którąby „odział serce miękkie z przyrodzenia i wytrzymał ostatni pocisk jéj spojrzenia.“ Noc była „najpiękniejsza“!

Na kilka godzin pierwéj wylały się deszcze;
Cała ziemia kroplistą połyskała rosą,
Doliny mgła odziewa, jakby morze śniegu;
Z téj strony chmura grube napędzała lawy,
A z tamtéj strony księżyc przezierał bladawy;
Gwiazdy toną w błękicie po nocnym obiegu.

Wtedy to śród téj nocy „najpiękniejszéj“ cios najboleśniejszy dotknął kochanka-poetę; słowa: bądź zdrów, zapomnij — wymówiono ze łzą w oku, a bladością wielką na licu; wtedy dostał na pamiątkę urwaną przez Marylę gałązkę — wszystko, co im „tu na ziemi“ zostawało.

Otóż pomiędzy listami, z taką czcią przez poetę przechowanemi, znajduje się jeden zwięzłością swoją wymowny, który, jak się zdaje, zostaje w faktycznym związku z ową sceną. Maryla naznacza stęsknionemu i zbolałemu poecie schadzkę:

„O 12-éj wieczór w tém miejscu, gdzie byłam raniona gałęzią; a jeżeliby coś arcyważnego przeszkodziło, wtenczas na granicy, w piątek o 5-éj godzinie.“

Kiedy to było, liścik nie mówi, gdyż wogóle listy Maryli, jak zwykle korespondencya niewieścia, zwłaszcza dawniejsza, dat ścisłych nie posiadają; czasami oznaczony jest dzień, ale rok nigdy. Prawdopodobném jest jedynie, że taki bilet mógł powstać chyba tylko w chwili stanowczéj, rozstrzygającéj; a więc wówczas, gdy Maryla

zdecydowała się wyjść za Wawrzyńca Puttkamera. Spotkanie się ówczesne było bolesném dla obojga rozstaniem się, ale bynajmniéj nie zerwaniem wszelkich stosunków. Łatwo przypuścić, że dla obojga poetycznie nastrojonych wystarczała ostatecznie świadomość, iż się dusze ich rozumieją i sobie są poślubione. Wszak słowa księdza w „Dziadach“ o spójni dusz uznaje Gustaw za wyrazy podsłuchane w czasie owéj rozmowy:

Jakakolwiek przeszkoda tutaj was rozdwoi:
Idą ku sobie gwiazdy, choć je mgły zaciemią,
Mgła zniknie, gwiazda z gwiazdą na wieki się spoi;
Łańcuchy, *tu* wiążące, prysną razem z ziemią,
A tam nad ziemią znowu poznają się swoi.

Czysto duchowa atoli spójnia dusz bez żadnéj oznaki materyalnéj nie była, w pierwszych mianowicie latach po rozstaniu, możliwą. Zarówno poeta, jak i Maryla uczuli potrzebę komunikowania się bezpośrednio lub pośrednio, bez najlżejszéj zresztą obrazy czci Wawrzyńca Puttkamera, który został mężem Maryli 2 lutego 1821 roku. Z listów przechowanych przez Mickiewicza, dwa tylko są wprost do niego zwrócone, inne zaś pisane pod adresem Tomasza Zana, który starał się być pocieszycielem obojga swojemi perswazyami, tak zwanemi przez siebie „rozdziałkami“, w których swoję idealistyczną teoryą moralną do stanu duszy osób drogich stosował.

Oba listy do Mickiewicza są skreślone w języku francuskim. Używa w nich Maryla formy odpowiedniéj temu językowi przemawiania przez drugą osobę liczby mnogiéj (*vous*), raz tylko jeden użyła liczby pojedyńczéj (*tu*), kierując się właściwą niewiastom subtelnością w ocenianiu szczególnéj błogości, jaką ten wyraz mężczyznom sprawia, gdy jest bardzo rzadko do nich zwracanym. Oba listy są czułe, ale zarazem i rozsądne; widać z nich, że jakkolwiek Maryla silnie kochała poetę, nie czuła przecież w sobie rwącéj namiętności, zadawalniała się spokojniejszém rozmarzeniem, czasami nawet przemawiała w charakterze starszéj osoby do ukochanego. Skarżyła się, co prawda, na cierpienia moralne i fizyczne: ból oczu, ból głowy i t. p., ale robiła to w tonie łagodnym, chętnie się posługując utartemi ogólnikami.

Opiérając się na prawie kojarzenia się wyobrażeń, wedle którego dążą one do odradzania się w takim samym porządku, w jakim następowały wrażenia, można mniemać, że list oznaczony datą 18-go był pisany niebawem po rozstaniu, ale już po ślubie (a więc może 18 lutego lub 18 marca) 1821 r.; są w nim bowiem takie same myśli, jakiemi w „Dziadach“ kochanka starała się umocnić Gustawa i zachęcić go do życia. Jak tam znajdowała się rada, by zapomniał „o swym proszku“, a zważał „na ogrom świata“, jak tam wskazane były wyższe

cele działalności dla nauki, dla sławy, by zmienić ukochanego w „Atlasa, dźwigającego niebo kamiennėm ramieniem“; — tak w liście, rozumie się, w wyrażeniach powszednich, też same myśli poddaje Maryla Mickiewiczowi:

„Cierpisz, mój przyjacielu. Jesteś nieszczęśliwy, nie dbasz o siebie! Powiedz mi, co sprawia cierpienia twoje i jakie na nie lekarstwo? Zapomnij o mnie, mój przyjacielu, jeśli tego potrzeba dla twego szczęścia i spokojności. Gdyby do twego szczęścia trzeba było tylko miłości mojėj, byłbyś aż zanadto szczęśliwym. Ale nie. Zamiast przyczyniać się w czémkolwiek do twego szczęścia, ja jestem jedyną przyczyną wszystkich twych nieszczęść. Nie możesz sobie wystawić, ile mię myśl ta trapi.

„Bądźmy rozsądni (*soyons raisonnables* [1]), mój przyjacielu, nie zaniedbuj swego talentu. Zapomnij o tėj miłości, która jest twojém nieszczęściem. Jeżeli potrzeba dla twego spokoju, żebyś mnie już nie widział (*que tu ne me revoies plus*), zgadzam się na to. Daję ci zupełne pozwolenie na postępowanie według woli, bylebyś był szczęśliwy, zadowolony i spokojny. Zalecam ci tylko dbać o swoje zdrowie. Pomyśl, że jest ono bardzo drogiém dla mnie.

„Bądź wielkim, mój przyjacielu.

„P. Tomasz odjeżdża. Muszę kończyć tę bazgraninę. Na Boga, spal ten list i nie pokazuj go nikomu.

„Raz jeszcze zaklinam cię, żebyś dbał o zdrowie, tak drogie memu sercu.

„Znajdziesz dużo nieładu w tym liście, gdyż po kilka razy do niego siadałam.“

W drugim liście do Mickiewicza Maryla powołuje się na znany jego wiersz „Żeglarz“, pisany 17 kwietnia 1821 r., widocznie przysłany jéj w rękopiśmie; list ten zatém, datowany „w niedzielę, o północy“, musiał powstać pod świeżém wrażeniem téj ślicznéj poezyi; odznacza się większą żywością uczucia. Pisze w nim Maryla:

„Korzystam z pozoru odesłania ci dziennika, żeby módz nabazgrać (*griffonner*) kilka wierszy. Jest to krok zbyt śmiały z méj strony i może naganny, ale w położeniu, w jakiém się znajduję, mogę przytoczyć ustęp z twego wiersza: Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.

„Przyjmij milion dziękczynień za boską poezyę, którą łaskawie przesłać raczyłeś. Jest ona śliczna, czytam ją i odczytuję po tysiąc razy, podziwiając ciągle twój geniusz i twoje talenty.

„Wielce zazdroszczę téj bazgraninie, która dojdzie do rąk twoich. Dlaczegoż nie jestem na jéj miejscu! Miałabym słodką radość widzenia ciebie, mówienia z tobą. A ileżbym miała ci do powiedzenia! Chciałabym bardzo wiedzieć, czy przyjedziesz w lipcu w nasze strony. Kilka razy dopytywałam cię o to, ale zawsze mi odpowiadałeś: nie wiem z miną obojętną, co dowodzi, że się wahasz. Teraz nie żądam innéj odpowiedzi na tę bazgraninę nad proste tak w liście Henryka [Uzłowskiego, siostrzeńca Maryli]. Żegnam cię. Muszę kończyć ko-

---

[1] We francuskiém wydaniu Życiorysu (r. 1888) jest: *Soyez raisonnable* (str. 31).

respondencyę dla braku czasu. Przyślij mi swój adres, bo nie wiem, gdzie teraz mieszkasz.

„O jakże pragnę zobaczyć cię przed wyjazdem z tych stron. Zamierzam zostać tu jeszcze do 2 lipca. Żegnam cię raz jeszcze. Bądź zdrów i szczęśliwy. Codzień zanoszę błagania za twoje szczęście. Oby Bóg najwyższy wysłuchał modłów moich. Bardzo już późno, wszyscy śpią i tobie życzę snu dobrego i przyjemnych marzeń.

„W całéj mocy wyrazu Twoja przyjaciółka [1]).

„Spal ten szpargał. Oczy mnie bolą i prawie nic nie widzę."

Poeta nie spalił tego szpargału, tak samo jak i pierwszego; był dla niego zbyt drogim. Co więcéj, listy Maryli pisywane do Tomasza Zana, niewątpliwie z tą myślą, że będą przesyłane Mickiewiczowi, zatrzymywał u siebie i uchronił tym sposobem od zatraty. I one również są wielce ciekawe; najprzód dlatego, że nam dokładnie przedstawiają ten ściśle przyjazny stosunek, w jakim Marya zostawała z gronem druhów Mickiewicza, a powtóre, że nas żywo przenoszą w atmosferę sentymentalną, romantyczną, która była panującą w pierwszéj fazie rozwoju nowéj doby poezyi naszéj.

I listy do Zana nigdzie nie mają oznaczonego roku. Niewielka, co prawda, w têm strata. Chociaż bowiem w rzeczywistości zachodziły pewne zmiany w nastroju korespondentki, były one przecież stosunkowo tak drobne, że nie uwydatniły się w listach, nie nabrały kształtów wyraźniejszych, dających się dokładnie ująć i określić. W każdym razie jednak próba ułożenia ich w pewnym chronologicznym porządku nie będzie zbyteczną. Mianowicie ważną może być rzeczą uchwycenie samego zawiązku korespondencyi. P. Władysław Mickiewicz w innêm następstwie podał te listy w swojéj pracy francuskiéj, w innêm w polskiéj. Nie zgadzając się ani na jedno, ani na drugie, ośmielam się rzucić domysł, że list, oznaczony datą 6 marca, stanowi początek zachowanéj korespondencyi i został napisany w 1821 roku wkrótce po bytności Zana w Płużynach, skąd Maryla pierwszy wyżéj przytoczony list do Mickiewicza przezeń przesłała. Jest on odpowiedzią na list, czy „rozdziałek" Zana, w którym tenże starał się umniejszyć jéj cierpienia tą myślą, że są ludzie od niéj nieszczęśliwsi, może mając na widoku samego poetę. Maryla, podejmując ten temat, uskarża się, że dotąd nikogo uszczęśliwić nie mogła:

„Drogi pan Tomasz nie zna mnie dopiéro tyle, jak dawniéj, i nie czuje mnie, jeśli sądzi, że ta myśl może mię zaspokoić, iż są istoty stokroć nieszczęśliwsze ode mnie. Łatwobym się z losem pogodziła, zniosłabym z pokorą wszystkie jego pociski, gdybym widziała resztę ludzi szczęśliwymi i gdybym mogła

[1]) Zupełnie tego samego wyrażenia użyła raz Maryla w liście do Zana.

własnêm poświęceniem się przynieść innym ulgę w cierpieniach. Lecz próżne są moje usiłowania; dotąd do niczyjego się szczęścia nie przyłożyłam. Jedna tylko Rozalka, dziewczyna, którą wzięłam ze wsi, powiedziała mi wczoraj. że tak jest jéj dobrze u mnie, iż nic więcéj nie żąda i mnie kocha nad wszystkich ludzi. Niezmiernie mię to ucieszyło, gdyż ta dziewczyna nie zna jeszcze pochlebstw i sama szczerość zdaje się mówić przez jéj usta.

„Nadużywam cierpliwości pana Tomasza, trudząc go tak często moją nudną bazgraniną, lecz tak jest zawsze dobry pan Tomasz, spodziéwam się, iż zechce przebaczyć téj, która największą w têm znajduje przyjemność, gdy może choć listownie z nim rozmawiać.“

Drugim z kolei listem był niewątpliwie ten, który ma datę 27-go marca, gdyż mieści się w nim wyraźne odwołanie twierdzenia, zawartego w poprzednim, jakoby Zan jéj nie znał. Jest on interesujący z dwu względów: maluje gusta literackie Maryli i wspomina o rozstaniu z Mickiewiczem w Tuhanowiczach. Oto najważniejsze ustępy:

„Pan Tomasz łatwo może pojmować, ile mi sprawują przyjemności jego rozdziałki; lecz znalazłam w jego listach łzy i pieprz, który dotąd nigdy za deser nie uchodził; chociażby nim były wszystkie potrawy zaprawione, *pour la bonne bouche* zwykle się zostawują same słodycze.

„Ponieważ pan przedsiębierzesz przetłómaczyć nanowo Wertera, chciejże poprawić w têm dziele wady Goethego, który zepsuł złêm zakończeniem najpiękniejszy romans. Nadaj więcéj sentymentalności Werterowi, aby ten zakładał swe szczęście na uczuciach serca i był najszczęśliwszym z ludzi, chociaż nie zdawał się nim być w oczach świata. Ja się zgadzam z panem, iż nieszczęścia niektóre są szczęściem, lecz nie dla wszystkich, bo niekażdy jest tego sposobu myślenia, co my... [1]).

„Pierwszy raz byłam zawczora w Tuhanowiczach po stracie smutnéj. którą poniosłam. Przebiegłam szpalery i wszystkie miejsca miłe, które mi robią drogie przypomnienia.

„Ciągle mieszkam przy mamie w Płużynach, lecz na Wielkanoc jesteśmy inwitowane do Tuhanowicz. Biorę z sobą klacz wierzchową, abym mogła objechać okolicę i góry tuhanowieckie.

„Zostawuję resztę do osobistego widzenia się. Z jakąż niecierpliwością oczekuję tego drogiego momentu. O, gdybym mogła prędzéj się jego doczekać, byłabym więcéj jak szczęśliwa.“

W jakiś czas po napisaniu tego listu, Marya pojechała do majątku mężowskiego Bolcienniki. Odpisuje stąd na list Zana, otrzymany jeszcze w Płużynach w dzień wyjazdu w owe strony. Dziękuje mu w nim za „śliczną poezyą“, którą jéj przesłał, a w któréj łatwo się domyśléć tego „Żeglarza“, za który osobnym listem dziękowała samemu poecie. Poezya prawdopodobnie w połączeniu ze świeżém je-

---

[1]) Ustęp ten był znany już dawniéj z „Korespondencyi Mickiewicza“ (1871), ale był tam podany, jako zwrócony wprost do naszego poety.

szcze wspomnieniem Tuhanowicz odżywiły w niéj cierpienia. Tak samo, jak w liście do Mickiewicza, skarży się na „straszny ból oczu“ i mówi z tém samém, co tam ożywieniem:

„Stanęłam więc w Bolciennikach, niedaleko Wilna. Oddycham tém samém powietrzem, co wy, i gdy moja powłoka ziemska przykuta tutaj, to moja dusza niespokojna rwie się ku wam. Cierpienia moralne i fizyczne wciąż gonią za mną, ale pewną ulgę mi przynosi nadzieja zobaczenia wkrótce osób drogich memu sercu. Jeżeli w życiu miewam niektóre chwile przyjemne, zawdzięczam je miłéj waszéj korespondencyi, panie Tomaszu, bo nie możesz sobie wyobrazić, jaką mi sprawił radość twój list ostatni i śliczna poezya, którą mi uprzejmie przesłałeś. Odczytaliśmy ją z uwielbieniem... Jeżeli pan Zan będzie tak łaskaw odpisać słów kilka, niech to uczyni *con molto di precauzione*.“

Z Bolciennik była niewątpliwie Maryla w Wilnie, a potém przejechała do poblizkich Brażelec, ale wybierała się już znowu do Tuhanowicz zapewne na święta wielkanocne, które miała z braćmi przepędzić. Wtedy pisała do Zana, zalecając mu, ażeby uspokajał Mickiewicza i napominał go o szanowanie zdrowia:

„Dusza moja potrzebuje nowego zasiłku, gdyż już upadam pod ciężarem zgryzot i tęsknoty. Chciéj mię znowu wesprzéć swemi radami, mój dobry panie Tomaszu, i pociesz mię, jeżeli masz do tego środki; inaczéj, lękam się złych konsekwencyi, bo mi brakuje mocy do wytrwania... Rozdziałek jego kategoryczny zrobił mi wielką przyjemność, odczytałam go po kilka razy, admirując talent dobrego p. Tomasza. Cieszy mię bardzo powolność naszego nowego filozofa: lecz któżby nie słuchał rad dobrego p. Tomasza, który umié wejść w stan duszy człowieka i obok surowości jest często tolerującym. Jeżeliby prawidła nadane nie były dostateczne do zaspokojenia *jego* umysłu, podaj *mu* nowe środki, lecz nie dozwalaj nigdy się zachwiać filozofii, która dopiéro już wzięła górę. Nadewszystko proś ode mnie, aby szanował swe zdrowie. Niech opatrzność najwyższa ma go w swéj pieczy.

List ten pisała o drugiéj po północy i dziwiła się sobie saméj, iż „o téj porze na wsi jeszcze nie śpią i do p. Tomasza piszą.“

Po streszczonych lub przytoczonych powyżéj listach do Zana nastąpiła przerwa kilkomiesięczna w zachowanym zbiorze, ostatni bowiem w nim list Maryli pochodzi, jak wykazał p. Władysław Mickiewicz, już z r. 1822 (2 lutego wieczorem). Zawiera się w nim ustęp, znany już dawniéj, o ustaniu w Maryi „awersyi“ do Szubrawców i ich „Wiadomości brukowych“ od czasu, gdy w nich znalazła „rozdziałki“ Zana. Dowiadujemy się z niego nadto, iż Mickiewicz był w Tuhanowiczach, prawdopodobnie na wakacye r. 1821, i że chorował „po świętach“ zapewne Bożego Narodzenia, o czém zresztą wiadomo było już skądinąd. Maryla nie omieszkuje znowuż zalecić, żeby „czuwano nad jego zdrowiem, gdyż bardzo siebie zaniedbuje.“ Stan

duszy swéj przedstawia i w tym liście ponuremi barwami, ale je rozjaśnia żartobliwym uśmiechem. Mówi tu ona między innemi:

„W religii saméj nie znajduję zaspokojenia. Nigdy więcéj przytomność drogiego p. Tomasza nie była mi potrzebną, jak w tym momencie. Panowałeś zawsze nad mym umysłem. Chciéj i teraz wesprzéć mię swemi radami, a może mniéj więcéj mię zaspokoisz.

„Chciałabym się widziéć bardzo z dobrym p. Tomaszem, lecz nie prędzéj się spodziéwam być w Wilnie, jak na ś. Jerzy (nadto długi przeciąg czasu dla mnie do przetrwania). Teraz się tylko cieszę przypomnieniem drogich momentów przepędzonych w Wilnie. Już się nie spodziéwam więcéj doznawać podobnych słodyczy. Jakieś mam smutne przeczucia; czarna melancholia napastuje mnie ciągle. Pan Tomasz kochany litowałby się nademną, gdyby mógł wejść w moje cierpienia.

„Rachuję wiele na przyjaźń dobrego p. Tomasza, dla którego noszę szacunek bez granic. Niech p. Tomasz będzie pewny, że ta przyjaźń, którą czuję dla niego, trwać będzie, aż póki dusza jestestwa mego ożywiać nie przestanie.“

W *post-scriptum* dodaje zwrot smętnie żartobliwy:

„Przepraszam bardzo p. Tomasza, że go nudzę moją bazgraniną bez sensu, lecz trudno wymagać porządku w piśmie, gdy go oddawna nie ma już w głowie.“

Oprócz podanych tu korespondencyi, objętych kopertą przechowywaną przez poetę; p. Władysław Mickiewicz odnalazł jeszcze jeden ciekawy list Maryli, który tak samo jak Zanowskie był czytany przez Mickiewicza, nim się bowiem głównie zajmował.

Jak wiadomo, Maryla widziała się z Mickiewiczem w Bolciennikach, gdzie poeta w r. 1822-im spędził dwa tygodnie. Odjeżdżając obiecał nadesłać drukujący się wtedy pierwszy tomik swoich „Poezyi“, zawierajacy ballady i romanse. Gdy ich długo nie otrzymywała, zniecierpliwiona, napisała do siostrzeńca swego, Henryka Uzłowskiego, list, nalegając, żeby się wystarał dla niéj o ballady i robiąc wymówki Mickiewiczowi, iż obietnicy zapomniał, pewna była bowiem, iż słowa jéj dojdą jego wiadomości. W téj myśli zamieściła w liście wynurzenia, którémiby w innym razie z siostrzeńcem się nie dzieliła. Pisała tu:

„Od waszego wyjazdu, mój kochany Hendrulku, jeszcze nie widziałam promieni słonecznych. Bóg na mnie zesłał sen letargiczny, który trwał aż do dzisiejszego dnia. Jeżeli mię przebudzał kto, wpadałam wtenczas w złość i w zajadłość wściekłą (większą jeszcze, aniżeli na tym spacerze, na którym przeszkadzano mojéj Hurysie przeskakiwać). Ten sen skracał mi czas i razem przynosił mi wiele przyjemności, gdyż miałam marzenia miłe i słodkie, których i na arkuszubym nie opisała. Wszystko przemija, jak sen, z tą różnicą, że j e d n i p r ę d k o o w s z y s t k i é m z a p o m i n a j ą, na drugich większe robi wrażenie i ci pamięci nie tracą.

„Podziękuj p. Adamowi i za obietnicę łaskawą przysłania mi ballad (na

które oczekiwałam z wielką niecierpliwością), skutku bowiem nie otrzymałam. Nie urażam się za jego niepamięć! Jam się tego zawsze spodziéwała, że jak tylko wjedzie w mury Wilna, zapomni o mieszkańcach Bolciennik.

„Jak tylko się z łóżka wydobędę, natychmiast wsiądę na moję Hurysę i pojadę na granicę gubernii. Miło mi będzie oglądać te miejsca, gdzie my tyle razy przejeżdżali. Gdyby mogły się wrócić dla mnie te momenta drogie! Pamięć mi się tylko została.“

Jest także w tym liście niezadowolenie z romansu Goethego „Wilhelm Meister“, który posłany jéj był z wyboru Mickiewicza, jak się to okazuje z jego odpowiedzi. Maryla pisała: „Romans przysłany mi odsyłam; nie miałam cierpliwości przeczytać całego, tak mię pierwszy tom znudził. Intryga brzydka i nudna między komedyantkami. Ale, jak mówi przysłowie: *Chacun son goût.*

Mickiewicz, dostawszy ten list, odpisał z usprawiedliwieniem, iż tomik poezyi swoich późno odebrał z cenzury i że egzemplarz przeznaczony dla Maryli dał do oprawy. Tymczasem przesyłał egzemplarz dla p. Wawrzyńca. Co do romansu, spędzał winę na francuskiego tłómacza, który w dziele Goethego oprócz imion nic w przekładzie nie zostawił. Wyrażał żartobliwie wdzięczność za przytoczenie francuskiego przysłowia, dodając, że jeżeli ballady jego tenże los co Goethego spotka, to zamawia sobie też samą ekskuzę.

Z roku 1823 nie mamy korespondencyi Zana z Marylą, lecz mamy natomiast 7 listów Czeczota (od 13 marca do 11 lipca), który na na równi z Tomaszem starał się o nadanie spokojniejszego kierunku uczuciom kochanków. Nie dotyka w nich Czeczot bezpośrednio téj kwestyi, ale swojém łagodném, poczciwém, serdeczném gawędzeniem mógł istotnie, przynajmniéj chwilowo, pogodniejsze sprowadzić usposobienie. Przesyłał on Maryli dzieła historyczne, mianowicie rewolucyi francuskiéj dotyczące, proponował dzieje literatur południowych Sismondego, opiérając się na zdaniu „sławnéj literatki“ wileńskiéj, Bojanusowéj, przesyłał śpiewki własne, wybierał romanse, choć się czuł w téj mierze niekompetentnym, strofował żartobliwie Marylę za to, że „lulkę dla rozmaitości pali, przeciwko któréj tyle tu mówiła“, użalał się, że tym sposobem stracony dla jego wiary apostoł zapowiada wielkie straty w nawracaniu na drogę zbawienia. Najobszerniéj rozwodził się nad potrzebą ochraniania zdrowia, gdy Maryla zbyt utrudzające przechadzki przedsiębrała piechotą, jak poprzednio na Hurysie. „Znam przyjemność przechadzek; — pisał — szukanie więc przyjemności prowadzi panią po lasach, gajach i łąkach, ale niech nie prowadzi milę i więcéj, niech nie naraża na zimno późnego wieczoru i dnia słotnego, niech nie naraża na ból zębów i inne dolegliwości,

które się z tego odezwać mogą; bo to już nie prawdziwa, nie rzetelna przyjemność, kiedy złe za sobą pociąga skutki i drugim stać się może nieprzyjemnością“.

Najciekawszy atoli z listów Czeczota jest ten, z którego poznajemy jeden z ulubionych zapewne tematów w ówczesnych literackich towarzystwach, sprzeczność między pięknem a użytecznością. Napadła Maryla na Czeczota, może w chęci dokuczenia mu za przestrogi o fajce i dalekich przechadzkach, jakoby lekceważył gaiki, a na ich miejsce chciał wszędzie widzieć ogrody owocowe. Serdeczny Jan Czeczot daje wyjaśnienie, skąd taka plotka, ubliżająca jego poetycznemu poczuciu, powstać mogła i pisze:

„Kiedy chwalono jakieś nowogródzkie ogrody spacerne, mnie się coś smaczne horodziejskie gruszki i potężne jakieś zielone śliwy, które niegdyś darmo raz w życiu jadłem, zakręciły na myśli, i to, że tu na ziemi żyjemy, gdzie nietylko bawić się, spacerować, ale i o tém zapominać nie trzeba, że jeść i pracować potrzeba, i powiedziałem: a ja wolałbym horodziejski ogród! Ale przyszła mi zaraz na myśl Zofiówka, i miłe wyobrażenia; zawstydziłem się zbyt gospodarskiego wykrzyknika i jabłecznéj myśli, w któréj choć się to kryć miało filozoficzne niby principium, ale tak się ukryło, że i sambym go znaleźć nie mógł: a jeszcze mię bardziéj zawstydzili, kiedy coś tam powiedzieli, że między sklepami, gdzie pełno po ulicy jabłek, być musi najprzyjemniejszy spacer. Czy to, czy coś inszego w tym guście powiedzieli, ja tylko pamiętam, że nic nie odpowiedziałem, i zawstydziłem się trocha. Otóż cała moja wina i pokuta. Mamże jeszcze za to cierpieć nowe wymówki... Ja chciałem tam prosić o poświęcenie na moję pamiątkę którego krzaczka, a tu takie zmyślają dziwy, byleby się tylko zemścić i niewinnego potępić“.

To opowiadanie, pełne dobrodusznéj naturalności, przenosi nas żywo w odległe czasy i czyni nas uczestnikami rozmowy swobodnéj ówczesnych zebrań towarzyskich.

List Maryli do Zana, ostatni, jaki się dochował w kopercie Mickiewicza, da nam poznać, jak dusze czułe smuciły się i jak nie zapominały przestrzegać o zachowaniu zdrowia w każdéj okoliczności. Było to według trafnego domysłu p. Władysław Mickiewicza w r. 1824, kiedy los Zana i kolegów jego rozstrzygnął się, kiedy mieli w dalekie jechać strony. Maryla, nie mogąc pożegnać ich osobiście, przesyła im list w języku francuskim w sobotę „ze swego buduaru“.

„Przyjm, kochany p. Tomaszu, te słów kilka, jako słaby dowód przyjaźni mojéj i bądź przekonany, że nic nie zmieni tych uczuć przyjacielskich, jakie mi natchnąłeś. Pozbawiona jedynego szczęścia widzenia przyjaciół drogich sercu mojemu, gdybym przynajmniéj wiedziała, jaka chwila ma nas połączyć i jaka przestrzeń ma nas rozdzielić! Nie zapominaj o mnie, kochany p. Tomaszu: pamiętaj czasami, że istnieje nieszczęśliwa istota, która żyje na to jedynie, aby cierpieć i któréj dni upływają w ustawicznéj nocy. O! jakaż to męczarnia widzieć się

rozdzieloną od osób, z któremi chciałoby się życie przepędzić. Życzenia i myśli moje będą ci wszędzie towarzyszyły, ale na miłość Boga szanuj zdrowie swoje, kochany panie Tomaszu, które raz postradane nie daje się odzyskać. Po téj małéj radzie maminéj (*à la maman*) muszę zmierzać ku końcowi, bo się czuję bardzo źle, mam wielką gorączkę ze strasznym bólem głowy: od dwóch dni leżę w łóżku i ruszyć się nie mogę. Żegnam Cię więc, kochany panie Tomaszu. Bądź zdrów i spokojny. Gdy słońce się znów ukaże po têm zaćmieniu, wyda się jaśniejszém. Żegnam cię raz jeszcze, nie zapominaj nieobecnéj przyjaciółki".

Jest to pożegnanie, w którém czuć smutek i cierpienie, ale zarazem i rezygnacyę łagodną. Usposobienie marzycielskie i w gruncie spokojne przebija się w niém dość wymownie. Można być pewnym, że wspomnienie chwil przeżytych w towarzystwie poety i jego przyjaciół, nazawsze pozostanie w duszy Maryli jako droga pamiątka; może kiedyniekiedy obudzi żal, że się nie stało inaczéj niż w rzeczywistości, ale nie zamąci zresztą życia, nie przeszkodzi w spełnianiu obowiązków, nie zatruje serca goryczą, nie wypali w niém stygmatu, któryby się ciągle odnawiał za każdą wzmianką o osobie ukochanéj.

## II.

O ileż gwałtowniejszém i płomienniejszém było uczucie, którego krótkie dzieje odkrywają nam listy dopiéro teraz ogłoszone przez p. Władysława Mickiewicza! Mówię tu o miłości Karoliny Jaenisch, córki profesora Niemca, zamieszkałego w Moskwie, tłómaczki „Konrada Wallenroda" i „Trzech Budrysów" [1]) na język niemiecki, autorki poezyi wydanych w r. 1841 i 1863 oraz powieści „*Ein Doppelleben*" (1848).

Dotychczas biografiowie Mickiewicza przedstawiali p. Jaenisch tylko jako dobrą znajomą poety podczas pobytu w Moskwie, malującą jego portret i zachwyconą jego dziełami. Wiersz, w jéj albumie przez Mickiewicza napisany a drukawany w poezyach jego z datą fałszywą, nie dawał podstawy do wysnucia jakichś przypuszczeń co do natury uczuć łączących oboje.

Teraz przeciwnie, możemy twierdzić napewno, że ze strony Karoliny była miłość silna, egzaltowana, ze strony poety głębokie conajmniéj spółczucie, którego potęgę podnosiło ciągle rosnące przywiązanie wielbicielki. Nie znamy dokładnie daty ich poznania się; mało

---

[1]) „Die drei Söhne des Lithauers Budris, uebersetzt von Karoline v. Pawloff im 81 Jahre ihres Lebens" w Feuilleton der Deutschen Roman-Zeitung" (cytata p. Wład. Mic.)

jest prawdopodobną rzeczą, ażeby znajomość nastąpiła już w r. 1826; natomiast rok następny można uważać za niewątpliwie pod tym względem pewny. Na poetę naszego zwróciły uwagę ukształconego towarzystwa w Moskwie jego sonety, tłómaczone i entuzyastycznie rozbierane w pismach moskiewskich w ciągu roku 1827: niektóre damy chciały się uczyć popolsku; pomiędzy niemi była także 18-letnia, ładna i utalentowana Karolina Jaenisch, która poznała Mickiewicza na jednym z wieczorów u księżnéj Zeneidy Wołkońskiéj. Miała ona niezmierną łatwość uczenia się języków, władała już kilkoma wybornie, w polskim bardzo szybko zrobiła olbrzymie postępy, które — jak się wyrażał Mickiewicz w liście do jéj ojca — zadziwiały wszystkich „oprócz osób znających jéj nadzwyczajne talenta do wszelkiego rodzaju nauk“. Zapalona miłośniczka poezyi, entuzyastka, przejęła się czcią i miłością dla poety i nauczyciela swego. Poeta, który po bolesnym zawodzie, spowodowanym pierwszą wielką miłością, przeszedł już przez upojenie zmysłowe w stosunku do Karoliny Sobańskiéj i egzaltacyą sentymentalną Bonawenturowéj Zaleskiéj, nie mógł jéj odpłacać tém bezpośredniém, naiwném wzruszeniem, jakie znamionowało niewątplie młodziutką jego uczennicę, mógł z większą niż dawniéj słusznością powtórzyć swój wiersz, iż „nie śmie z przekwitłém sercem iść do stóp anioła“, mógł do Karoliny stosować radę, którą dawał poprzednio komu innemu: „młody bluszczu, zielone obwijaj topole, zostaw cierniom grobowe otaczać kolumny“. Ale serca młodych dziewcząt są uparte w miłości, lubią one właśnie zaglądać do świątyni, „gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją“. Tą wytrwałością swoją, nie wymagającą nic więcéj nad przyjazne spojrzenie, nad serdeczny uścisk dłoni, przykuwają do siebie dusze uczuciowe, którym nie idzie o samolubny wyzysk wzruszeń i słabości niewieścich, ale o krzewienie wkoło siebie uczuć dobrych i szlachetnych, o rozrzucanie posiewu idealnego. Rysem charakteru Mickiewicza, który najdłużéj i najtrwaléj utkwił w pamięci Karoliny, bo powtórzyła go w 60 lat po rozstaniu się z nim, była nadzwyczajna jego skromność autorska. Wielbiony powszechnie w Moskwie „nie był świadom — jak się wyraża Karolina — swéj wyższości pod każdym względem“. Kiedy go pytała, dlaczego z czterech części „Dziadów“ ogłosił tylko dwie, odpowiedział jéj: „bo odczytawszy dwie drugie, aby je dać do druku, uznałem je za tak liche i nudne, żem rzucił w ogień“. Na zapytanie, którą ze swych poezyi lubił szczególniéj, odrzekł: „lubię kilka stron z „Wallenroda“ i parę sonetów krymskich, zresztą doprawdy

nic“ [1]). Gdy mu powiedziała, że w ciągu jego pobytu w Petersburgu, tłómaczyła „Wallenroda“ na język niemiecki, odrzekł: „mogłaś lepszy zrobić użytek z czasu“ i potém nigdy już o tém tłómaczeniu nie wspomniał i nie odczytał go z nią razem.

Z przyjaciół naszego poety poznała Karolina Cypryana Daszkiewicza, który zakochał się w niéj bez żadnéj nadziei, wiedział bowiem że serce panny jest zajęte, rywalizować zaś ani na chwilę nie pomyślał. Mickiewicz przypuszczał, że jego „szlachetne i nowe serce niewytrzymało pierwszéj namiętności“, a miłość niewywzajemniana zrujnowała mu zdrowie i zgon wczesny sprowadziła. Z Daszkiewiczem mówiła Karolina o swych uczuciach, była wzruszona jego szlachetnością i bezinteresownością, miała dla niego wiele przyjaźni i szacunku.

Gdy Mickiewicz bawił w Petersburgu w końcu 1827 i na początku 1828 w różnych interesach, a mianowicie w celu wydrukowania „Konrada Wallenroda“, otrzymał od ojca panny Karoliny list, w którym ten donosząc mu o sprawach domowych, dopytywał się o powody zatrzymujące go tak długo w stolicy cesarstwa. Poeta odpisał mu w początkach lutego 1828 r. po francusku i w końcu zamieścił następne słowa odnoszące się do Karoliny, robiąc alluzyę do jéj postępów w języku polskim: „Jako jéj były nauczyciel tego języka, dumny jestem z takiéj uczennicy. Ponieważ książki, używane w studyach elementarnych, łatwo się zużywają, proszę pana wręczyć pannie Karolinie dwa nowe tomiki polskie. Niech w zamian zechce mi dać książkę, na któréj nauczyła się czytać po polsku; będzie ona dla mnie droższa niż paryskie i londyńskie wydania“.

Niebawem po wysłaniu listu, nie doczekawszy się nawet drukowanego egzemplarza „Wallenroda“, Mickiewicz przybył do Moskwy i zamieszkał u Cypryana Daszkiewicza. Bawił tam dwa miesiące; zapewne często widywał się z Karoliną, któréj miłość potęgowała się; wtedy nastąpić musiały wzajemne wyznania. Pod koniec kwietnia r. 1828 opuścił poeta nasz Moskwę, przenosząc się do Petersburga. Upłynęło dziesięć miesięcy, w ciągu których Karolina nie widziała Mickiewicza i listów od niego nie miała. Rozegzaltowana rozłąką, nie mogła już przenieść na sobie dłużéj, ażeby zachowywać milczenie

---

[1]) Dosyć to zgodne z opinią, jaką Mickiewicz wydał o swych utworach w liście do Leonarda Chodźki 10 lipca 1830: „Gdyby mnie poradzono się, co należało wybrać do tłómaczenia, wskazałbym tylko „Farysa“, wyjątki z „Wallenroda“. „Sonety krymskie“, parę sonetów z pierwszéj części; dwie lub trzy ballady i „Dziady“: ostatnie nawet lękam się, aby nie nudziły cudzoziemców. Resztę nie warto było tłómaczyć“.

dręczące i pozostawać w niepewności. Zdecydowała się na krok śmiały, pierwsza napisała do poety z przepełnionego serca, pod datą 19 lutego r. 1829 roku, w języku francuskim (mieszając ciągle *vous* i *tu*) a kończąc i podpisując się po polsku.

„Piszę do ciebie słów kilka błagając, żebyś przybył do Moskwy, skoro tylko będziesz mógł. Widzę, że dłużéj nie potrafię znieść tego stanu niepewności, tego ciągłego oczekiwania, tego wiecznego wzburzenia. Los mój rozstrzygnąć się musi w ten czy ów sposób. Byłabym spokojniesza, gdybym nie miała już nic do stracenia.

„Dziesięć miesięcy upłynęło od twego wyjazdu; dużo rozmyślałam przez te dziesięć miesięcy nieobecności; przekonałam się, że nie mogłabym żyć bez myśli o tobie, przekonałam się, że całe istnienie moje jest ustawicznêm jedynie wspominaniem. Mickiewiczu! cokolwiek się stanie, dusza moja do ciebie należy. Jeżeli nie mogę żyć dla ciebie, życie moje skończone, ale i wtedy skarżyć się nie będę. Czyż nie byłam tysiąc razy szczęśliwszą, niż się spodziéwać mogłam? Spotkałam cię, poznałam, zrozumiałam — tak jest, mogę to powiedzieć, potęgą miłości mojéj zrozumiałam twą duszę! Kochałeś mię — jakież nieszczęście wyrównać może takiéj szczęśliwości?...

„Nie śmiem w rzeczywistości wierzyć w przyszłość szczęśliwą; zdaje mi się, że takie szczęście w marzeniu tylko istnieć może. A jednak mam nadzieje prawie pewne i te tak piękne nadzieje wzburzają mię i dręczą. Częstokroć niepodobna mi powstrzymać łez, i płaczę nie wiedząc dlaczego. Nie szydź z tego dzieciństwa, jestto słabość mimowolna. Wtedy tylko czuję się dobrze, gdy jestem z tobą sama; wówczas mówię do ciebie w tym ukochanym języku, który jest dla mnie muzyką wzruszającą i rozkoszną; w takich chwilach znam radość — ale radość ta ma prawie zawsze łzy w oczach.

„Odjazd Daszkiewicza zasmuca mię także bardzo... Mówił ci o têm, co zaszło między nami... Żądał mego portretu; nie mogłam mu odmówić téj jedynéj prośby; spodziewam się, iż mi nie naganisz tego, żem mu go dała. Chciałam tobie posłać drugi, ale nie podobna mi było teraz go narysować; dam ci go, gdy przyjedziesz. Jakże ten czas, który do owéj chwili upłynie, będzie smutny dla mnie; z nikim już o tobie mówić nie będę mogła; będę sama z myślami swemi, które często bardzo są smutne.

„Żegnam cię; dbaj o swoje zdrowie, nie narażaj go, błagam cię i przybywaj rychło na miłość Boga, ażebym wreszcie wiedziała, co mię czeka. Żegnam cię, myśl o téj, która cię kocha nade wszystko w świecie. Wiem teraz, że gdybym musiała wyrzec się téj nadziei, tak niewysłowienie pięknéj, jakąś mię natchnął, nie byłoby już szczęścia dla mnie .. Bądź zdrów, kochany!... Karolina“.

Poeta wezwany tak gorącemi słowami, przybył do Moskwy, nie zważając na okropne drogi, w marcu r. 1829, i zabawił do połowy kwietnia. Wtedy to zapewne nastąpiła chwila, którąby mogła się była odbić stanowczo na dalszym biegu życia Mickiewicza. Poeta oświadczył się o rękę Karoliny. Z jakich zrobił to pobudek, domyślać się tylko można. Nie sądzę, ażeby się na to zdecydował pod wpływem wyrzutów sumienia, iż zachowaniem się swojém rozbudził

w duszy Karoliny nieziszczalne nadzieje, nie zdaje mi się również, ażeby namiętność silna popchnęła go do tego kroku. Mickiewicz mógł żywić choćby najgłębsze dla Karoliny spółczucie, ale spółczucie tylko; od miłości gwałtownéj, namiętnéj był dalekim. Sądził więc może, iż w małżeństwie niekonieczną jest silna obustronna miłość, iż do szczęśliwego pożycia wystarczy z jednéj strony namiętne przywiązanie, a z drugiéj głęboka sympatya. Wzruszał go stan duszy Karoliny, mógł ją nad wyraz uszczęśliwić, ofiarował jéj swą rękę na dalszą drogę życia. Okoliczności nie dozwoliły spełnić się najgorętszemu życzeniu Karoliny. A może i jéj przedewszystkiém i głównie chodziło o upewnienie się, że nie była przedmiotem chwilowego tylko kaprysu, ale takiego uczucia, które poważnym wyraża się zamiarem; otrzymawszy tę pewność, poddała się okolicznościom, nie myśląc z niemi walczyć na przebój. Oto jak opowiada te dzieje serca swego po latach 60-ciu:

„Z wdzięcznością ku Bogu myślę o tym dniu błogim, w którym przedmiot mojéj miłości bez granic zapytał, czy chcę zostać jego żoną. Moje najdroższe nadzieje zachwiały się prędko. Starszy brat mojego ojca, posiadający całe mienie naszéj rodziny, oświadczył, że gdyby przyszło do zawarcia tego związku, wydziedziczy mego ojca. Byłabym skazała go na życie w ciężkiéj potrzebie i niedostatku. Ojciec mój byłby zrobił dla mnie to poświęcenie, lecz przyjąć go nie mogłam. Postąpiłam, jak mi nakazywał obowiązek. Ten, co mię kochał, zrozumiał również, że nie było możności wahania się. Spędziliśmy razem jeszcze dni kilka, ostatnie dni spójni duchowéj.“

Zazwyczaj rozstania podobne zostawiają po sobie w sercach bodaj odrobinę jakiegoś niesmaku, jakiéjś nieufności, jakichś nieokreślonych podejrzeń. W stosunku Mickiewicza i Karoliny nic takiego dostrzedz nie można. Świadectwem to jest wielkiéj podniosłości duchowéj i szlachetności z obu stron. Rozstali się jak serdeczni przyjaciele, zmuszeni rozłączyć się z sobą nazawsze bez możności komunikowania się nawet piśmiennie. Karolina całą swą gorącą, a piękną duszę odmalowała w drugim i ostatnim zarazem liście, pisanym do Mickiewicza, bawiącego jeszcze w Moskwie. List ten datowany 5 kwietnia 1829 r., skreślony był w języku niemieckim i jest jednym z najwymowniejszych dokumentów zacności serca ludzkiego:

„Żegnam cię, mój przyjacielu. Raz jeszcze dziękuję ci za wszystko — za twoję przyjaźń—za twoję miłość. Przysięgłam ci zasłużyć na tę miłość, być zupełnie taką, jak sobie życzysz. Nie wierz nigdy, żebym mogła przysięgę tę złamać, to jedyna moja do ciebie prośba. Słowa te są pewnie ostatniemi, jakie do ciebie zwrócić mogę; wierz im, a kiedy je zapomnisz, odczytaj tę kartę i pomyśl,

że obietnica, jaką ci złożyłam, świętą jest dla mnie, i że jéj dotrzymam, bo cię kocham.—Przyjacielu! wierzę, iż spełnisz moję ostatnią prośbę, że nigdy nie będziesz sobie robił wyrzutów, kiedy o mnie pomyślisz — nie zechcesz zawieść wiary mojéj! Wiedząc, że nigdy o mnie nie zwątpisz, będę spokojną, zadowoloną i szczęśliwą:—jestem taką już teraz, kiedy się rozstać muszę z tobą—może nazawsze. — Wszystko stało się bardzo dobrze, a choćbym nigdy cię już zobaczyć nie miała, zawsze przekonaną będę, że tak lepiéj dla nas obojga, gdyż jestto wolą bożą. Życie moje będzie bardzo piękném, cokolwiek nastąpi. Często dobywać będę z serca swego skarbiec wspomnień i przypatrywać się im, gdyż każde z nich jest czystym dyamentem. Będę się modliła za ciebie do Boga, a kiedy on weźmie cię do siebie do nieba, podziękuję mu za to, a miłość moja do ciebie stanie się jeszcze piękniejszą!...

„Żegnam cię, mój przyjacielu! nie mam ci nic więcéj do powiedzenia w chwili rozstania: bo cobym chciała ci powiedzieć, tego wymówić i zamknąć w słowa nie potrafię. Ale ty mię rozumiész, ty znasz miłość moję, chociaż jest niemą. A jednak, kiedy pomyślę, że już może nigdy jednego słowa do ciebie nie powiem, to ciężko mi skończyć... Ale muszę—żegnam cię, mój przyjacielu! wiem, że mię kochasz!... Żegnaj!...

Nazajutrz po tym liście, 6 kwietnia, Mickiewicz napisał w albumie Karoliny wiersz, który w jéj słowach powyższych ma jasne tłómaczenie:

Przed wichrami i szronem, gdy przelotne ptaki
Uciekając, rozstania nucą pieśń żałosną,
Nie wiń ich o niestałość! one z każdą wiosną
W jedne strony jednemi powracają szlaki.

Słysząc głos ich, — wspomnij, przyjaciela!
Ilekroć mu po burzach nadzieja zaświeci,
Tyle razy duch jego na skrzydłach wesela
Znowu na północ, znowu ku tobie uleci...

I rozstali się na zawsze. Duch poety, nie na skrzydłach wesela wprawdzie, ale smutku, ulatywał ku Karolinie. Gdy mu doniesiono do Rzymu w r. 1830 o śmierci Cypryana Daszkiewicza, pisał do jednego z przyjaciół: „Przeznaczenie, jeśli mi co udzieli, musi najprzód jak Harpia dary swoje zatruć... Chciałem pisać do Karoliny, ale nie wiem, co się po tym okropnym wypadku stało, co ona myśli, i co się z nią dzieje. Jeśli bywasz u niéj, napisz mi szczerze i bez ogródki." Listy jéj wraz z miniaturą przechowywał na równi z listami i wizerunkiem Maryli.

Karolina wyszła za powieściopisarza Mikołaja Pawłowa w roku 1838-ym, ale nie była z nim szczęśliwą. Pamięć o Mickiewiczu przechowała do późnéj starości. W 82-im roku życia, zeszłéj wiosny, pisała do syna poety:

„Co mam powiedzieć o moich listach? Nie mogę dziś jeszcze myśléć o nich bez wzruszenia Tak, kochaliśmy się rzewnie i wspomnienie téj miłości jest do dziś dnia szczęściem dla mnie. Czas, zamiast osłabić, wzmocnił moję miłość. To niezatarte wspomnienie zachowało mi młodość serca, która zadziwia mię samę... Mickiewicz nigdy do mnie nie pisał. Znalezienie się jego było wzorowe... Pozawczora, 18 kwietnia, sześćdziesiąt lat ubiegło, jak ujrzałam go po raz ostatni, a jest on jeszcze obecny myśli mojéj. Mam przed sobą jego portret, a na moim stole mały garneczek z wypalonéj gliny, darowany mi przez niego, na palcu noszę pierścionek, który mi darował. Dla mnie żyć on nie przestał. Kocham go dziś, jak kochałam przez tyle lat nieobecności. Jest moim, jak był niegdyś.“

Dotrzymała swéj obietnicy i czuła się szczęśliwą samemi wspomnieniami; młodość serca dawała jéj szczęście największe, o jakiém marzyć można.

## III.

Może nie bardzo właściwie z dziejami miłości łączyć wzmiankę o nowoodnalezionym jakoby wierszu Mickiewicza, ale chcąc tu podać wybitniejsze szczegóły w ostatnich czasach ogłoszone, a tyczące się naszego poety, niepodobna mi go pominąć, zwłaszcza, że pośrednio odnosi się on i do Maryli.

Znana jest geneza improwizowanéj ballady „Basza“ albo „Renegat.“ P. Biegeleisen przed kilku laty poświęcił osobny artykuł jéj wyjaśnieniu. Wiadomo, jak Mickiewicz był niezadowolony z oddania do druku pierwszéj jéj części z powodu wielu niepoprawnych wierszy lub słabych wyrażeń, jak następnie mieszcząc ją wśród swoich poezyi, prawie całkowicie ją przerobił. Ukazała się potém część druga téj ballady, opowiadająca, jak po śmierci baszy, gdy chciano brankę z Lechistanu ukamienować, nie znaleziono w więzieniu ani jéj, ani beja. Obecnie w organie konserwatywnym krakowskim z 23 października 1890 r. znany tłómacz Byrona, Wiktor Baworowski, dostawszy od p. Jana Tysiewicza, malarza zamieszkałego w Montmorency, ilustratora „Konrada Wallenroda“ i „Grażyny“, przyjaciela Mickiewicza, rękopism dalszego ciągu owéj ballady, opublikował go. Według twierdzenia p. Tysiewicza, ma to być koniec owéj improwizacyi, nieuznany przez poetę za godny druku, a powtarzany między kolegami uniwersytetu, wielbicielami jego geniuszu. P. Baworowski sądzi, że nie może to być część trzecia ballady, lecz raczéj pierwotny pomysł części drugiéj, z którego potém Mickiewicz był niezadowolony, więc zmienił go całkowicie i utworzył tę część drugą, jaką wydania poezyi jego po-

wtarzają. Wyjaśnienie takie ma za sobą dużo prawdopodobieństwa. Treść istotnie może być związana z częścią pierwszą „Renegata.“ Na widok branki z Lechistanu, basza pada trupem, poznawszy w niéj dawną kochankę. Ogłoszony przez p. Baworowskiego wiersz opowiada losy branki dalsze:

Wkrótce ojczyznę ujrzała branka,
Lecz wszędzie jéj tam niemiło;
Nie widzi bowiem swego kochanka,
Z którym się wszystko skończyło.

Wszystko! i w swoich pamiątek kraju
Wkrótce z rozpaczy umarła:
A ciało martwe, według zwyczaju,
Dębowa trumna zawarła.

A gdy rodzina płacz swój rozwodzi
I ksiądz do modlitwy wzywa,
Nieznany Turczyn zziajany wchodzi
I tak się do nich odzywa:

„Basza zostawił w zgonie rozkazy,
Abym tę urnę wziął z sobą,
Gdy go śmiertelne okryją głazy,
Gdy go okryją żałobą.

„Kazał, bym obszedł cały świat kołem,
Trafił do północnéj ziemi
I niósł tę urnę z jego popiołem
Złączyć z prochami lubemi.

„Znalazłem popiół. Ty, o kapłanie!
Wypełnij Baszy zlecenie.
Z urną swat wchodzi, przed tobą stanie,
Dziwne będzie ożenienie.

„Zdejmij z téj martwéj ręki pierścionek
I włóż jéj pierścień Turczyna,
Ona małżonką, on jéj małżonek,
Po śmierci ślub się zaczyna.“

Ksiądz odpowiedział: „Czyż te zamiary
Mam w groźnym wykonać musie?
Czyliż twój Basza był naszéj wiary,
Czyliż on umarł w Chrystusie?“

Ksiądz mówił, ale na księdza głosy
Turczyn nic nie odpowiadał —
I tylko z czoła rozgarnął włosy
I milcząc księdza twarz badał.

Ksiądz obrażony chciał zerwać śluby,
Chciał z jéj palca zdjąć pierścienie;
Lecz próżne jego były rachuby,
Broniło dłoni ściśnienie.

Martwa dziewica ścisnęła rękę.
Pierścienia wydrzéć nie dała.
Na têm ja, bracia, kończę piosenkę
I piosnka moja skonała.

Taka treść, jak widzimy, dość dobrze się nadaje do téj sfery pojęć, wśród któréj Mickiewicz jako autor ballad przebywał; ze strony wewnętrznéj zatém zaprzeczać autentyczności wiersza trudno. Ale wykonanie jest słabe niezmiernie; najgorsze nawet utwory Mickiewicza są jeszcze świetnemi wobec téj lichéj klejonki, w któréj ani dykcya ani wersyfikacya, ani połączenie myśli nie okazuje wyższego talentu. Uwzględniając nawet tę okoliczność, że ballada, jako improwizacya, mogła być źle przez kogoś zanotowana, trudno przypuścić, ażeby w rozwoju pomysłu taki poeta, jak Mickiewicz mógł w jednéj zwrotce proponować tylko księdzu przez usta Turczyna zamianę pierścionków, a w dalszéj uważać tę zamianę za dokonaną, lubo ksiądz do-

pełnić jéj nie chciał, a czy zrobił ją Turczyn, ballada nie mówi. Niedołęstwo frazeologiczne w tak wielu miejscach namacalnie się uwydatniające, wyrażenia o urnie z popiołami baszy, a obok tego twierdzenie, że go przykryły śmiertelne głazy, „dziwne ożenienie“ w ustach Turczyna, który je właśnie księdzu proponował: wszystko to są szczegóły, które każą mocno powątpiewać o autorstwie Mickiewicza, nasuwając raczéj przypuszczenie, że jestto fakrykat dokonany w gronie jego wielbicieli, pragnących dać szersze rozwinięcie aluzyi zaznaczonéj w balladzie nagłą śmiercią baszy.

*P. Chmielowski.*





# POGROMCA REWOLUCYI
## I JEGO DZIEŁO.

(H. Taine. Les origines de la France contemporaine. Le régime moderne. Paris. Hachette. 1891).

Straszliwe grozą i skutkami wulkaniczne wstrząśnienie, które Francya na schyłku przeszłego stulecia przebyła, z niepożytych napozór murów, do których każde pokolenie po historycznéj dodawało cegiełce, pozostawiło tylko zwaliska i gruzy. Umajona kwieciem wykwintnéj cywilizacyi powierzchnia znikła prawie bez śladu. Druzgocąc, łamiąc i gniotąc, przykryły ją wyrzucone gwałtownym wybuchem z głębi mrocznych czeluści nowe i świeże, a więc jałowe narazie i wpływom kultury oporne warstwy. Przesiąknięte potokami krwi wylanéj i zmieszane z piaskiem i pleśnią rumowisk, zaległy one niebawem wszystko szerokiém niwelującém morzem cuchnącego bagna, które pod parciem gazów zabójczych, ustawicznie burzyło się, kotłowało i wrzało i po to tylko tu i owdzie wydymało się na chwilę, żeby znowu pod demokratyczny powrócić strychulec. *Faex urbis* stała się nagle *lex orbis*. *Faex urbis* — hydra stugłowa, bezmyślna i okrutna.

Nic się przed tym okropnym potopem nie ostało. Potężny polityczny porządek prysł jak bańka mydlana, w proch się rozpadł mozolnie wiekową pracą sklecony ustrój społeczny. Niezbędna milionom dźwignia moralna, religia, zbeszczeszczona i nogami zdziczałéj tłuszczy zdeptana. Wszechmoc państwowa igraszką tygrysów otoczonych zgrają wyuzdanych szakali, następnie pastwą niezdarnych, do szpiku zgangrenowanych pasorzytów. Stronnictwa ścigają i tępią siebie nawzajem z zajadłością Mohikanów. Zgubna i zuchwała ty-

rania stołecznéj hałastry szeroko rozpostarta nad całym narodem. We wszystkich gałęziach gospodarki krajowéj nieład i rozprzężenie. Ani bezpieczeństwa życia, ani bezpieczeństwa własności, ani wolności sumienia, ani szkoły, ani kościoła, ani przytułku dla starców i kalek. Drogi i porty porujnowane, handel i przemysł w zastoju, głód i mór stałym gościem, u granic kraju wojna z obcym wrogiem, wewnątrz kraju bratobójcza, domowa. A pomimo ciągłych tryumfów oręża republikańskiego, ciągła obawa przed wtargnięciem armii najezdniczéj...

Wpośród tego zamętu pojawia się niespodzianie słaby narazie ognik, który się z niezmierną szybkością przeistacza w świetny, zagadkowy i potężny meteor. Z grzmotem piorunu i oślepiającym błyskawicy blaskiem toruje on sobie drogę z zachodu na krańce wschodu, prąc się przez piaski Egiptu i północne lody i śniegi ku Himalajskim szczytom i Gangesowym brzegom. Gdziebądź się przesunie, wszędzie sieje elektryczne dreszcze, wprawia w odrętwienie jedne właściwości ludzkiego ducha, rozżarza i podnosi drugie do niebywałéj przedtém potęgi. Pod magnetyczném jego działaniem wrzące i kipiące bagno krzepnie i tężeje w stałe formy i kształty, z ruin dźwiga się gmach okazały, z chaosu wyłania się świat nowy. Wytrącony z kolei swojéj, spada ów meteor jako wypalony żużel na najodleglejszą wysepkę najdalszego Zachodu, żar jego gaśnie z sykiem rozpaczy w głębiach oceanu, ginie gwiaździsty ogon, który za sobą ciągnął. W ostatniém wstrząśnieniu wspaniały gmach t. j. konglomerat polityczny, będący głównym celem zabiegów i wysiłków tytana, zapada się także w mgnieniu oka w otchłań nicestwa. Dziwną natomiast ironią przeznaczenia formy i kształty państwowo-społeczne, w które on świat nowy wtłoczył i które nie były same w sobie dla niego celem, lecz tylko wielką kuźnicą środków do osiągnięcia celu niezbędnych, przetrwały prawie niewzruszenie do dnia dzisiejszego. Francya teraźniejsza, to zawsze jeszcze przeważnie dzieło Napoleona I. Chcąc dzieło ocenić, należy twórcę poznać...

## I.

Nie łatwe to zadanie. Wszyscy ludzie nad ogół wyżsi wiedzą, że o kilka kroków od Kapitolu Tarpejska skała leży, wszyscy mogą być pewni, że jeśli znajdą się ręce, żeby na ich cześć kolumnę Vendôme wyrzeźbić, niebawem tysiące rąk się pokwapią, żeby ją na stosy mierzwy obalić. Najgorszym jest los tak olbrzymich historycznych postaci, że ludzkość po stuletnim pochodzie nie stąpa jeszcze po za linią ich cienia i miesza ich imię do swych walk, swarów i sporów.

Zasada *sine ira et studio* jest wprawdzie nader szczytną, ale o ile szczytna, o tyle trudna, a nawet niepodobna do wykonania. Rzadkim trafem doczekał się Bonaparte po panegiryku Thiers'a, po pamflecie Yunga, po mnóstwie innych wielbicieli i potwarców, względnie prawdziwego wizerunku w przepysznem studyum, które mu H. Taine na czele pierwszego tomu swego „Ustroju porewolucyjnego“ poświęcił.

Nikt z poprzedników Taine'a nie sprostał w równéj mierze swemu zadaniu, nikt bowiem nie był równie głębokim, równie dobrze z całością materyału obeznanym, równie biegle najzawilsze psychologiczne subtelności i sprzeczności rozplątującym, równie metodycznie, może nawet zanadto metodycznie zatapiającym skalpel analizy myślicielem-badaczem. Zgodnie z założeniem swego dzieła i w téj jego części znakomity myśliciel francuski występuje raczéj jako filozof-psycholog, aniżeli jako właściwy historyk. Nie idzie mu o wszechstronną i wyczerpującą ścisłość, nie daje właściwego opowiadania, nie rozwija w chronologicznych ramach przebiegu wypadków, ale skrzętnie i systematycznie zbiéra, grupuje i uzasadnia przesłanki do swoich twierdzeń i wniosków. Roztrząsając rys po rysie charakter i naturę genialnego władcy, wnikając w jego najgłębsze tajniki duchowe, o tyle się nim tylko zajmuje, o ile ma do czynienia z przeobrazicielem Francyi, który na swém dziele wycisnął osobiste, do pewnego stopnia przypadkowe, a jednak pomimo ośmiu politycznych przewrotów dotąd niezatarte piętno.

Co w Napoleonie, oprócz cudownie potężnych władz umysłowych, najbardziéj uderza, to jego zupełna odrębność od otaczającego go świata. Próżno szukać zbliżonego doń typu w XVIII w., szczególnie pomiędzy potomkami szczepu celtyckiego. Dziedziczność zajmuje w poglądzie na świat Taine'a zbyt poczesne miejsce, żeby i w tym razie nie usiłował dopatrzyć prawdziwéj przyczyny zaznaczonéj anomalii w pochodzeniu, w rasie, do któréj Bonaparte należał i w działających na nią zewnętrznych i moralnych czynnikach. Skwapliwie przeto zapisuje fakt, że rodzina B. opuściła Toskanię w czasie, gdy dla burzliwych rzeczpospolitych włoskich i frymarczących ich wolnością awanturników ostatnia wybijała godzina. Pod zgubnym dla mezkich przymiotów uciskiem hiszpańskim, półwysep apeniński przestał być rozsadnikiem energicznych, ambitnych, rozpasanych na wszystko charakterów, których wytwarzaniu się sprzyjały warunki życia w Korsyce, stojącéj co do obyczajowości i umoralnienia na tym samym punkcie rozwoju u schyłku XVIII w., na jakim drobne państewka włoskie stały w XV. Stąd wniosek, że wśród rodziny, wystawionéj wskutek przesiedlenia się na dłuższe działanie jednakich wpływów,

jednakiego otoczenia, łatwiéj i naturalniéj niż winnéj zrodzić się mógł człowiek najdoskonaléj uosabiający zalety i wady pokrewnych sobie rasą, charakterem i duchem, acz różnych co do czasu i miejsca społeczeństw. Jakoż Taine, dostrzeżonego już przez innych psychologicznego podobieństwa, jakie zachodzi między Napoleonem i condottierami włoskimi, którzy z najmitów przedzierzgali się w przywłaszczycieli i tyranów, nie nazywa przypadkowém, ale uważa je za fakt historoczny i pozytywny. Napoleon jest dla niego pogrobowcem Sforzów i Malatestów, ich „dziedzicem w prostéj linii“ (*filiation directe*), wziął po nich i „krew“ w żyłach jego płynącą i ustrój mózgowy i moralną ich i psychiczną naturę. Są to niewątpliwie zbyt dosadne wyrażenia. Jeśli dane indywiduum dziedziczy coś bezpośrednio — to nie może dziedziczyć aż po upływie trzech wieków. Spuścizna spadająca na spadkobiercę po pewnéj grupie obcych sobie ludzi, którzy w żadnéj bliższéj styczności z przodkami jego nie byli, nie jest faktem pozytywnym, ale figurą retoryczną. Wspólność rasy nie jest ani historycznėm ani wystarczającém wyjaśnieniem tożsamości natury Malatestów i Napoleona, skoro między czynami pierwszych, a małomieszczańskim, pospolitym żywotem przodków pierwszego cesarza Francuzów żadnego łącznika odkryć niepodobna. Wciągać w rachubę domyślne wpływy, jakim dany ród przed trzystu laty podlegał, jednocześnie zaś pomijać świadectwa, że wpływy te prześlizgnęły się po nim bez widocznego śladu, źle licuje z trzeźwością ścisłego dziejopisarza. Historyk z zawodu położyłby może większy nacisk, niż na atawizm, na analogię zamętu rewolucyjnego we Francyi i zamętu, jaki we Włoszech w XV w. panował. O ile trafniejszém byłoby zastosowanie teoryi dziedziczności, czerpiące swe dowody z genealogii macierzystéj rodziny Cotaltów, o tém możnaby wyrokować jedynie na podstawie téjże genealogii, któréj Taine nie przytacza.

W każdym razie wielkie podobieństwo duchowe syna z matką nie ulega najmniejszéj wąpliwości. Nieugięta, energiczna, jakby cała ze śpiżu ulana, zahartowana w niebezpieczeństwach i przeciwnościach losu, ale za to najzupełniéj zmysłu dla powabów wygodnego materyalnego bytu i intelektualnych rozkoszy pozbawiona, jednėm słowem prawdziwa Włoszka, wydała na świat wśród szczęku ujarzmiającego ojczysty jéj kraik na rzecz Francyi oręża, nietylko nieodrodnego Włocha ale i gorącego w młodości korsykańskiego patryotę. Za rodaka poczytywali go wszyscy Włosi, na wyspie św. Heleny doświadczał jeszcze Ulisesowych porywów tęsknoty do skał rodzinnych. Wychowywany w szkole francuskiéj, kosztem francuskiego króla, nienawidził Francuzów, stronił od nich, poprzysięgał im zemstę, nie umiał

przez czas długi ani przyswoić sobie języka, ani nałamać się do toku myśli właściwego wrogom jego ojczyzny. Stąpając po ziemi francuskiéj, czuł się samotnym i obcym wygnańcem. Cóż dziwnego, że oderwany od swoich, już jako pacholę zmuszony zamknąć się i skupić w sobie, skazany na wyłączne prawie przestawanie z samym sobą, nauczył się swoje „je“ wszędzie na pierwszym kłaść planie? Cóż dziwnego, że odarty z ojczyzny, któréjby chciał i mógł służyć z zapałem, przywykł powoli iść tam tylko, gdzie go egoistyczna rachuba i ambicya wiodła? Azaliż dziwić się trzeba, że dla idei, które na obcym dla niego gruncie nienawistny mu naród na dwa obozy niebawem rozdzieliły, nie rozgorzał odrazu wielkim, świętym ogniem? Podczas szamotań się monarchii z stronnictwem przewrotu nie bierze udziału w walce, przypatruje się z niezmąconym spokojem i z pogardą dla aktorów najtragiczniejszym epizodom dziejowego dramatu. Trudny bo téż był wybór między niedołężnym królem i motłochem ulicznym! Dla chleba i karyery stara się o łaskę i przyjaźń Jakobinów, po ich upadku dworuje tym, którzy ich pognębili. 12 Vendemiaire'a wyraża w poufnéj rozmowie gotowość do rozpędzenia „nikczemnéj konwencyi“, gdyby zbuntowane sekcye obrały go swoim wodzem; w pięć godzin potém, pchnięty pokusą wybicia się na wierzch, kartaczuje téż same sekcye, ponieważ nie one, ale konwencya zaofiarowała mu naczelną nad wojskiem władzę. Dwulicowość taka byłaby iście ohydną, gdyby Bonaparte czuł się w sercu Francuzem i gdyby szczerym był zwolennikiem przekonań, które tak łatwo zdradzał.

Zdrowy rzadko chorego rozumie. Autor francuski zna okoliczności rzucające łagodniejsze światło na posępną postać młodego Korsykanina, ale za mało je uwzględnia, jak nie przywiązuje wagi do żalu, którym go wspomnienie dnia kartaczowego napełniało. Dla niego generał, który dopiéro po bitwie pod Lodi zamarzył o odegraniu decydującéj roli, już w macierzyńskim żywocie był condottierem-zbójem, pysznym okazem drapieżnika w zarodku, który prędzéj czy późniéj pociągnąłby do lasu i z lasu wypadłby na ludzkie stado, zwodząc narody i rządy, sprzeniewierzając się ideom i wyznaniom, z niezrównaną zręcznością i brutalnością posługując się człowiekiem, wynajdując coraz to nowe sposoby, ażeby olśnić, skusić lub nastraszyć, budząc wszędzie podziw, ale bardziéj jeszcze niż podziw —trwogę.

Nie brak w rzeczy saméj świadectw, że mimowolnéj trwogi zaczęli dość wcześnie doznawać wszyscy, którzy się do fenomenalnego człowieka zbliżali. Czy dla tego wszakże, że był tygrysem z natury? Może — tak, może nie... Krew z osobistych przeważnie pobudek przelana ciąży jak zbrodnia i uniemożebnia odwrót

z obryzganéj nią drogi. Zwycięzca sekcyi paryskich nie mógł nie stać się na pobojowiskach lombardzkich ślepym niewolnikiem ambicyi, skoro dla niéj poniósł już ofiary i skoro mu ona za krwawy hołd świetnym wawrzynem płaciła. Nie masz nad ambicyę strasznieiszéj namiętności. Jakie wrażenie zrobi w salonie stołecznym zamknięty w sobie, niechętnie z ludźmi obcujący człowiek, który chociaż cudów na czele zdezorganizowanéj armii dokazał, dla paryżan jak lady Macbeth złowrogie ma plamy na rękach, który do najwyższego stopnia opanowany namiętnością ukryć ją usiłuje, a jednak ciągle jéj oparami jakby dymem opium owiany w innym świecie, w świecie przyszłości żyje, ciągle po za koła, w których się obraca, myślą i rachubą wybiega? Czy równo z wejściem jego do towarzystwa nie wejdzie jakiś niewytłómaczony lęk i przymus, czy drzwiami, które otworzy, nie uleci towarzyska swoboda? Nie urodził się potworem moralnym, stanie się nim późniéj dopiéro, gdy życie wrodzone jego skłonności do zenitu doprowadzi. Pomimo tego można zrozumiéć, że ważąc już losy świata w swéj głowie, wyższym jest nad „miłość lub nienawiść“ dla jednostki ludzkiéj, którą nie za istotę z krwi i kości, ale za „fakt lub rzecz“, za prosty pionek uważa. Ma świadomość swéj siły, którą wypróbował i która go nie zawiodła. Ma olbrzymie zadania do urzeczywistnienia, wie, że nikt ich nie spełni, tylko on jeden, a więc „po za nim nie masz nic dla niego“. On jest duchem, reszta materyą. On jest rachmistrzem, reszta cyframi. Jest to może ubóstwienie swego geniuszu, na gruncie egoizmu wybujałe, ale nie krótko i węzłowato egoizm, bo ani siebie ani swoich nie szczędzi, bo i snu i wygód sobie odmawia, bo ustawicznie niezmierne brzemię pracy dźwiga i śmiercią gardzi. Kto siebie tak zupełnie na pastwę swych planów i zamiarów oddał, ten wszystko do nich stosować „we wszystkiém cel lub środek“ widziéć będzie. Jak filozof na pewnych wyżynach myśli przestaje rozróżniać zgrzytliwe dysonanse od melodyjnych dźwięków i słyszy tylko harmonię wszechświata, tak na pewnych wyżynach praktycznéj działalności człowiek czynu nie dzieli postępków na złe i dobre, ale na takie, które są w danéj chwili „pożyteczne“ lub szkodliwe. Wogólném prawie, w powszechnie uznanéj zasadzie spotkać on może hamulec swéj przedsiębiorczości, dlatego téż patrzy na nie „z nieufnością“, jak na ewentualnego „nieprzyjaciela“. Ustępstwo zasadom uczynione najczęściéj nie przynosi doraźnych i wyraźnych korzyści, które pogwałcenia ich bywają niekiedy nęcącym wynikiem. Pogarda dla głupców, którzy rzeczywistą, namacalną korzyść dla jéj mglistego cienia poświęcić gotowi, oraz wstręt do idealnych abstrakcyi, wywołuje mniejszą odrazę, gdy się przypomni, że stoi przed nami mąż stanu,

wielki realista, w którego nikt nie wpajał czci dla ideałów, trzeźwy i chłodny świadek bankructwa teoretyków rewolucyjnych. P. Staël, u któréj Taine zapożycza farb i palety, była zanadto źle dla swego modelu usposobiona, żeby od podejrzenia się uchronić, że wiernie sportretowanym rysom zbyt straszny wyraz nadała. Z pozornym spokojem zrobiona notatka o „głębokiéj ironii, która nic wielkiego ani pięknego, nawet własnéj jego sławy nie uszanowała“, polega prawdopodobnie na spostrzeżeniu trafném, chroma tylko o tyle, o ile o źródle zamilcza, z którego owa ironia płynęła. A przecież inném było pojęcie o wielkości w Aleksandrze W., a inném w pierwszym z jego wodzów i rozumie to każdy. Czyny Napoleona własne, czyny drugich— jakkolwiek wielkie — w porównaniu z tymi, których dokonać zamierzał, lub o których tylko marzył, błahe były i blade. Jak wielki poeta „czuć za miliony“, tak tytan potężny chciał „działać za miliony“ i póki całego świata do swych stóp nie nagiął, póty dla uwielbień pigmejów tak głęboką żywił ironię, z jaką my słuchamy zachwytów dziecka dla czynu, który dla dorosłego jest tylko igraszką.

I p. Staël atoli, chociaż rozjątrzona na swego prześladowcę, przed jego wyższością głowę skłonić musi. Zasadzała się ona głównie na tém, że posiadał dar instynktowny, dzięki któremu umiał zawsze okoliczności przeniknąć, opanować i wyzyskać. Brakło mu natomiast téj wyższości, jaką daje gruntowna nauka, wysokie wykształcenie i troskliwe wychowanie. Mało obeznany z utworami ducha starożytnego, bez zamiłowania i zdolności do literatury, języków i filozofii, bez błyskotliwego poloru i ogłady towarzyskiéj, obok zapasu pozytywnych wiadomości z dziedziny matematyki, historyi i geografii wyniósł ze szkoły mnóstwo luk, które, ponieważ mało i dorywczo czytał, pozostały niezapełnione i rozweselały lub zdumiewały dworaków. Ale złe przygotowanie do życia, które przeciętną jednostkę skazałoby niechybnie na wieczną mierność i wegetacyę w nizinach społecznych, wyszło wybrańcowi fortuny w pewnéj przynajmniéj części na dobre. Umysł świéży, nieznękany nadmiarem przedwczesnych wysiłków, nieprzeładowany gotowemi formułkami, wolny od systematycznych pęt wyłącznego kierunku, zachował nietkniętą samodzielność i trudną do pojęcia wytrzymałość na wszechstronne i bezprzykładne wytężenia. Przez pół dnia rozstrząsając i rozstrzygając najzawilsze i najmozolniejsze kwestye, nie doznawał na chwilę roztargnienia lub potrzeby wypoczynku. Na przedmiot, którym się zajmował, zestrzelał całą uwagę, wszystkie władze swojego ducha i póty się od niego nie odrywał, chociażby go tysiączne i groźne odrywały wieści i kłopoty, póki sam tego nie zechciał. A gdy zechciał, to z nieporównaną giętkością

w jednem mgnieniu oka całą swoją cudownie skupioną istotę duchową zaprzątał z tąż samą co pierwéj wyłącznością innym, nowym przedmiotem. Tak pracując, nużąc śmiertelnie swych współpracowników, „pracował“, jak sam wyznaje, „ustawicznie, nawet przy obiedzie i w teatrze“. Gdy mu zaś jaka chwila od właściwéj roboty swobodna pozostanie, pracuje myślą, stara się trudności, które go czekają odgadnąć i zawczasu sobie tryumf nad niemi zapewnić.

Niedouctwo Napoleona I miało też tę niezmiernie dodatnią stronę, że go na każdym kroku do samouctwa zmuszało. Między nim a rzeczą, faktem i człowiekiem nie stawała książka, nie pośredniczyło słowo, nie bruździł narzucony z góry pogląd, nie wciskała się gruba mgła sztucznych klasyfikacyi i abstrakcyjnych teoryi. Administracyi uczył się administrując, dyplomacyi prowadząc układy, prawa układając swój kodeks. Zdobywca *par excellence* własną praktyką i doświadczeniem zdobył prawie całą swą wiedzę. A że dany przedmiot przez ciągłą z nim styczność poznawał i wprzód nim ogólne o nim pojęcie w sobie wyrobił, do najdrobniejszych szczegółów zstępował, żeby trafność i niezawisłość sądu zachować, stąd więc i całość przedstawiała mu się jasno, dokładnie i z rzeczywistością zgodnie. Łatwo zrozumiéć, że człowiek taki doktrynerstwa nienawidził i doktrynerami się brzydził, że najpiękniejsza konstytucya na papierze nie miała dlań żadnéj wartości, jeśli na spekulacyi tylko filozoficznéj zbudowana była; że myśląc o wolności, zastanawiał się przedewszystkiem, kto z niéj korzystać będzie; że społeczeństwo nie było dlań społeczeństwem wogóle, ale pewnem danem społeczeństwem, złożonem nie z idealnych, schematowych członków, ale z ludzi żywych, do których namiętności, przywar, przesądów i t. d. sztukę rządzenia stosować należy.

Oczywiście, chcąc nad ludźmi panować i wielkich rzeczy dokonać, trzeba wpierw ducha ludzkiego podbić i ujarzmić. Nikt w trudnéj téj sztuce nie przewyższył Napoleona. Wódz, który w swych planach strategicznych jak najdokładniéj obliczyć umiał błędy przeciwników, niepowszednim być musiał psychologiem. Wiemy z własnych ust jego, że przy każdéj sposobności zastanawiał się nad tém: „dlaczego i jak się to dzieje?“ Motywy cudzego postępowania mogły się stać dla niego wówczas tylko zrozumiałe, jeśli objaśnić je sobie potrafił analogią własnych uczuć i popędów. Badając nieustannie sam siebie, ażeby drugich poznać, drogą podwójnéj analizy doszedł rychło do skończonego mistrzowstwa w uderzaniu w najodpowiedniejszą strunę psychiczną danego indywiduum. Dzielnie się też przyczyniła do osiągnięcia nabytéj biegłości wyjątkowo olbrzymia pamięć, w któréj

zarówno dar analizowania wrażeń i spostrzeżeń, jak i wszystkie jego władze duchowe szeroką i niewzruszoną miały podstawę.

Zdumienie ogarnia na myśl, ile topograficznych, raz jeden dojrzanych szczegółów, ile najdrobiazgowszych cyfr tyczących się wojsk, floty, uzbrojenia tychże i ekwipowania, mieściło się swobodnie w jego militarnéj pamięci. Wszystko, co miało jakikolwiek związek z administracyą i finansami, tkwiło również głęboko w jego umyśle. Pamięć psychologiczna wreszcie na każde zażądanie wydobywała w lot z swéj „skrzyni“ każdą wrzuconą w nią niegdyś notatkę o charakterze, skłonnościach, położeniu i potrzebach każdego narodu, stanu, lub człowieka, który czémkolwiek ściągnął na się jego uwagę. Cały ten tłum spostrzeżeń, szczegółów i wiadomości był korną i posłuszną rzeszą. Jedno skinienie pana wystarczało, ażeby bądź osobno, bądź w większych czy mniejszych grupach, bądź w zbitéj masie, bez pominięcia najmniejszego ze służalców, stawiły się przed nim wszystkie.

Takie światy w sobie mieszcząca, tak wyjątkowo uposażona, tak trzeźwo i realnie na wszystko, co ją otacza, patrząca głowa roi się od pomysłów i planów — czy zawsze ściśle realnych, wykonalnych, możliwych? W Egipcie marzył o zawładnięciu całym Wschodem i tryumfalnym powrocie przez Konstantynopol i Wiedeń do Paryża; z tegoż Paryża chciał jako cesarz stolicę świata i rezydencyą papieża i europejskich królów - wasali uczynić; w 1812 r. uważał za rzecz w przyszłości możliwą wyprawę francuską na Kaukaz do Indyi, z Kozakami w przedniéj straży... Wprawdzie pomysł dla mrówki ludzkiéj szalony przestaje być takim, skoro go orzeł-człowiek poweźmie, wprawdzie najbardziéj maluczki śmiertelnik czegoś pragnie i o czémś marzy, czego ani jest w stanie ani zamierza dokonać — niemniéj przeto snuć w sobie przędzę tak złudnych, jak przytoczone powyżéj, fantasmagoryi potrafi ten tylko, kto w twórczym zapędzie zdolny jest daleko pozostawić za sobą wszelkie rzeczywistości szranki, „mierzyć“ jak poeta lub artysta „siłę na zamiary“ i jak Michał Anioł marmur w okruchy rozbijać, usiłując wykuć z marmuru niewykonalne dłutem rzeźbiarza dzieło.

Marmurem Napoleona była, niestety, Francya...

## II.

Mózg pracujący bez miary i przerwy, z najwyższą gorączką i wytężeniem wszystkich sił rozporządzalnych, najoporniejszy organizm przyprawić musi o brak równowagi. Wszakże i w. XIX dlatego głównie zasłużył na miano „nerwowego“, że umysłowemi wysil-

kami przeciąża synów swoich. Zdaniem Napoleona, gdyby nie nader powolne krążenie krwi w jego żyłach, drażliwość i wrażliwość nerwowa, któréj mnóstwo złożył dowodów, zaprowadziłaby go niechybnie do szpitala waryatów. Ataki nerwowe, konwulsye, potoki łez, które niekiedy wylewał, marne tchórzostwo wobec wrzasków bezbronnego tłumu, tak napozór źle licujące z bohaterstwem na polu bitew okazywaném, wybuchy namiętne, gwałtowne a jednak najmniejszéj przymieszki istotnéj, sangwinistycznéj zapalczywości nie mające w sobie— wszystko to niezawodne oznaki całkiem nowożytnego rozstroju nerwów, który Taine bardziéj może konsekwentnie, aniżeli szczęśliwie porównywa do cech charakteryzujących Malatestów i Borgiów. Każdy, kto „ma nerwy“ i „patrzy w nerwy“, z własnego téż wié doświadczenia, że z ich arystokratyczną wielmożnością despotyzm silnéj woli, acz na krótko tylko, ale wcale dobrze się godzi, przemieniając nawet wrogi sobie zazwyczaj czynnik w efemeryczne źródło swéj potęgi. Przypuśćmy, że to efemeryczne u drugich źródło stale siłę woli u Napoleona I podsycało, a przypuścimy objaw, który nam i fenomenalność téj ostatniéj wyjaśni i doskonale da się zaszeregować do całego rzędu takich faktów, jak zdolność do bezporównania dłuższego i energiczniejszego natężania myśli, uwagi i t. d., aniżeli to u przeciętnych jednostek zwykło bywać. Bądź jak bądź, czy objawy zewnętrzne psychicznych zaburzeń nazwiemy następstwem chorobliwéj, wiecznie na sposobność do buntu czyhającéj drażliwości zgorączkowanego nerwowego systematu, czyli téż razem z Taine'm widziéć w nich zechcemy skutki szalejących w duszy namiętności, pojęcie nasze o niezłomnéj mocy i sprężystości woli ujarzmiciela ludów żadnego nie dozna uszczerbku. Wymowne świadectwo o niéj składa wielość i wielkość gór przez nią przeniesionych, oraz mnogość pęt narzuconych milionom, większe jeszcze — ustawiczna a najczęściéj zwycięska z samym sobą walka.

Co téj przedziwnéj sprężynie, którą chyba do Archimedesowéj dźwigni przyrównać można, nadało hart i tęgość, co nie dozwalało jéj zużyć się i zastępowało natychmiast nowym kruszcem straty przez tarcie spowodowane?

Ambicya i egoizm...

Tak, egoizm, nie zdawkowy jednak i pospolity — ponawiamy zastrzeżenie — ale wypełniający doszczętnie szerokie ramy definicyi Taine'a, który go określa jako wrodzoną skłonność do uważania siebie za oś środkową świata i dążność do nałamania tegoż, ażeby naokoło téj osi krążył.

Świetne w omawianém tu dziele jest wykazanie i zestawienie

wpływów, za których sprawą ów instynkt silnie w charakterze Napoleona wybitny, z małéj grudki śniegu rozrósł się w siejącą zniszczenie lawinę. Pierwsze wrażenia odbiérał przyszły pan Francyi wśród społeczeństwa, które wyższych nad interes osobisty, familijny lub klanowy idei nie znało. Rewolucya, szczególniéj po 9 Thermidora, zbyt wiernie służyła interesom politykowców lub rozdrapywaczy dobra publicznego, aby pasierba Francyi do wyraźnego podporządkowywania osobistych widoków względom na pomyślność narzuconéj mu ojczyzny zachęcić i przyuczyć. W pierwszéj armii, którą jako wódz naczelny poprowadził do boju, chciwość awansu i łupiestwa silniejszą już była od szlachetniejszych pobudek. Jeszcze przed wyprawą do Egiptu widzi on jasno, że Francya potrzebuje jedynego i silnego kierownika, że obecna forma rządu jest dla niéj niestosowna, a dla ogromnéj większości wstrętna. Bez skrupulu przeto poświęca tymczasowe interesa rzeczypospolitéj swoim własnym, które dla niego najściśléj są związane z przyszłością kraju. W Egipcie przywyka do roli samowładnego sułtana i przekonywa się, że „człowiek nieucywilizowany jest psem“, a że cywilizacya natury ludzkiéj do gruntu nie zmienia, więc oczywiście dla tego psa trzeba pana, któryby nim owładnął, „wyobraźnię jego okagańcował, na uwięzi go trzymał, dbał o niego i wiódł na polowanie; psem-niewolnikiem się urodził, nie wart innego losu i innych praw nie posiada.“ Psia wierność lub bizantyjska służalczość, z jaką Francuzi z republikanami na czele hurmem legli przed podnóżkiem tronu, najlepszym dlań były dowodem, że się ani w teoryi, ani w jéj zastosowaniu nie omylił. Wszystko się więc na to złożyło, ażeby w nim przekonanie wyrobić, że człowiekiem, o ile jest poczytalny, kierują wyłącznie egoistyczne pobudki, jak strach, miłość własna, lub chciwość, a o ile zapomina o sobie, szał próżności i dumy, w który go łatwo wprawić. Z tym poglądem na ludzkość, chociaż go tenże na fatalne błędy narażał, nie rozstał się Bonaparte nigdy, ponieważ pod taką, a nie inną linią załamywała w jego oku wszystkie promienie światła jego główna, jego jedyna namiętność—ambicya.

Porównywał ją sam do krwi organizm jego obiegającéj lub do powietrza, którém oddychał, żałował, że nie może jak Aleksander W. ogłosić siebie synem Zeusa, nazywał władzę jedyną, drogo okupioną kochanką i strzegł jéj z podejrzliwością najzazdrośniejszego z kochanków. Sam chciał być silnym, sam—panem, żadnéj przeto samodzielnéj siły obok siebie nie znosił. Siłę stanowią zdolni ludzie niezawisłego zdania i sposobu myślenia, oddala ich więc od siebie, sam administruje i rządzi, usuwa doradców, otacza się zaś ślepymi wykonawcami swéj woli, o których o tyle tylko dba, o ile ich za niezbędne narzę-

dzia uważa. Siłę stanowi każdy związek, każde zespolenie się ludzi w imię wspólnych interesów, przekonań lub uczuć, na każdym więc kroku zastosowuje z przebiegłością Włocha i przewrotnością egoisty starą włoską zasadę: „*divide et impera.*“ Jeśli przyjdzie do przypadkowego porozumienia się między dostojnikami, ciska gromy na zdradę, a jeśli ścisłą przyjaźń odkryje, to nietylko z instyktowną nieufnością na nią patrzy, jak tyran na zarodek przyszłego spisku, ale i z wyraźną niechęcią, jakiéj się doświadcza, gdy się widzi, że ktoś z naszéj własności bez naszego zezwolenia korzysta. Bo on nietylko jest cesarzem, ale się czuje panem i właścicielem całéj istoty każdego ze swoich poddanych. Nie dość mu, że pies się przed nim łasi i wszystkie nakazane sztuki i łamańce wiernie i gorliwie wykonywa, on w myśli i uczucia jego wgląda i nie lubi, żeby przywiązanie komu innemu, a nie jemu wyłącznie okazywał. Gdy pies się waha, czy skoczyć w wodę po przedmiot żądany, Bonaparte wpycha go w nurt spieniony i woła: „Żołnierze! Idźcie na śmierć; potrzebuję tego; życie wasze do mnie należy!“ Żebyż tylko życie! Ale despota, który siebie za uosobienie państwa uważa i świat na dwie połowy dzieli, z których on jedną, a świat jest drugą, bierze wszystko, co jeno wziąć może, wymaga, gdy tego jemu potrzeba, wyzucia się z honoru, sprzeniewierzenia się religii, ofiary z uczciwości. Żadnym nie gardzi środkiem, trwogą karmi, groźbą niełaski i kary poi, wyszukuje i rozwija występne słabości, żeby na okutéj raz szyi utrzymać obrożę, którą atoli tak bezwzględnie ścieśnia i zaciska, że w końcu zamiast krępować, dławić i dusić zaczyna. To téż, gdy wreszcie spadła, przecięta poczwórnym mieczem skoalizowanéj Europy—prawie cała Europa, zgodnie z proroczemi jego słowami, powitała ten upadek ogólném westchnieniem ulgi, „powiedziała: uf!“

Nie było albowiem pola działalności, gdzieby despota z charakteru i przekonania potrafił zaprzéć się swojéj natury. Jak dla kół towarzyskich i dworskich miał zawsze berło żelazne w ręku i mars nieokrzesanego żołdaka na czole, tak i w stosunku do niepodległych rządów i ludów nie umiał nigdy miary i przyzwoitości zachować, od szorstkiego narzucania swéj woli się powstrzymać, tonu rozkazodawczéj wyższości zaniechać, w mieszaniu się do najdrażliwszych i domowych spraw sąsiadów pewną wstrzemięźliwość sobie nakazać. Kogo nie powalił jeszcze maczugą, w tym wietrzył możliwego przeciwnika i miażdżył go, żeby się przypadkiem nie stał przeciwnikiem. Żadne ustępstwa nie zdołałyby go przejednać, gdyż z ustępstwami rosła i skala jego wymagań. „Wiarołomnemu Albionowi niewolno wzierać w jego czynności i zabory, jemu natomiast przysługuje najistotniejsze

prawo domagać się obalenia wolności prasy w Anglii, wypędzenia z niéj Burbonów, oddania Malty, wykreślenia Egiptu ze sfery interesów angielskich i t. d. Uroszczenia jego tak się mnożą, a potęga tak już jest straszna, że gdy Anglia, chcąc losu Korsyki uniknąć, sprzymierzeńców na stałym lądzie szuka, znajduje ich zawsze. Kontynent staje się krnąbrnym, więc go najeżdża, rozkawałkowuje, wyzyskuje, ciemięży i do tego doprowadza, że go bite, poniewierane i odzierane do naga ludy bardziéj jeszcze nienawidzą, niż znieważani i zagrożeni w swym bycie monarchowie. I nie masz w końcu, ktoby nie widział, nie wiedział i nie rozumiał, że póki on będzie u szczytu władzy, póty ludzkość spokoju nie zazna, że nie sposób z nim zżyć się, a żyć niepodobna. I wielkiego szkodnika dościga wreszcie los wszystkim szkodnikom wspólny. Nieszkodliwym uczyniony, kończy jako banita i więzień.

Byłoby może inaczéj, gdyby ludzie, którzy na uczuciach i sumieniach srogi gwałt od niego cierpieli, pocieszać się mogli przynajmniéj wiarą w trwałość dzieła dźwiganego kosztem ich krwi i mózgu, swobód i złota. Téj wiary atoli Bonaparte dać nie mógł, bo jéj sam nie posiadał. Jeśli poprzednicy jego na tronie francuskim utożsamiali państwo z sobą, to on poszedł daléj i państwo na niższym od siebie postawił szczeblu. Interes Francyi i przyszłość cesarstwa nierównie mniéj dla niego znaczyły, aniżeli własna jego, osobista chwała i potęga. Z luźnie i pośpiesznie spiętrzonych głazów sklecił on gmach niebotyczny i tylko tém w równowadze go utrzymywał, że go własnym niezmiernym przygniatał ciężarem. Prawdopodobnie gmach ten runie nazajutrz po jego śmierci, prawdopodobnie mieszkańców gruzami przysypie, nic go to jednak nie obchodzi, byleby nie runął, póki on jest jego dożywotnim lokatorem... Lokatorem, nie dziedzicem, przywłaszczycielem-cezarem, nie synem i wnukiem królów. Biada mu, jeśli się rozwieje iskrzysty nimbus uroku, wnet bowiem z po za purpurowéj togi mocarza stanie się dla wszystkich widzialną zbrukana tunika przywłaszczyciela! Wawrzyny cezarowego wieńca powinny być ciągle świeże—tak każe nietylko ambicya, miraż światowładztwa, niecierpliwa pochopność do rozcinania najmisterniejszych węzłów brutalnym mieczem, ale i głęboko egoistyczna rachuba cezara. Francya powinna być ciągle nad brzegiem przepaści trzymana, żeby wciąż potrzebowała opiekuńczego ramienia zbawcy — tego wymaga interes i bezpieczeństwo cezara. Tylko silniejszy organizm może słabszy pochłonąć, tém bardziéj przeżuć i przetrawić. Francya mogła wszystkie europejskie państwa kolejno pobić, ale całéj Europy w poddaństwie zjednoczyć i utrzymać nie była w stanie. Najbliżsi cezarowi

słudzy, widząc jak napiętej sytuacyi nigdy odprężyć się nie dozwala, jak wszystko gmatwa i plątą, jak coraz nowe burze wywołuje, jak chimerycznym planom gwoli podstępnie Francyą zwodzi i pcha rozmyślnie w przepaść, szepcą sobie na ucho: „Katastrofa nas czeka! To szaleniec!...“

Nie, to nie szaleniec, to był tylko szalony... egoista, dla którego milion trupów był — fraszką, przyszłość wielkiego narodu — niczém, świat całym — piedestałem. Obłąkany ubóstwieniem samego siebie geniusz chciał się narzucić za bóstwo Europie i póty folgę dawał rwącéj mu jelita żądzy, póki całéj Europy nie zjednoczył, tylko nie w poddaństwie, ale w rozpaczliwym oporze, który z politycznego jego dzieła jednego nie zostawił kamyka. Szalony ten egoista chciał wszystkiém być we Francyi i dla Francyi i, jak niesumienny lekarz arszenik choremu, wlał w nią jad swego egoizmu, jad, który ją na razie ożywił i pokrzepił, ale dotychczas najlepszych jéj soków niszczyć nie przestaje.

## III.

Bezstronność każe wszelako wyznać, że towarzyszące tworzeniu okoliczności wzięły też nieposledni udział w nadaniu utworowi właściwego mu charakteru. Od początków rewolucyi nie było prawie chwili, w któréjby rząd miał równowagę w sobie, silną podstawę w narodzie i posłusznych a sprężystych współpracowników. Wybuchy coraz ostrzejszych starć u szczytu, ogólne przeświadczenie o niegodziwości i niezdarności prowodyrów i dyktatorów, zależność wreszcie urzędników od obojętnych, wrogich, egoistycznych lub sekciarskich wyborców, udaremniły wszelką harmonijną i konsekwentną działalność. Niemoc prawa doszła do przerażających rozmiarów, ponieważ każdy jego stróż i wykonawca miał wszelką do nadużyć swobodę i zachętę, ale żadnéj możności spełniania sumiennie swych obowiązków i żadnego podtrzymania z góry, lub z dołu. Bo u spodu rozpościerał się ogół składający się z krnąbrnych, politycznie niedojrzałych, gorączkowo podnieconych i do najwyższego stopnia zobopólnemi krzywdami rozjątrzonych na siebie ludzi, którzy obywatelskie uczucia i wiarę w idee i zasady pomieniali na sobkowstwo i chęć używania, oraz na chciwość znaczenia i materyalnych korzyści. Naturalném następstwem niesforności, apatyi i samowoli była zupełna anarchia, dalszym zaś téjże logicznym wynikiem musiał być zamach stanu.

Przeczuwano go, rozumiano jego konieczność, dlatego też 18 Brumaire'a nie wywołał ani zadziwienia, ani oporu. Zachodziło te-

raz pytanie, jakie stanowisko wobec jednolitéj wykonawczéj władzy wyznaczyć się da dla reprezentacyi narodu.

Tylko najzupełniéj bierne było jedynie możliwém. Skutkiem Jakobińskiéj tyranii, która wybory najbezwstydniéj gwałciła, parlamentaryzm nie budził ani przywiązania, ani ufności. Zresztą, gdyby nawet, przy najściśléj bezstronném i lojalném zachowaniu się rządu, kraj wysłał do Paryża istotnych, a nie narzuconych mu przedstawicieli swéj woli, to i tak wytworzyłoby się natychmiast w nowéj izbie położenie bez wyjścia. Oko w oko stanęłyby w równéj sile dwa krańcowe, nieprzejednane stronnictwa i gdy jedno pchałoby pierwszego konsula do odegrania roli Monka, drugie połączyłoby się szczerze z republikańską wtedy jeszcze armią i przygotowałoby niechybnie nowy zamach stanu.

Zgodnie z logiką faktów, która despotyzm jako jedynego grabarza anarchii wskazywała, nowa konstytucya jest tylko przezroczystą obsłonką rzeczywistéj dyktatury Napoleona. Niebawem spada i ta licha i śmieszna obsłonka, i Francya wydaje siebie bez warunków i zastrzeżeń na łaskę i niełaskę jednego człowieka. Odtąd jéj wielkość i pomyślność, jéj teraźniejszość i przyszłość, nie od niéj, ale od tego zależą, czy w jéj właścicielu rozsądek i geniusz, czyli téż egoizm i wyobraźnia górę weźmie.

Potężnym był geniusz i rozsądek. ale egoizm oprócz na własne siły liczyć mógł jeszcze na cały hufiec sprzymierzeńców, jak na wdrożone w naród przez monarchią zamiłowanie do centralizacyi, jak na pojęcia w owéj chwili u ogółu popłatne i ideały aż w starożytności mające swą kolebkę. Liczmanów XVIII-go wieku nikt już nie bierze za szczere złoto. Według zapatrywań dzisiejszych, władza państwowa jest narzędziem, którego główne przeznaczenie stanowi obrona państwa od zewnętrznego wroga i ochrona członków społeczeństwa od krzywd wzajemnie sobie wyrządzanych. Jeśli państwo nie poprzestaje na swém zadaniu, to przekracza stwierdzone dowodami z mechaniki, socyologii i nauk przyrodniczych, a stosujące się do wszystkich wogóle narzędzi prawo: „z udoskonaleniem narzędzia zmniejsza się różnorodność jego użytku“, t. j. różnorodność prac, które się niém dobrze wykonać dają. A zatém państwo, które zamiast nadzorować, strzedz bezpieczeństwa i praw obowiązujących, zapragnie czerpać samowolnie z kieszeni opodatkowanych, środki na zaspokojenie obcych jego kompetencyi, potrzeb społecznych, oraz przepisywać sposób zaspakajania tychże, musi błądzić i błądzi, podwójnie grzesząc: nie spełniając swego zadania, źle spełniając cudze. Gdy chce indywidualne życie uregulować, zabija indywidualizm: zapewniając korporacyom

uprzywilejowane stanowisko, narzuca im prawie zawsze własne swoje, a im obce cele i paczy ich charakter, działa zdaleka, kosztownie, ociężale i mechanicznie, wszędzie wedle jednéj urzędowéj modły, a więc działa źle. Najgorszą atoli, nieobliczoną w skutkach szkodę wyrządza państwo roszczeniami swemi wówczas dopiéro, gdy w społeczeństwie zabija inicyatywę prywatną, wytępia zdolność i gotowość do dobrowolnego jednoczenia się w imię wspólnéj korzyści, pracy i podniośléjszych celów, gdy doprowadza naród do społecznego i politycznego niedołęstwa, do przeistoczenia się w zbiorowisko przylegających do siebie, a pomimo to luźnych jednostek, to jest w „pył lub błoto ludzkie“ [1]).

Długo, niezmiernie długo o tych prawdach „żadnemu z filozofów się nie śniło.“ Ograniczenie, koszlawienie i gwałcenie wszelkich samoistnych organów życia społecznego, rozpoczęte wcześniéj niż gdzieindziéj we Francyi i trwające przez trzy wieki z rzędu, nadało im pozór chorobliwych narośli, które jednym noża zamachem wycięła rewolucya, uważając to za konieczny i chwalebny obowiązek. Nowotwory, którymi je zastąpiła, martwe na prowincyi, nienawistne jako gniazda ucisku po miastach, obmierzły rychło wszystkim, a co gorsza zdyskredytowały tradycyą historyczną i system wyborczy, t. j. obie twórcze siły, którym swój byt zawdzięczały. Któż ma tworzyć, skoro w poniewierce tradycya. Oczywiście racya stanu. Kto ma naznaczać, skoro wyborcy nie ufają wyborom? Nikt inny, jeno władza centralna...

A więc, oprócz toku wypadków politycznych, rozwój instytucyi społecznych ciągnął także Francyą ku państwowéj wszechmocy. W tymże samym kierunku pędził ją naprzód i prąd umysłowy. Jako feudalni wodzowie, oraz zwierzchni panowie wszelkiéj własności, jako arcychrześciańscy pomazańcy boscy i teoretyczni spadkobiercy cezarów rzymskich, dążyli już królowie do wszechwładzy, ale jéj nigdy w całéj pełni osiągnąć nie zdołali, ponieważ czuli się poniekąd moralnemi zobowiązaniami względem kościoła i feudalizmu skrępowani i pozbywali się chętnie wydartych nabytków, żeby wybrnąć z finanso-

---

[1]) Polemika z powyższym poglądem Taine'a byłaby dość trudną. Zarzut, że dawniéj gorzéj się działo, chociaż władza państwowa w daleko ciaśniejszéj obracała się sferze, zbija proste pytanie, jak téż byłoby wówczas, gdyby ówczesny rząd sferę tę rozszerzył. Kombinacya organicznéj pracy państwa z korporacyjną nie może za ideał służyć, silniejszy bowiem współpracownik lub współzawodnik zawsze na têm kończy. że słabszego usuwa. Przykłady, przez niektórych polemistów przytoczone, są albo zbyt świeże, albo bezkrytyczne. Cf. „Wiestn. Jewr.“ Zeszyt styczniowy, 1891.

wych kłopotów. Rousseau poprawiał przeto tylko dostrzeżoną przez siebie w istniejącym ustroju państwowym wadę, gdy swe idealne państwo obdarzył nieograniczoną wszechmocą i wszechwładzą, względem któréj (t. j. ludu) każdego obywatela za każdą czynność zrobił odpowiedzialnym. Rewolucya poszła ślepo za nauką swego proroka, łącząc w praktyczném jéj zastosowaniu pomysły własnéj tyranii z obyczajami świéżo obalonego despotyzmu. Co do trwałych, niezawisłych, na inicyatywie i dobréj woli opartych instytucyi, to żaden teoretyk prawny nie zrozumiał jeszcze ich znaczenia. Potępił je Rousseau, ścigały republikańskie konstytucye, nie znało ich rzymskie prawo, wzdrygały się na nie dawne przywileje monarchii francuskiéj. Jednomyślny wyrok teoryi brzmiał stanowczo: wszystko co w państwie nosi charakter społeczny, powinno powstawać i działać w imię państwa, przez państwo i dla państwa.

Przypomnijmy sobie teraz, że wśród tych wszystkich, możliwie najpomyślniejszych dla pochłonięcia indywidualnéj i spolecznéj samodzielności na rzecz państwa warunków, wedle swego upodobania gospodarzyć ma żołnierz, którego geniusz odznacza się cechą nienasyconéj zaborczości, który chce i umié wszystko w swe ręce zagarnąć, wszystkiém kierować i rządzić. Co pocznie, jak postąpi? Widoczną jest rzeczą, że z kraju zrobi koszary, a z narodu armią. Budując, z pewnością szukać nie będzie śladów dawnych podwalin, ponieważ nowa budowa odmiennym celom służyć, a nadto kształty dawniejszéj budowy i imię poprzednich budowniczych w pamięci mieszkańców zaciérać powinna. Organizując swą armią, z pewnością pogardzi ideałem dzielnéj, lecz od biernego posłuszeństwa dalekiéj ruchawki. Obywatelom nada równość szeregowców, a instytucyom jednostajność uniformu, pomyśli téż o silnym sztabie hierarchicznym. Ze względu na karność zapobieży rozprawom i krytycznym uwagom w obozie. Wodzowi, t. j. sobie, każe być odpowiedzialnym tylko przed fikcyjnym panem, t. j. przed narodem, i usunie przed jego, t. j. swoją wolą wszelkie zapory i szranki. Jedyną zaś racyą bytu całéj armii uczyni akcyą na zewnątrz.

Tak się téż stało. Wprawiwszy w rygor prawodawcze i wykonawcze władze, postarał się o to Napoleon, ażeby na całym przestworze kraju obok jego moralnéj powagi, nie było miejsca dla żadnéj innéj. Okneblował opinią publiczną, zatkał wszelkie źródło korporacyjnego początkowania, odosobnił troskliwie wszystko i wszystkich, przed ognistszemi i energiczniejszemi jednostkami, rozwarł na roścież wrota do karyery, resztę zaś obywateli zamknął w ciasnéj sferze maluczkich interesów egoistycznych. Téj sferze zapewnił nietykalność

zupełną, z genialną znajomością natury ludzkiéj u téj właśnie granicy zahamowując despotyzm, po za którą tenże zaczyna być dla człowieka zgoła niemożebnym do zniesienia.

Gdy współczesna Francya wyszła nakoniec z rąk modelatora, jako dzieło gotowe, według z góry powziętego planu, z żywego materyału urobione, a jednak do życia zdolne, powitał ją podziw ogólny. Pod pewnym względem jest ona istotnie arcydziełem, stanowi bowiem ideał społecznéj organizacyi, mającéj w najdoskonalszy sposób czynić zadość wszystkim potrzebom i wymaganiom despoty. Rozpatrywana atoli sama w sobie, jako ciało, które ma żyć przez siebie i dla siebie, nie wytrzymuje krytyki. Nadmierna jéj zależność od osobistych zdolności i pobudek każdorazowego władzcy, oraz przewaga wojskowego żywiołu—oto główne w jéj ustroju wady, które tłumią swobodny jéj rozwój, narażają ją na peryodyczne przesilenia i na przedwczesny uwiąd starczy skazują.

Artysta wszelako rad był i dumny. Utwór jego działał znakomicie i dawał na razie *maximum* niesłychanych przedtém wysiłków. Nadto, jako wierne odźwierciedlenie ducha czasu, swą pseudoklasyczną symetryą i sztucznością, która prawdę i życie dla kunsztownéj formy poświęca, schlebiał jego upodobaniom. Jako wierne echo epoki i myśli Dyoklecyana i jego następców, dogadzał w końcu nieświadomym instynktom jego włoskiéj natury. Chwilka jeszcze, a oczarowany doskonałością swego dzieła, wmówi Bonaparte sam w siebie, że rozpowszechniając je wszędzie, najwyższe dobrodziejstwo ludzkości wyświadcza.

## IV.

Pewne zalety musiało jednak to dzieło posiadać, skoro się tak długo utrzymało przy życiu. Żyje po dziś dzień, ponieważ Napoleon, pojmując po swojemu samowładztwo ludowe, spełnił najbardziéj uprawnione pragnienie większości narodu, o które w ciągu wieków nikt się nie zatroszczył i zagoił niemało ran, które rewolucya świeżo społeczeństwu zadała.

Zacznijmy od tych ostatnich. Zapewniwszy rządowi siłę, sędziom i urzędnikom niezawisłość od ich dawniejszych wyborców, wszystkim wyznaniom tolerancyą, położył kres wojnom domowym, wytępił rozbójnictwo, przywrócił ład i porządek, bezpieczeństwo osób i mienia. Powoli, kategoryami, przywołał do kraju i do równości obywatelskiéj i służby publicznéj przypuścił setki tysięcy politycznych paryów, wygnańców i tułaczy. Nie przejednał wprawdzie nieprzejednanych, bo się o to nawet nie pokusił, ale trzymając ich w gro-

zie i niedostatku, potrafił wrogi nowemu stanowi rzeczy żywioł ten, nieszkodliwym, uległym, w części zaś i pożytecznym uczynić. Mistrz nad mistrzami w zaprzęganiu wszelakich sił do swego rydwanu, gdy mu kazano bicz z piasku ukręcić i bicz ukręcił i pokazał w końcu swych rządów, że smagać nim umie. Mówimy tu o sposobie, w jaki załagodził skutki kasaty zakonów i zaboru wszystkich funduszów publicznych. Okropne to były skutki. Od 1789 r. potroiła się liczba potrzebujących przytułku i wsparcia, gdy liczba miejsc w zakładach dobroczynnych o połowę zmalała. Po upływie całego stulecia jest dziś we Francyi 5,000 stypendyów, przed 1789 r. było ich 40,000. Dzięki prywatnéj i lokalnéj inicyatywie, mogły szerokie warstwy wychowywać, a nawet kształcić swe dzieci z nader małém obciążeniem swego i państwowego budżetu. Odkąd z przystępnością nauki znikła wolność nauczania, rodzice przestali posyłać dzieci do szkół, będących miejscem popisu dla najgorszych wyrzutków społecznych. Młódź dorastając pogrążała się w coraz grubszym umysłowym mroku. Prześladowanie religii ożywiło wiarę nawet w chłopie, który w ściganym i więzionym księdzu widział już męczennika, a nie, jak dawniéj, pasibrzucha i poborcę dziesięcin. Należało złemu zaradzić, a skarb stał pustkami, a o restytucyi dóbr narodowych, rozdrapanych przez 1,200,000 nabywców mowy nawet być nie mogło. Ktoby ich własność w wątpliwość podawał, musiałby wraz z wszystkimi czynami rewolucyi i władzę pierwszego konsula za nieprawną uznać; co więcéj, ktoby ich z własności ich wyzuł i na cele ją publiczne przeznaczył, popełniłby nowe bezprawie, działałby bowiem bez pełnomocnictwa jedynych prawnych właścicieli, t. j. nieistniejących już religijnych i społecznych instytucyi. Słusznie podejrzywając, że własne jego najuroczystsze, a kilkakrotne poręczenia nietykalności „kradzieży“ nie zdołają zupełnie uspokoić solidarnie z nim związanych przywłaszczycieli, nie omieszkał Bonaparte postarać się o to, ażeby najwyższa powaga moralna faktowi dokonanemu sankcyi swéj udzieliła. Konkordat, to właściwie sprzedaż pierworodztwa za miskę soczewicy. Zamiast być, jak niegdyś samoistną, równouprawnioną instytucyą, zrzekł się Kościół wszelkich praw do wydartéj mu własności, przez co pozbył się materyalnéj i co za tém idzie, moralnéj niezależności. W zamian za pensye, biskupi i księża pozyskali obcy sobie charakter urzędników, a dla państwa otwarła się szeroka droga do mieszania się w wewnętrzny zarząd duchowny. Oprócz pensyi nie dał Napoleon prawie nic, nałożył na kościół najtwardsze warunki, a główny ciężar utrzymania tegoż zwalił na gminy i prywatną ofiarność. W podobnyż sposób poradził sobie z zakładami dobroczynnemi i z organizacyą szkolnictwa.

Kapitał, który rewolucya z krzywdą ubóstwa, dziatwy i pobożnych przywłaszczyła i zmarnotrawiła, kapitał olbrzymi, bo wynoszący 5 miliardów i dający 270 milionów dochodów, wykwitował 17 milionami rocznéj renty. Brakowi lwiéj części środków zaradził, uciekając się do bezpłatnych usług zakonów, do ofiarności miejscowéj lub społecznéj, albo do opodatkowania przedsiębiorczości prywatnéj na rzecz instytucyi rządowych. Natomiast użycie tak zgromadzonych środków, plan działania i wyłączne niém kierownictwo pozostawiał tylko samemu sobie. Niemniéj przeto dopiéro pod jego rządem odetchnęła Francya swobodnie. Z jakiegobądź źródła spływały na nią dobrodziejstwa cywilizacyi, ona to jedno czuła, że znowu z nich korzysta.

Zadowolenie Francyi było tém żywsze, że bystry lekarz dopomagając jéj do pozbycia się świeżych cierpień, nie zapomniał o usunięciu ciężkich i zastarzałych chorób. Z pomiędzy tych ostatnich najgłówniejszą była krzycząca niesprawiedliwość, z jaką społeczeństwo normowało dotąd prawa i obowiązki swych członków. Zasadzie: „im kto ma więcéj przywilejów, tém mniéj ciężarów publicznych ponosić powinien — i odwrotnie“, hołdowała stale monarchia, hołdowała téż i rewolucya, zastępując oligarchią szlachty, przez oligarchią motłochu. Wolny od pęt tradycyi, „*homo novus*“ przy rozkładzie ciężarów publicznych powodował się tylko sprawiedliwością i słusznością, bo mu to nakazywał własny jego, t. j. państwowy interes. Teoryą rewolucyjną, że każdy grosz, bez względu w czyich jest rękach, jednakowo opodatkowany być powinien, z czczego słowa w czyn zamienił, jednocześnie atoli pomyślał o koniecznéj uldze dla klas najuboższych, które od podatku od nieruchomości zupełnie, a od podatku od ruchomości w części oswobodził. Skarb wszelako nic na tém nie stracił, ponieważ darowany niby centym wpływał doń w postaci podatków pośrednich. Te ostatnie, zohydzone powszechnie przed 1789 r., uczynił Napoleon popularniejszemi od innych, gdyż nie zmuszał nikogo kupować obciążonego nimi towaru, dbał, żeby ten towar z ich powodu nie stał się zbyt drogim, t. j. dla ogółu niedostępnym, a nadto ukrył misternie chciwą dłoń skarbu za plecami kupca. Niemałą téż jego zasługą było znakomite uproszczenie i udoskonalenie machiny poborczéj. Wspaniałym rezultatem wszystkich tych reform, była nowoczesna skarbowość w jéj głównych zarysach. Rewolucya brała bogatym całe ich mienie i żyła bez dochodów, z grabieży kapitałów i z długów, których nie miała czém zapłacić. Francya Napoleońska nie obrzyna mieszków poddanym i długów nie zaciąga. Żeby wycisnąć z nędzarzy i biédaków 475 milionów, obejść się nie mogła monarchia bez armii 270,000 poborców i t. p., bez przymusu, szykan, rewizyi domowych, niezliczonych ceł,

myt i rogatek. Za konsulatu i późniéj przez ręce 5,000 urzędników, których najdrobiazgowsza kontrola na dzielnych i uczciwych wykierowała ludzi, dostaje się do kas państwa bez uciemiężenia ludności 750 — 800 mil. A pomimo zdwojenia dochodów państwa dobrobyt powszechny wzrasta, bo nikt od ciężaru uwolnionym, ani obarczonym nad siły nie jest, bo właściwy lud płaci tylko czwartą część tego, co płacił w 1789 r., a resztę płacą bogaci. A następstwem większego dobrobytu jest nietylko nowy wzrost dochodów skarbowych, ale i regularny ich dopływ, przez co państwo odzyskuje zatraconą dwukrotném bankructwem swobodę ruchów i akcyi na zewnątrz. Rozwinięcie téj akcyi po nad wszelką miarę zaszkodziło wprawdzie praktycznemu zastosowaniu ulg, które Napoleon, poskramiając egoizm rozsądkiem, w najcięższym z podatków „podatku krwi“ porobił, z tém wszystkiém zmodyfikowana przezeń konskrypcya, owo zło konieczne, nie potrzebowała zmian gruntownych, żeby po jego upadku stać się złém względnie znośném [1].

Zaprowadzając lub utrzymując równość przed poborcą i kulą, nie mógł się cofnąć Napoleon przed jéj koniecznéin dopełnieniem, t. j. przed zagładą wszelkich prerogatyw i przywilejów. Monarchia czuła się wobec nich bezsilną, tak dobrze obustronnemi umowami, mocą których piastowała swą władzę, były one obwarowane. Obalone w teoryi przez rewolucyą, zmartwychwstały natychmiast w jakobińskiéj praktyce. Ich uporczywa żywotność nie potrafiła jednak przyćmić powabów, jakiemi czarowała ogromną większość Francuzów zasada absolutnéj równości, nieodrodna córa ducha i prądów XVIII w., oraz właściwéj sobie celtyckiéj pochopności do bezwzględnego i wszelkim sprawdzianem rzeczywistości gardzącego wyciągania niezliczonych logicznych wniosków i pojęć nad miarę uproszczonych i wyosobnio-

[1] Taine zbyt stanowczo militaryzm potępia, żeby uwydatnić, że konskrypcya, oprócz mnóstwa ujemnych, ma też pewne dodatnie strony, chociażby jako szkoła altruizmu i t. p. Czy zawsze powszechna służba wojskowa w parze iść musi z samowładztwem narodowém, wątpić można. Nam się ona raczéj wydaje bezpośrednim wynikiem równości praw obywatelskich. Fantastyczną jest identyfikacya ogółu obywateli z pojedyńczym obywatelem. Jeśli pierwszy może wyrok śmierci wydać, a drugi wówczas tylko, gdy jest pełnomocnikiem pierwszego, to logicznym może być tylko wniosek, że pierwszy jest samowładnym, a drugi nim nie jest. Cały wywód oparty na porównaniu każdego Francuza do władców europejskich nader jest słaby. Przy zaprowadzeniu konskrypcyi daleko większą chyba rolę odegrał przykład rzplt. starożytnych i wybuch wojny zagranicznéj, aniżeli Rousseau i t. p. Żeby armia, wyłącznie z elementów antyspołecznych złożona, miała być ideałem armii, temu najkategoryczniéj przeczy rok 1789 i t. d.

nych. Ponieważ wszyscy ludzie są ludźmi, *ergo* są jednakowi, *ergo* każdy próg przed każdą nogą jednakowo wysokim być powinien. Jakże oprzéć się takiemu rozumowaniu, na które pisze się ochoczo i poczucie sprawiedliwości i zazdrość i głupia, lecz wszechpotężna próżność? Wiedział Napoleon, jaka namiętność w podwładnym mu narodzie góruje i rychło wszystkich przekonał, że nikogo od żadnego progu nie odpędza i nikogo w tłoczącéj się ciżbie nie wyróżnia. Wszystkie klasy, stany, wyznania i osoby, zarówno ciemiężone i upośledzane przez monarchię, jak i tępione i prześladowane przez rewolucyą, w jednakowe prawa uposażył i jednakową opiekę państwową nad niemi roztoczył. Wszystkie w jednakowéj zawisłości i poddaństwie zrównał, wszystkim w jednakowym stopniu swobodę inicyatywy i możność samodzielnéj i zbiorowéj pracy społecznéj odebrał. Wprawdzie wyższe klasy dotkliwiéj przez to pokrzywdził i gorzéj dla siebie usposobił, ale za to niższe tém łatwiéj pogodziły się z absolutyzmem, który ich zawiści schlebiał. Wszystkim w końcu, byleby odpowiedniemi wykazali się zdolnościami, do wszystkich, jakie tylko państwo dać mogło, zaszczytów, godności i bogactw jednakowy dostęp zapewnił. Wkrótce też na jednakowych posadach wśród jednakowo gorliwych sług nowego pana, można było spotkać wykwintnych potomków najpierwszych we Francyi rodów obok gminnych synów najniższego pospólstwa; splamionych odszczepieństwem biskupów, obok prawowiernych książąt kościoła; ocalałych z jakobińskiéj rzezi żyrondystów obok ich katów; wypróbowanych popleczników królewskości obok 130 królobójców. Tłumny ten orszak ciągnął za sobą w szalonym wyścigu całą rzeszę wszystkich Francuzów i jedno miał tylko hasło w myśli i pamięci: zająć jak najwyższy szczebel w hierarchii państwowéj, po za którą najznakomitszy członek społeczeństwa był tylko marnym atomem.

Jakiż odskok od przedrewolucyjnéj epoki! Niezliczone rodowe, obyczajowe, towarzyskie i pieniężne szranki hamowały wówczas zapędy najbardziéj rozigranéj wyobraźni. Ograniczenie karyery ograniczało ambicyę i umilało życie, oszczędzając mnóstwa wysileń, zawodów i goryczy. Jeśli trafiał się straceniec, który w ramach spokojnego bytowania pomieścić się nie dał, to taki szedł zagranicę, jak u nas na kresy. Zupełny przewrót w stosunkach i wyobrażeniach przyniosła rewolucya z sobą. Z najwyższych i najniższych posad wyrugowała i konsekwentnie wykluczała ludzi najlepiéj wykwalifikowanych, a powołując na opróżnione przez tychże stanowisko niepowołanych, rozpowszechniła wszędzie mniemanie, że w rzeczy saméj niepowołanych nie masz. Jak wicher kłosy zboża chyli, tak huragan ambicyi skłonił

przed sobą wszystkie głowy, nawet takie, które pustym kłosom najbardziéj były podobne. Niespokojne i burzliwe żywioły nie kwapiły się już za morze, odkąd w kraju wszystkie drogi na najwyższe szczyty dla wszystkich otworem stanęły. Łatwo się domyśléć, co z tego wynikło, skoro na domiar złego o uzdatnieniu téj wielości wezwanych wyłącznie wyrokować miało głosowanie powszechne, wylękłych lub obałamuconych wyborców. Im gorszym łotrem lub niedołęgą był kandydat, tém pewniejszym był jego tryumf. Teoretyczny postulat w praktycznném jego zastosowaniu przez rewolucyą zrobił fatalne *fiasco*.

Bonaparte uratował go od pójścia w poniewierkę. Dzierżąc swą władzę z bagnetów i kartaczów łaski, nie bał się ulicy a na poszepty dworackie był głuchy. Niezależny w postanowieniach, przenikliwy w sądzie o ludziach, zachowując zazdrośnie sobie jednemu rozdawnictwo posad i awansów, rządził się w ocenie kandydatów jedynie tylko względem na jakość i ilość pracy, do któréj byli zdolni. Z każdą funkcyą organizacyi państwowéj dokładnie obeznany, wszechspecyalista, zawsze był trafnym w wyborze, bo wiedział, gdzie czego od kogo wymagać trzeba. Wglądając we wszystko, pamiętając o wszystkiém i wszystkich, wszechobecny, czujnością swoją do ciągłéj pobudzał pracy, a sprawiedliwością w rozdzielaniu nagród wyrabiał w podwładnych niezachwianą ufność, że każdy wysiłek policzony i zważony będzie i do zrobienia karyery dopomoże. Sam nieskończenie ambitny, cechującą stulecie i demokracyę żądzę wywyższenia się, wybornie w drugich rozumiał i starannie rozwijał i pielęgnował, ażeby uczyniwszy z niéj główny motor moralny, wyzyskać ją dla własnych celów. Niepodobieństwem zaś było oprzéć się kusicielowi— tyle, tak do zdobycia łatwych i tak olśniewających ponęt przed każdym wzrokiem roztoczył. Z ugruntowaniem wszechwładzy państwowéj i rozszerzeniem granic, oraz sfery wpływów Francyi, miryady miejsc i posad nowych czekały na kandydatów. Szybkość awansu poręczał wojskowym ciągły zgiełk orężny, a cywilnym ogólny brak wykształconych ludzi, których zastęp uszczuplila rewolucya swym proskrypcyjnym i wychowawczym systemem. W końcu szczodrość i świetność nagród w tytułach i oznakach honorowych, w majętnościach i milionowych sumach, wreszcie w królewskich i książęcych koronach, prześcigała najśmielsze marzenia, jakie dotąd w najzapaleńszych wyobraźniach lęgnąć się nawet nie mogły, odtąd zaś w najmniéj bujnych lęgnąć się zaczęły. Wobec tak mistrzowskiego przetworzenia i przyozdobienia areny, nie masz czemu się dziwić, że zapoczątkowany przez rewolucyą wyścig stanowczo zawrócił na tory, ku jakim go powiódł przodujący w nim Bonaparte. Rewolucya wpro-

wadziła do historyi ogromną siłę moralną, każąc ludziom żyć i umierać dla idei i nagradzając ich wewnętrznem zadowoleniem, jakie daje świadomość wyższości moralnéj. Przeświadczony o cudownéj potędze téj siły strzegł się Napoleon ją osłabiać, wolał ją zmateryalizować, żeby módz ją ujarzmić. Kazał ludziom żyć i umierać dla ich osobistéj korzyści lub chwały, a wynagradzał ich poczuciem wyższości hierarchicznéj i zadowoleniem egoistycznéj ambicyi. Trądem własnego egoizmu zaraził całą Francyą. W trop za winą nadbiegła i kara. Gdy się zachwiał, wszystkie troskliwie przezeń wyhodowane egoizmy zwróciły się przeciw niemu i egoista runął.

Tak runęły i wszystkie późniejsze rządy we Francyi.

## V.

I nie w jednéj tylko Francyi, ale wszędzie każdy rząd runąć musi, który jak na kamieniu węgielnym oprzéć zechce państwo na egoizmie obywateli. Dobry prawodawca powinien wprawdzie uwzględniać egoistyczne potrzeby i popędy, ale jeszcze pilniéj ma chronić instynkt społeczny od zaniku, pozostawiając mu szerokie i swobodne pole działania i nie koszlawiąc form i celów, w jakich i dla jakich się przejawia. Każdy tu błąd jest fatalnym błędem. Jeśli państwo, jak za monarchii, lekceważąc instynkt egoistyczny, siłę społeczną przecenia, to przywalona zbyt wielkiemi ciężarami ludność widzi w państwie wroga i nie poczuwa się do żadnych względem niego obowiązków. Jeśli natomiast, jak w nowożytnéj Francyi, rząd całkiem unieruchomia instynkt społeczny, to przymusowa bezczynność staje się rychło dobrowolną, wyradza krytykę, niezadowolenie i cały szereg najzgubniejszych następstw.

Otóż na ożywienie tak dobroczynnego instynktu, jakim jest społeczny, nader skutecznie wpływają normalnie ukształtowane ciała zbiorowe, obejmujące w sobie wszystkich mieszkańców danéj miejscowości, jak np. departament, gmina i t. p. Wiele zależało przeto od tego w jaki sposób Napoleon z niemi się obejdzie. Zanim wszakże zajmiemy się losem, który je spotkał, wypadnie nam pokrótce zdać sprawę, jak się na nie zapatruje nasz autor.

W wymienionych powyżéj ciałach zbiorowych widzi Taine zupełnie odrębne i samoistne organizmy społeczne, które od reszty społeczeństwa wyraźnie są oddzielone ograniczoną liczbą członków t. j. mieszkańców danego okręgu i ściśle ograniczonym zakresem interesów wyłącznie z daną miejscowością związanych, a więc tylko tym wspólnych, którzy ją zamieszkują. Interesy te i potrzeby sprowadza

Taine do najprostszego mianownika i dzieli je na dwie grupy. Do pierwszéj zalicza środki komunikacyjne, do drugiéj zaś środki zapobiegające klęskom elementarnym, które na całą miejscowość rozszerzyć się mogą (powódź, zaraza, i t. p.). Z pierwszych korzystają wszyscy zarówno i wszyscy jednakowe koszta łożyć na nie powinni. Drugie o wiele większe usługi oddają własności, aniżeli osobom, słuszność przeto wymaga, żeby przeważnie z kieszeni bogatszych opłacone były. Zaspokojenie powyższych, czysto lokalnych, najzupełniéj odrębnych interesów, stanowi wyłączny i odrębny cel organizmów lokalno-społecznych. A zatém mają one swoje, sobie tylko właściwe, odrębne granice, zadania, skład, cel i racyą bytu, t. j. istnieją same przez się i dla siebie. Co więcéj, istniéć muszą, niezależnie od woli stowarzyszonych, ponieważ zawsze istnieją wspólne i niezbędne wszystkim stowarzyszonym potrzeby miejscowe. *Ergo*, organizmy te są indywiduami, osobami prawnemi, tak dobrze, jak każda jednostka prywatna i państwo do nich, jak do syndykatów prywatnych o tyle tylko wtrącać się powinno, o ile jest stróżem prawa i bezpieczeństwa publicznego.

Nie umiejąc pójść jedynie właściwą drogą i uszanować granic obustronnéj kompetencyi, władza państwowa wpadała od 1789 r. z jednéj ostateczności w drugą. Zrzekłszy się narazie najwyraźniejszych swych praw i obowiązków na rzecz lokalnych ciał zbiorowych, wywołała najwyuzdańszą anarchią. Przeciwnie odkąd znalazła się w rękach przywłaszczyciela, stała się przywłaścicielką, i zniszczyła bez litości prastare resztki niezależnéj działalności gmin i Stanów Prowincyonalnych. W oczach Napoleona, gmina i t. p. nie była prawną osobą i organizmem do własnego życia uprawnionym, ale prostym terytoryalnym okręgiem bez prawa do samorządu i wyboru swych przedstawicieli. Zaledwie dostał się do steru, wnet mu zaciężyły pajęcze nitki, któremi konstytucya Sieyès'a skrępowała jego prawo do mianowania radców departamentalnych i komunalnych. Już po roku ogłosiła go uchwala senatu jedynym wyborcą w 35,000 komun i zaprowadziła w 1000 gmin pozostałych k o l e g i a w y b o r c z e, które zadawalniająco grały komedyę wyboru naznaczonych z góry reprezentantów. Ograniczając niebawem i tę instytucyę, która chociaż liberalna z pozoru, w rzeczy saméj była niewolniczem narzędziem despotyzmu, uwieńczył Bonaparte swe dzieło i mógł się słusznie odtąd chełpić, że jest jedynym prawdziwym przedstawicielem i pełnomocnikiem narodu tak w państwie, jak w departamencie i gminie.

Przyznać jednak trzeba, że przywłaszczonego prawa nie użył na złe i powoływał takich tylko ludzi, którzy dzięki majątkowi, urodze-

niu lub zasłudze przodujące zajmowali stanowisko, cieszyli się wpływami i szacunkiem powszechnym i wywiązywali się dobrze z włożonych na się obowiązków. Jakoż jeśli niewiele pomogli, bo nie mogli, to przynajmniéj nic nie przeszkodzili panu, który za nich i myślał i rządził, gdy się zabrał do tego, żeby w lokalnych sprawach wytępić nadużycia, oszczędność i rachunkowość zaprowadzić i zadłużone gminy z długów uwolnić. Ilekroć który z radców lub merów odznaczył się gorliwością, nie omijała go takaż sama nagroda o jaką ubiegali się urzędnicy, bo też właściwie każdy z dostojników municypalnych był tylko urzędnikiem, t. j. ślepo posłusznym sługą władzy centralnéj. Pod tym względem nikt nie mógł mieć żadnych złudzeń. Każda z rad zasiadała tylko przez dwa tygodnie w roku, otrzymywała z rąk prefekta gotowy budżet, uchwalała z sankcyą prefekta drobne dodatkowe pozycye i miała wogóle prawo ganić lub chwalić, lecz niczemu przeszkodzić, niczego przeprzéć nie była w stanie. Swobodę inicyatywy, stałe kierownictwo, prawo „*veto*“ i wszelką wykonawczą władzę, wszystko to miał jeden tylko prefekt, bezpośredni przedstawiciel cesarza, o którym przeciętny poddany pomyśléć nie mógł bez dreszczu entuzyazmu i dreszczu przerażenia. Jakże więc mógłby oprzéć się rozkazowi prefekta?

Runęło bóstwo, łączące wszechpotęgę z wszechobecnością i wszechwiedzą, ale prefekt wszechmocnym pozostał. Restauracya nie uroniła nic z rozszerzonéj przez despotę władzy, bo nikt téjże nie uszczupla, kto ją w ręku trzyma. Zresztą nowy system zaspokajał wybornie wszystkie potrzeby miejscowe, działał dokładnie, oszczędnie i skutecznie, a nawet... nawet zadawalniał tych, którzy mieli najlepsze prawo szemrać nań i wyrzekać. Tak było wygodnie miéć wszystko dostarczone bez żadnego wysiłku myśli i woli! Tak było wygodnie zatyć w sobkowstwie! Za zakazem rządzenia na własném podwórku, przyszła obojętność na własne sprawy, bierna apatya, brak zmysłu do pojęcia solidarności interesów, upadek publicznego ducha. Instynkt społeczny skrzepł i obumarł, nie ocknął się departament z letargu, zmartwiała gmina. Dawne ogniska szlachetnéj o dobro publiczne pieczołowitości, zapału i gotowości do ofiar wygasły, a żaden „Fenix nowy“ nie „wstał z popiołów“.

Smutny to był stan rzeczy, ale rewolucyjne zakusy, które po trzydziestoletniéj wszechwładnéj gospodarce państwowéj wzięły się do jego naprawy, potrafiły go jeszcze pogorszyć. Po rewolucyi lipcowéj prawo mianowania radców generalnych i municypalnych przeszło na ograniczoną liczbę mieszkańców danego okręgu, po rewolucyi lutowéj, należy ono do ogółu tychże mieszkańców. Po 1870 r. prawo-

dawca przelał wybór mera na radę municypalną, rozszerzył kompetencyą rady generalnéj i powołał do życia stałą, z łona téjże wyznaczoną komisyą, która ją od kadencyi do kadencyi zastępuje. Pomimo tego bezradna bezsilność instytucyi lokalnych trwa daléj w całéj pełni. Jak bez impulsu z góry na żaden krok zdobyć się nie mogą, tak bez pasków, na których prefekt je wodzi, żadnego kroku postawić nie umieją. Ich skład osobisty, wydany na łaskę lub niełaskę tak ślepego i brutalnego czynnika, jak głosowanie powszechne, zmienił się do niepoznania na gorsze i spowodowałby niepowetowane straty i szkody, gdyby im, w części przynajmniéj, nie zapobiegała dobroczynna — wobecnych warunkach —władza centralna.

Gdzie tkwi przyczyna złego? Taine widzi ją przedewszystkiém w dobrowolnéj lub poniewolnéj „nieobecności“ ludzi bogatych i oświeconych. Mają oni i czas i środki i wykształcenie ogólne, a często i wiedzę fachową po temu, żeby sprawy lokalne właściwym poprowadzić torem, usuwają się jednak od nich dobrowolnie, ponieważ czują się równością praw pokrzywdzeni. Zasada ścisłéj słuszności wymaga, ażeby nietylko ten rządził kto płaci, ale żeby téż rozmiar jego władzy normował się tém, ile płaci. W Anglii, gdzie obywatel należący do klasy najwyżéj opodatkowanéj rozporządza 6 głosami, oraz w Prusach, zasada powyższa jest z dobrym skutkiem zastosowana w reprezentacyach miejscowych. We Francyi natomiast głosy zawsze i wszędzie nie ważą się, ale się tylko liczą, co ze względu na nierówne obarczenie ciężarami publicznemi, krzyczącą jest niesprawiedliwością. Przypomnijmy sobie, że wedle teoryi Taine'a na pewną grupę potrzeb miejscowych (komunikacye i t. p.) obowiązani są wszyscy równe koszta ponosić, gdyż wszyscy zarówno korzystają ze wspólnych nakładów. Otóż instytucye lokalne, pobierając na zaspokojenie tych potrzeb pewne opłaty, obliczają ich wysokość stosownie do wysokości podatku państwowego. Tymczasem państwo nie ściąga żadnego podatku z półtrzecia miliona obywateli, którzy żadnéj własności nie mają, na 8 milionów drobnych właścicieli uwalnia 3 mil. od wszelkich opłat i czyni inne niemniéj znaczne ulgi klasom niezamożnym. Z folg tych lżéj opodatkowani, albo zupełnie od podatku oswobodzeni, korzystają w tymże samym stopniu i przy opłacie kosztów przeznaczonych na zaspokojenie potrzeb miejscowych. Jakoż bogatsi płacą olbrzymie sumy za uboższych, przez co czynią im jałmużnę, do któréj bynajmniéj nie są zobowiązani. Nie może być inaczéj, ponieważ w takim razie ubogi marłby głodem a nawpół ubogi stałby się żebrakiem. Niemniéj przeto przymusowa jałmużna jest wyraźną niesprawiedliwością, którą łatwo usunąć, powiększając prawa bez-

względnie opodatkowanych t. j. bogatych. Takąż samą osobą prawną z charakterem prywatnym, jak departament lub gmina, jest każda współka udziałowa, gdzie ilość głosów zależy od ilości akcyi. Gmina nie chce się dotąd ukształtować jako towarzystwo akcyjne, dlatego też pokrzywdzeni bogatsi jéj mieszkańcy są obecni tylko ciałem, ale nie duchem, nie biorą udziału w naradach, nie mają ochoty do dobrowolnéj pracy w widokach wspólnego dobra i zachowują się biernie w roli widza lub ofiary.

Ale, gdyby nawet niezadowoleni spektatorowie chcieli wyjść z swéj roli, to zastaliby już zajęte te miejsca, które przed 1830 r. zajmowali zawsze, a po 1830 r. po większéj części. Nieufność i zawiść bluz do surdutowców w połączeniu z głosowaniem powszechném wyparły ich prawie zupełnie z wiejskich rad municypalnych. Teraźniejsi członkowie rad wiejskich, równie umysłowo ograniczeni jak i wyborcy, kierowani przez równie jak oni ubogiego duchem mera, nie są nigdy zdolni zrozumiéć wypracowanego dla nich przez prefekturę budżetu i z wyjątkiem spraw osobiście i bezpośrednio ich dotyczących, albo toną w bezczynności, albo najniezdarniéj do rzeczy się biorą. Faktyczny zarząd komun miejskich spoczywa w rękach biurowego szefa w prefekturze, który jak może i umié t. j. mechanicznie, trzymając się ślepo rutyny, załatwia w czambuł wszystkie sprawy komunalne.

Oczywiście poziom umysłowy przedstawicieli komun miejskich o wiele wyższy jest i być musi. Z tém wszystkiém pożytek stąd mały, gdyż zarząd większego miasta tak jest skomplikowany i trudny, że dobrze mu podołać potrafiłby chyba odpowiedzialny, fachowo wykształcony i wyrobiony specyalista, jakim w Prusach zazwyczaj bywa hojnie wynagradzany burmistrz. Interesa, z którémi gdzieindziéj ledwie się uporać jest w stanie człowiek energiczny, światły i najlepszemi ożywiony chęciami, powierza głosowanie powszechne we Francyi ciałom zbiorowym, w których skład wchodzą przeważnie intryganci, demagodzy i politykowcy, ludzie wykolejeni i w obrębie właściwego im zawodu mało użyteczni. Z zarozumiałością jakobińską chcą oni o wszystkiém wyrokować i wszystko rozstrzygać, chociaż najczęściéj całą swą wiedzę czerpią z dzienników i gazet. Samorząd miejscowy, przez takich rządców wykonywany, stałby się wkrótce okropną klęską, gdyby nie czuwał nad nim nader jeszcze potężny przedstawiciel rządu. Prefekt bowiem, pomimo rozlicznych ograniczeń, zawsze jest jeszcze napoleońskim prefektem, zawsze ma mnóstwo posad do rozdania, zawsze może bez pogwalcenia litery prawa tysiączne usługi oddać i tysiącznemi sposobami życie obmierzić, zawsze jeszcze układa budżet, udziela objaśnień i sam jeden uchwały rady

wykonywa. Lekceważyć go nie można, rachować się z nim trzeba. Ale i on z wolą radców, z ich interesami osobistemi i jakobińskiemi roszczeniami na każdym kroku rachować się musi, jest bowiem odpowiedzialny za rezultat wyborów, a każdy radca, może oficyalnemu kandydatowi ująć lub przysporzyć głosów. Obie potęgi są w ciągłym między sobą rozstroju i targu, wzajem ustawiczne ustępstwa robią, a najdotkliwiéj na tém cierpi — dobro publiczne. Prefekt nie może już całkiem niezawiśle administrować departamentem, ale musi na różne poboczne względy i względziki baczną zwracać uwagę i faworyzować jednych kosztem drugich, żeby nie urazić potentatów głosowania powszechnego. Żeby ich dla siebie pozyskać, pozwala narzucać sobie ludzi niezdatnych i wyłącznie stronnictwu zaprzedanych, przez co do biur administracyjnych wkrada się rozprzężenie, nieład i zniechęcenie pominiętych w awansie urzędników. Nie zawsze w końcu może oprzéć się skutecznie marnotrawstwu i rozrzutności demokratycznych mężów zaufania, którzy namiętnie lubią wyświadczać usługi klasom uboższym z kieszeni klas zamożniejszych. Nie dziw przeto, że i długi komun mnożą się w zatrważający sposób i rozchody ich z każdym rokiem rosną. Nie dziw téż, że samorząd lokalny, ten poroniony płód wszechwładzy państwa skojarzonéj dziwacznie z wszechmocą mas ciemnych, stał się „przedsiębiorstwem, które uczestników odstręcza i prostą drogą dąży do bankructwa...“

Wiele w tém wszystkiém prawdy, jest jednak i szczypta paradoksalnéj przesady.

*Adam Kord.*





# ZNACZENIE KĄPIELI LUDOWÉJ.

OCENIONE ZE STANOWISKA

## HYGIENY PUBLICZNÉJ.

Sprawa kąpieli ludowych, czy specyalnie robotniczych, ma swoją historyę, — mówię tu o historyi ostatnich trzech lub czterech lat dziesiątków, uprzedzając obawę, iżbym się mógł kusić o popis erudycyi historycznéj, sięgającéj starego Rzymu i pogrzebanych w popiołach łaźni pompejańskich. Chodzić tak daleko, nie uważam ani za możliwe, ani za potrzebne wogóle przy rozpatrywaniu sprawy kąpieli ludowych, nietylko dlatego że mnie nie stać na studyum archeologiczne, ale i z innego powodu. Zapoznawszy się z niektóremi pracami, dotyczącemi kąpieli i łaźni w świecie starożytnym [1]), o których budowie i urządzeniu z takim słusznym zresztą zachwytem mówią i piszą znawcy architektury i techniki, przychodzi się do przekonania, jakie wyraża Renk [2]), iż nie były to zakłady ludowe w znaczeniu obecném, ale raczéj zakłady sprzyjające zbytkowi i rozkoszom klas uprzywilejowanych. A nie o to nam tu dziś chodzi.

Historya kąpieli ludowych jest w rzeczy saméj krótka, zamyka się ona niemal w granicach drugiéj połowy bieżącego stulecia, przyczém z zadowoleniem pozwolę tu sobie zaznaczyć fakt, któremu za-

---

[1]) Sprawozdanie Robertsona i Meyera w „Deutsche Vierteljahrschrift. f. öff. Gesundheitspflege“, 1879, t. XII. Stübben, „Das Badewesen in alter und neuer Zeit. Centr. f. allg. Gesundh.“, 1883, Hft. 7, 8. Marggraff. „Das Badewesen u. Badetechnik der Vergangenheit“ Vortr. Virch. u. Holtzendorf, Nr. 380.

[2]) Hygiena Pettenhofera i Ziemssena. 1882.

pewne nikt tu nie zaprzeczy, iż najważniejszymi w historyi téj działaczami byli lekarze.

Sprawa kąpieli ludowych jest, jak każda sprawa hygieniczna, sprawą społeczną; otóż nikt z nas nie może i nie powinien przy traktowaniu pewnego pojedyńczego momentu jakiéjbądź sprawy społecznéj, zamykać się w ciasnocie fachowości, być ślepym na doniosłość i znaczenie socyacyalne całości.

Po tém zastrzeżeniu, przystępuję do rzeczy.

Jakie ma znaczenie kąpiel dla naszego ciała? Czy i w jaki sposób przyczynia się do pomyślnego stanu zdrowia?

Stary Ryszkowski [1]), mówiąc „o utrzymaniu w czerstwości ciała naszego i jego przy siłach w późne lat zapędy zachowaniu“, powiada krótko a wyczerpująco, że „ochędostwo miłym... jest przystojności i pomnożenia zdrowia przymiotem“, a „wszystko... co nasze ciało obmierzłém czyni, jego zdrowiu i zmocnieniu szkodzi.“

Tak jest, w sprawie popularyzacyi kąpieli, w sprawie zakładania i upowszechniania kąpieli ludowych w danem społeczeństwie, chodzi o „przystojność“ ludu, o kulturę, o budzenie zmysłu piękna i ładu przynajmniéj tyle, co o pomnożenie zdrowia, w ściśle lekarskiém znaczeniu.

Z tego, co wiemy o fizyologicznéj roli skóry, o jéj doniosłości dla zdrowia wogóle i o znaczeniu zboczeń i zaburzeń w jéj funkcyach, powodowanych nieochędóstwem, nietylko wynika, że stan prawidłowéj powłoki zewnętrznéj warunkowany jest zachowaniem ochędóstwa, że zaniedbanie w téj mierze grozi zawsze mniéj lub więcéj zachwianiem równowagi w mechanizmie regulacyjnym ciepła w ustroju, że zmniejsza przeciwchorobową jego odporność, że wprowadza nieład w czynnościach układu nerwowego i naraża na rozliczne choroby skórne; — ale zarazem okazuje się (a to w sprawie kąpieli ludowych ma pierwszorzędne znaczenie), że szczególniéj dla ustroju człowieka fizycznie pracującego, z uwagi na zmęczenie, na wstrząśnienia nerwowe i na zbrukanie, wynikające z rodzaju zajęcia, zachowanie nieskażonéj czystości powłoki zewnętrznéj jest istotnym warunkiem zdrowia i zabezpieczeniem przeciwko najgroźniejszym chorobom.

Wobec takich danych, zaczerpniętych zarówno z fizyologii, z patologii eksperymentalnéj, jak i z empiryi lekarskiéj, nauka o zachowaniu zdrowia i zdolności do pracy, hygiena, od dawna wyraziła

[1]) Stan człowieka zdrowego naturalny... i t. d. — ojczystym językiem określony. Kraków, 1808.

następujące postulaty: 1) iż każdéj jednostce powinna być zapewniona możność uczynienia zadość wymaganiom zdrowia w zakresie zewnętrznego ochędóstwa, 2) że spełnienie rzeczonego wymagania osiągnąć się daje jedynie za pomocą kąpieli przez rok cały, w równych odstępach czasu używanych, nie rzadziéj jak raz na tydzień, i 3) że zagadnienie to w klimacie naszym rozwiązać się daje jedynie za pomocą kąpieli ciepłych.

Hygiena, biorąc na uwagę z jednéj strony wymagania lekarskie, z drugiéj zaś strony uwzględniając stosunki ekonomiczne i społeczne, usiłuje określić, co i kiedy z pośród jéj postulatów winna spełnić jednostka czy rodzina, a czego spełnić nie jest w stanie i w tym drugim przypadku zastanawia się nad tém, kto mianowicie z największą korzyścią interesów zdrowotnych danéj ludności, dać może i powinien środki spełnienia tych wymagań, które o zachowaniu zdrowia wskazuje.

Otóż, co się tycze kąpieli i to kąpieli tak dla klas całkiem ubogich, jak i średniéj zamożności, uwzględniwszy warunki mieszkaniowe szczególniéj miejskie, o które nam tu obecnie głównie chodzi, nie ma wątpliwości, że jednostki i rodziny do klas tych należące nie posiadają środków materyalnych (pomieszczenia, usługi, pieniędzy), któreby im pozwalały spełnić pomienione wymagania ochędóstwa w zakresie domowym. Nadto — i wzgląd to niemałéj wagi, na który Renk, idąc za głosem lekarzy angielskich i francuskich nacisk kładzie, mieszczenie kąpieli w domach prywatnych, odbywanie jéj w jakiéjbądź formie w lokalach prywatnych, jest stanowczo sprzeczne z wymaganiami hygieny budowlanéj i mieszkańcowéj. Tak więc zarówno wzgląd ekonomiczno-społeczny, jak i wzgląd publiczno-hygieniczny, przemawiają za tém, aby środki spełnienia z łatwością owych wymagań ochędóstwa, co się tycze kąpieli, były owym klasom ludności, szczególniéj w miastach, zapewnione, dane.

Kogóż obowiązek ten według zdrowych pojęć hygieny i ekonomii ciążyć powinien.

Może tu być brana pod uwagę gmina, czy władza państwowa, daléj zwierzchności instytutowe, t. j. zarządy takich zakładów, jak koszary, więzienia, szkoły, potém pracodawcy, t. j. właściciele zakładów przemysłowych, nakoniec stowarzyszenia złożone z ludzi dobréj woli, nie szukających w urządzeniu kąpieli osobistego zysku, stowarzyszenia zapewniające wszystkim kąpiel za opłatą bardzo tanią, a jednak wystarczającą do opędzenia kosztów utrzymania zakładu i jego administracyi, i dającą dochód, który pozwala na dalsze zakładanie coraz to nowych podobnychże urządzeń.

Niewątpliwie każdy z wymienionych tu czynników życia społecznego, w pewnéj mierze z całą słusznością do działania w sprawie kąpieli ludowych jest obowiązany.

1. Państwo, gmina, tak drogą prawodawczą, jak i zarządzeń administracyjnych, ofiar finansowych, ułatwień i t. d., winny, jak w wielu sprawach, tak i tu, poczuwać się do obowiązku zaspakajania potrzeb, których jednostka w granicach swych środków zaspokoić nie może. Specyalnie w sprawie kąpieli ludowych, na różnéj drodze w różnych krajach państwo i gmina interweniowały i interweniować obecnie usiłują, przyznać jednak trzeba, że z energią nieodpowiednio słabą ze względu na zdrowotny i cywilizacyjny interes ludu.

Najdaléj w téj mierze zaszły usiłowania państwowe w Anglii, gdzie już w r. 1846 i 1847 uchwaloną została ustawa (*Bath and Washhaoses Act*), przyznająca gminom prawo urządzania z funduszów gminnych kąpieli ludowych, a zobowiązująca zarząd danéj gminy do zakładania i prowadzenia takowych, o ile z żądaniem odpowiedniém wystąpi 10 obywateli miejscowych, podatki opłacających. Jest to więc przepis dozwalający tylko, ale bynajmniéj nie zmuszający, a przeto niezaspakajający potrzeby ogółu ludności. Jednakże w niektórych większych gminach miejskich, szczególniéj znaczną ludność fabryczną posiadających, prawo to przyniosło znakomite rezultaty. Tak dla przykładu wymienię tu Birmingham, gdzie do r. 1883 istniały już 4 zakłady publiczne gminne, z których ostatni w r. 1883 założono kosztem 30,000 f. szt. Opłata za kąpiel wynosi tu 3 do 6 pensów (10—20 k.), a dla dzieci do szkół uczęszczających tylko ½ pensa (prawie 2 kop.). W Sheffieldzie w r. 1884 były dwa zakłady kąpielowe gminne, z tych ostatni założony kosztem 16,000 funtów; — w mieście tém z zakładów rzeczonych korzystało w ciągu roku 113,942 osoby. Liczne inne przykłady pomijam.

We Francyi usiłowania państwowe już od r. 1851 skierowały się ku rozpowszechnieniu kąpieli w całym kraju. Wtedy to z funduszów państwowych przeznaczono 600,000 franków tytułem zapomogi dla gmin, któreby zechciały urządzać tego rodzaju zakłady. Jednocześnie od 4-ch dziesiątków lat bardzo wiele robiono we Francyi dla upowszechnienia kąpieli w koszarach, i jak zobaczymy, dzisiejsza przewodnia idea w sprawie kąpieli ludowych natryskowych, wzięła początek w usiłowaniach lekarzy wojskowych francuskich.

W Niemczech państwo dotychczas zrobiło bardzo mało. Spotykamy się jedynie w ostatnich czasach z zachętami i pochwałami usiłowań prywatnych, pochodzącemi od ministra Gosslera, co do kąpieli szkolnych. Tenże minister określił osobném rozporządzeniem termina

obowiązkowych kąpieli w alumnatach przy zakładach szkolnych. Natomiast niektóre większe i mniejsze gminy miejskie, z własnéj inicyatywy i bez pomocy skarbu państwa, rozwinęły dość znaczną energię w sprawie uprzystępnienia kąpieli ludowych tak rzecznych, jak i ciepłych natryskowych. Dla przykładu nadmienię, że Berlin ma 5 miejskich kąpieli rzecznych, w których w r. 1882 r. kąpało się bezpłatnie 165,242 mężczyzn i 71,436 kobiét, a za opłatą 5 fenigów 137,823 męż. i 71,331 kob. W ostatnich kilku latach mnóstwo zarządów miejskich zaprowadza z funduszów gminnych kąpiele ludowe natryskowe, o czém najwymowniéj świadczy doskonała mowa Lassara p. t.: *Die Culturaufgabe der Volksbäder*, wypowiedziana w Kolonii w roku 1888-ym na dorocznym zjeździe lekarzy i przyrodników. W Austryi spotykamy się jedynie z odosobnionemi usiłowaniami pojedyńczych gmin, a szczególniéj Wiednia, którego doskonały, gustowny zakład kąpieli natryskowych opisuje Lassar w pomienionéj mowie. Tak samo stoi sprawa w Szwajcaryi. Tu np. miejscowa władza w Bazylei przyjęła projekt kąpieli publicznych i przeznaczyła na ich budowę 140,000 fr.

Powyższe fakta świadczą, bądź co bądź, że państwo i gmina w krajach cywilizowanych, poczuwają się do wyżéj uwydatnionego obowiązku, że jednak nigdzie niemal w prawdziwie poważny sposób obowiązku tego nie spełniają, naturalnie, dla braku środków, na których zawsze zbywa dzisiejszym kasom państwowym, ile razy chodzi o zachowanie zdrowia i życia, nie zaś o przygotowywanie materyałów zabójczych.

2. Co się tyczé zwierzchności instytutowych, to już wspominałem wyżéj o zarządach szkolnych niemieckich (opis Merkela o kąpielach szkolnych w Getyndze — na zjeździe we Wrocławiu 1886 roku; opis Eisele o kąpielach szkolnych w Karlsruhe — *Zts. f. Schulgesundheitspflege*, 1889). Szczegółów, dotyczących kąpieli zakładanych i prowadzonych przez zarządy koszar, więzień, przytułków noclegowych i t. p. w rozmaitych krajach, nie chcę tu gromadzić, chociaż one właśnie stanowią bardzo ważny materyał przy obmyślaniu kąpieli publicznych tanich, dla ogółu pracującéj ludności przeznaczonych. Zwracam więc tylko uwagę na wiadomości, jakie w téj mierze podaje Vallin (1879), Tollet (1877, *La réforme du casernement — les bains-douches*), Roth (1879, „Opis koszar w Dreznie“) i t. d.

3. Pracodawcy, właściciele większych fabryk także czynnie zaczynają występować w sprawie kąpieli ludowych, szczególniéj od czasu, kiedy weszły w użycie kąpiele natryskowe ciepłe. Jeden z licznych przykładów kąpieli takich, przeznaczonych dla pra-

cowników danéj fabryki, przytacza Lassar (fabryka braci Heyl w Charlottenburgu) i podaje rysunki i szczegóły urządzenia téj skromnéj kąpieli, ze wszechmiar na uwagę naszą zasługujące. Tu również należy opisany przez Lassara zakład w Magdeburgu.

4. Nakoniec przychodzą stowarzyszenia obywatelskie. Wiadomości dość licznych i pewnych co do działalności takich stowarzyszeń i wyników finansowych ich przedsiębiorstwa, nieobliczonego na zysk osobisty, nie posiadamy. Ale dane, jakie przytacza Lassar o tego rodzaju usiłowaniach obywatelskich we Frankfurcie nad Menem i w Berlinie, ze wszechmiar zasługują na uwagę i są tak zachęcające, iż każdy zgodzić się musi z dr. Lassarem, który w tych współdzielczych przedsiębiorstwach obywatelskich widzi czynnik, mogący jedynie doprowadzić do spełnienia wyrażonego przezeń wymagania: „*jedem Deutschen wöchentlich ein Bad*“, a które nam na teraz wypada skromniejszém wyrazić hasłem: „chcemy, by każdy warszawiak miał zapewnioną tanią kąpiel raz na tydzień.“

Zobaczmy teraz, na jakich zasadach oparto pod względem finansowym i gospodarczym, instytucyą kąpieli ludowych w pomienionych dwóch miastach.

Otóż w Berlinie dawniéj już utworzyło się było stowarzyszenie kąpieli ludowych (*Verein für Volksbäder*), którego honorowym przewodnikiem jest książę na Raciborzu, a rzeczywistym kierownikiem p. Jerzy v. Bunsen. Pierwotne grono założycieli tego stowarzyszenia potrafiło skupić znaczną liczbę uczestników wśród inteligencyi miejskiéj, a szczególniéj wśród lekarzy. Położyło ono sobie dwa zadania: 1) usiłuje własnemi środkami urządzać tanie, ale z dochodu utrzymujące się kąpiele ludowe; 2) propaguje myśl jak najszerszego rozpowszechnienia kąpieli i jednania jak najliczniejszych zwolenników dla swego programatu. W skrajnéj wschodniéj dzielnicy miejskiéj na *Höchstenstrasse* już w 1874 r. stowarzyszenie to urządziło mały zakład kąpielowy, w którym dawane były kąpiele wannowe wraz z mydłem po cenie 25 fenigów (około 10 kop.). Dzięki staraniom d-ra Kalischera, jako zastępcy prezesa, zdołano tak gospodarować, że koszta utrzymania zakładu pokrywano dochodem. Skromna ta próba zachęciła do dalszych na téjże drodze usiłowań. Pomyślne wyniki doświadczeń, robionych od 1883 r. z ciepłemi kąpielami natryskowemi, skłoniły stowarzyszonych do zaprowadzenia téj formy kąpieli w pierwotnym zakładzie. W pomoc co do planów i dozoru nad robotami, przyszli tu technicy zarządu municypalnego. Znaleźli się bezinteresowni ofiarodawcy, którzy złożyli przeszło 100,000 marek funduszu gwarancyjnego. Tymczasem postanowiono urządzić od razu dwa większe zakłady,

przeznaczone na kąpiele ciepłe natryskowe. Miasto ofiarowało place bezpłatnie, pod warunkiem estetyczności budowy. Stowarzyszenie się ściśléj skonsolidowało i wtedy kasa municypalna udzieliła mu sposobem pożyczki 108,000 marek. Cała prasa wystąpiła z głosem zachęty dla sympatycznego przedsięwzięcia. Oba zakłady zaczęły być czynnemi w początku r. 1887 — i w tymże roku w ciągu 6-ciu miesięcy wydano w nich 103,010 kąpieli, co dało 28,500 marek wpływu. Możność utrzymania się tanich kąpieli ludowych z własnego dochodu została stwierdzona.

Jeden z zakładów leży na *Oranienburger Vorstadt*, w pobliżu licznych fabryk i dzielnic robotniczych północnéj części miasta; drugi w miejscowości zwanéj „*Alt u. Neu-Köln*“, wśród plantacyi noszących nazwę „*alter Logengarten*“, dotyka dzielnicy zamieszkałéj przez dawno osiadłą ludność. W obu zakładach wydawane są tak kąpiele wannowe, jak i ciepłe natryskowe; odsetka frekwencyi tych ostatnich, w początku istnienia zakładów wynosiła prawie 30%. Cena kąpieli wannowych I-éj klasy wynosi 50 f. (około 20 kop.), II-éj klasy 25 f. (około 10 kop.). Cena kąpieli natryskowych I-éj klasy wynosi 25 f. (około 10 kop.), a w II-éj klasie i bezwzględnie dla kobiét 10 fenigów (4 kop.).

Powracając jeszcze do warunków układu stowarzyszenia z zarządem miasta, zaznaczyć należy, że koszt każdego zakładu wynosił 108,000 marek (razem 216,000 marek), że kapitału zakładowego zatém w połowie dostarczyło miasto, a w połowie stowarzyszenie. Z dochodu *brutto* bierze kasa miejska 5% od udzielonego przez się kapitału i tyleż idzie na dobro towarzystwa. Po potrąceniu owych 5%, pozostająca nadwyżka wpływa do kasy miasta, gdzie się gromadzi jako przyszły kapitał zakładowy na nowe tegoż rodzaju urządzenia. Miasto ma prawo wpływać na taryfę opłaty i nominacyę urzędników nadzorczych; zastrzega sobie prawo skupu; w razie niedotrzymania warunków układu, ma prawo żądać zerwania takowego w zupełności.

W szczegóły budowy rzeczonych zakładów i wewnętrznego ich urządzenia nie wchodzę.

Kąpiele ludowe ciepłe natryskowe, założone we Frankfurcie nad Menem w r. 1888 kosztem 20,000 marek, zawdzięczają swój początek również obywatelskiéj inicyatywie i uczynności władzy municypalnéj. Na Merianplatz kosztem bankiera Teodora Sterna wzniesiony został na gruncie, przez miasto na ten cel oddanym, zakład kąpielowy, który po ukończeniu budowy i urządzeniu wewnętrznem ostatecznie darowany został miastu i jest przez zarząd miejski administrowany. Tu są

wyłącznie kąpiele ciepłe natryskowe; cena (łącznie z ręcznikiem i mydłem) wynosi 10 f. (2½ kop.), przez pierwsze 8 miesięcy (250 dni) korzystało z kąpieli tych przeszło 20 tysięcy osób (około 100-tu dziennie).

Zdaje mi się, że jeżeli u nas coś się zrobić da w téj sprawie, to tylko właśnie na drodze ofiarności i współdzielczéj pracy poważnych obywateli. Wyniki frankfurckie i berlińskie niezawodnie są zachęcające. Naturalnie, forma owéj ofiarności i owych usiłowań bardzo różną być może i u nas stanowczo odmienną być musi.

Dla zaokrąglenia jedynie, muszę tu rzucić jeszcze pytanie, czy interes publiczny co do kąpieli ludowych tak pod względem sanitarnym, jak i ekonomicznym, zaspokojony być może drogą prywatnego przedsiębiorstwa handlowego, na zysk obliczonego? Skłonny jestem do dania przeczącéj w téj mierze odpowiedzi, szczególniéj co się tyczy zakładania nowych zakładów kąpielowych w celach spekulacyjnych. Sądzę jednak, że w zakładach prywatnych już istniejących, częściowe lub zupełne zreformowanie systemu, a mianowicie zastąpienie wanien ciepłemi natryskami, nie narażając przedsiębiorców na straty, mogłoby przy słuszném zniżeniu ceny, uprzystępnić korzystanie z kąpieli w szerszych, niż dotąd, sferach niezamożnéj ludności miejskiéj.

Zastanowiwszy się już nad tém, *kto* według wymagań hygieny i ekonomii winienby i może z korzyścią dla sprawy początkować w urządzeniu kąpieli ludowych, przystępuję do pytania, *jaką* być winna kąpiel ludowa tania, by odpowiadała wszystkim wyżéj uwydatnionym wymaganiom zdrowotnym i gospodarczym?

Na pytanie to, w rozmaitych czasach rozmaicie odpowiadano, a odpowiadano, jak się zdaje, przez długie lata mylnie, co się téż przyczyniło do opóźnionego rozpowszechnienia kąpieli, nawet w społeczeństwach tak zamiłowanych w schludności, jak np. niemieckie lub holenderskie. Zasługę pomyślnego pod każdym względem rozwiązania obchodzącéj nas tu kwestyi przyznać trzeba dr. Lassarowi, który wziął się do rzeczy z zapałem i rozwagą. W r. 1885 rozesłał po całych Niemczech (do 1,030 lekarzy powiatowych) kwestyonaryusze, dotyczące urządzeń kąpielowych w miastach różnéj ludności, oraz opłaty za kąpiel pobieranéj. Odpowiedzi na rozesłane pytania dostarczyły mu danych, odnoszących się do 31 milionów ludności. Okazało się, że *na 30,000* ludności przypada 1 zakład kąpielowy. Lassar oblicza, że jeżeli zażąda się z góry jednéj ciepłéj kąpieli tygodniowo dla jednostki, to przy wzorowo prowadzonych zakładach, potrzeba, aby *na 1,000* ludności przypadał średnio *jeden* taki zakład kąpielowy.

Dlaczego więcéj zakładów kąpielowych nie ma, chociaż są to przecie zakłady dla spekulacyi utrzymywane? Powodem jest cena kąpieli, wynosząca średnio ½ marki za kąpiel, a cena ta niższą być nie może w zakładach, opartych na spekulacyi i w zakładach dostarczających niemal wyłącznie kąpieli wannowych i basenowych.

Ponieważ tak z przyczyn czysto finansowych, jak i technicznych, kąpiele wannowe nie mogą być w cenie zniżone, zatém w interesie zaspokojenia powszechnéj potrzeby kąpieli tanich, jak słusznie mówi Lassar, wypada zmienić samą formę kąpieli. W téj mierze, mając tylko na uwadze koszt wody do kąpieli potrzebnéj i biorąc w obliczeniu swém dla przykładu cenę wody we Wrocławiu, wynoszocą 15 fenigów za (1,000 l.) 1 metr kubiczny, Lassar daléj tak oblicza: Na jedną kąpiel ciepłą natryskową wystarcza już 10 litrów wody, zatém za 15 fenigów korzysta z kąpieli 100 osób; na jedną kąpiel wannową potrzeba 200 litrów wody, czyli że za też same 15 fenigów kąpie się tylko 5 osób. W okręgu, mającym ludności 30,000, koszt wody do kąpieli natryskowych, używanych raz na tydzień przez każdego mieszkańca, wyniósłby według powyższych norm 2,340 marek, a przy użyciu kąpieli wannowych 46,800 marek, co dla całych Niemiec obliczone, w razie upowszechnienia kąpieli natryskowych, daje oszczędności 66 milionów marek rocznie na saméj wodzie.

Otóż wzgląd ceny ze wszechmiar jest tu rozstrzygający: pozwala bowiem utrzymać się zakładom przy bardzo niskiéj, dla robotnika dostępnéj opłacie. A więc, kąpiel ludowa w znaczeniu, jakie dziś téj nazwie dajemy, przedewszystkiém ze względów finansowych, musi być koniecznie kąpielą ciepłą natryskową.

Uwydatnienie tego punktu gospodarskiego, żywa i skuteczna obrona i propaganda ciepłych kąpieli natryskowych jest zasługą d-ra Lassara, który zresztą i zbudowaniem typowéj takiéj kąpieli, na wystawie hygienicznéj w Berlinie w r. 1883, postawił pierwszy kwestyą na realnym gruncie.

Ale pomysł nie jest jego własnością. W téj mierze, jak już powiedziałem wyżéj, pierwszeństwo należy się lekarzom i hygienistom francuskim, popartym przez ministeryum wojny we Francyi (Vallin, 1879), a potém takimże lekarzom niemieckim. Wreszcie przed Lassarem już w r. 1882 Renk, w swéj doskonałéj pracy o publicznych zakładach kąpielowych, uwydatnił stanowisko hygieny w téj sprawie, mówiąc, że zadanie medycyny publicznéj polega na upowszechnieniu kąpieli choćby w skromnéj, niewykwintnéj formie, nie zaś w zbytkownéj udoskonaleniu urządzeń kąpielowych i że najsposobniejszą do

upowszechnienia wśród warstw niezamożnych jest właśnie kąpiel ciepła natryskowa.

Zastanowiwszy się bliżéj nad właściwościami kąpieli ciepłéj natryskowéj i rozważywszy dane o niéj, zebrane w koszarach francuskich, oraz różnych miastach niemieckich, nietrudno nam przyjdzie przyznać bezwględną wyższość hygieniczną kąpieli ciepłych natryskowych nad wszystkiemi innemi formami kąpieli ciepłych parowych, wannowych, basenowych i t. p. Korzyści kąpieli ciepłych natryskowych polegają przedewszystkiém na zetknięciu ciała wciąż z wodą czystą. Kąpiel wannowa brudnego robotnika jest wprost wstrętna. Kąpiel z mydłem we wspólnym basenie nie lepsza. Daléj, kąpiel natryskowa pomyślnie orzeźwiająco, a nigdy rozpieszczająco nie działa, szczególniéj jeżeli po strumieniu ciepłéj wody następuje strumień zimny — zawsze deszczowy. Zaznaczyć téż wypada niebezpieczeństwo zarażenia chorobowego, zmniejszone do *minimum*. Dodać jeszcze trzeba, że kąpiel natryskowa mało wymaga czasu, obchodzi się bez obsługi i pozwala na to, by w danéj celi prędko jedna po drugiéj osoba się kąpała. Niebezpieczeństwo zaziębienia jest tu także o wiele mniejsze, niż przy kąpieli wannowéj.

Od lat 10-ciu we wszystkich niemal krajach świata cywilizowanego wzięto się energicznie do upowszechnienia ciepłych natrysków które uznano powszechnie za najodpowiedniejszą formę kąpieli ludowych. Zanim to jednak nastąpiło, zastanawiano się wielokrotnie i rozprawiano szeroko o tém, która z będących w użyciu form kąpielowych najodpowiedniejszą jest jako forma kąpieli ludowéj. A więc wanny, baseny ogólne czy wreszcie łaźnie parowe.

U nas mówiono o tém także niejednokrotnie, przesądzając najczęściéj na cierpliwym papiérze kwestyą na korzyść łaźni, bez jakiegobądź praktycznego rezultatu. Przypomnę tu w téj mierze, bezowocny konkurs „Gazety Świątecznéj“ i świéżo ogłoszony w „Zdrowiu“ (Nr. 44, r. 1890), interesujący, ale nieprzekonywający jak dla mnie artykuł szanownego kolegi mego, d-ra Tchórznickiego ze Sterdyni.

Co się tyczy kąpieli wannowych, to nietrudno wykazać, że jeżeli są odpowiednio urządzone, czysto i hygienicznie utrzymane, wtedy muszą być drogie i już z tego powodu dla ludu miejskiego, czy wiejskiego nieodpowiednie. Nadto dla jednostek, które jedynie w stanie skrajnego zbrukania z kąpieli korzystają, dla ludzi biédnych i ciężko pracujących, kąpiel wannowa jest wprost niehygieniczną, równa się bowiem długiemu nurzaniu się we własnym brudzie.

Przez lat kilka entuzyazmowano się ku ogólnym basenom, zimą ogrzéwanym. Są to jednak urządzenia niesłychanie kosztowne i nawet w razie zapewnionego częstego opróżniania doszczętnego i ciągłego utrzymania prądu, bynajmniéj nie są zachęcające, z powodu mydlin i brudu wciąż na powierzchni wody płynących z jednego do drugiego końca basenu. Próbką basenowéj kąpieli, jako kąpieli ludowéj, próbką iście odstraszającą, są żydowskie mykwy rytualne. Po zanurzeniu się w takim basenie, zachodzi rzeczywiście potrzeba opłókania się strumieniem wody czystéj, i o ile mi mówiono, dla pogodzenia wymagań rytualnych z wymaganiami hygieny, istotnie w mykwach obok basenu zaprowadzane być mają natryski ciepłe spłókujące.

Najsporniejszą jest kwestya łaźni parowéj, tak zwanéj bani, jako formy odpowiedniéj dla kąpieli ludowych. Dlaczego w żadnym kraju środkowéj i zachodniéj Europy, ani téż w ucywilizowanych krajach Ameryki, łaźnia parowa się nie upowszechniła, dlaczego mimo łatwości urządzenia i utrzymania, i stąd wynikającéj taniości nie została nigdzie dotąd przyjęta, jako forma kąpieli ludowéj? Czy nad tém pytaniem zastanawiali się ci, którzy i teraz jeszcze łaźnię nam, jako najodpowiedniejszą w tym celu zalecają? Wątpię.

Jakże brzmi odpowiedź na powyższe pytanie? Odpowiedzi, jeżeli się nie mylę, jest kilka. Łaźnia parowa w swéj zwykłéj, istotnie bardzo prostéj i taniéj postaci, nie stała się dotąd i nie stanie się niezawodnie nigdy formą powszechnie używanéj kąpieli ludowéj ani w Niemczech, ani we Francyi, Anglii, ani w Ameryce, ani zapewne u nas, ponieważ nie godzi się z wymaganiami decencyi publicznéj, rozmaicie w rozmaitych społeczeństwach pojmowanéj, ponieważ dla kobiét z tegoż powodu jest niemal niemożliwą do użycia, ponieważ dla dzieci, dla osób wrażliwszych jest nieznośną, ponieważ dla jednostek wątlejszéj budowy ciała, a także dla indywiduów pełnokrwistych, dla osób mających chorobę serca, rozedmę płuc, dla osób wiekowych i t. d. najniezawodniéj jest wprost niebezpieczną. Co do tego ostatniego, to nie mówię tu bynajmniéj o jednostkach wprost i widocznie chorych, ale o takich, których stan nieprawidłowy w zwykłych warunkach, ani subiektywnie, ani obiektywnie, niczém się nie zdradza i które bezkarnie wszelką inną formę ciepłéj kąpieli znoszą.

Dr. Józef Nowak w swym *Lehrbuch der Hygiene* powiada (str. 277), że właśnie chorzy tego rodzaju nagle umiérali lub doznawali

wielkiego pogorszenia [1]). Podobneż zdanie wypowiadają i inni hygieniści i lekarze. Nie spotkałem się nigdy z tak tragicznemi skutkami łaźni parowéj, ale teoretycznie uznaję takowe, jako ze wszechmiar możliwe i dlatego dziwię się tym, którzy dla ogółu ludu, a więc tak dla mężczyzn dorosłych, jak i dla kobiét wszelkiego wieku i dla dzieci łaźnię parową do powszechnego użycia zalecają u nas, na wsi czy w mieście.

Powiadam, że wprost zgubne skutki łaźni parowéj dla bardzo wielu kategoryi jednostek uważam za niezawodnie możliwe, a to dlatego, że kąpiel w łaźni polega na otoczeniu całego ciała atmosferą wysoce nieprawidłowéj temperatury i absolutnie antyfizyologicznego składu, wskutek czego musi następować zwichnięcie równowagi w mechanizmie regulacyi temperatury ciała i musi się odbywać nieprawidłowa czynność narządu oddechowego. W łaźni z całą powłoką zewnętrzną ciała i z całą powierzchnią respiracyjną dróg oddechowych, styka się powietrze ogrzane na 50° C. i wyżéj, przesycone parą wodną. Jakież stąd skutki? Oto: 1) utrata ciepła z ustroju na obu drogach, któremi się fizyologicznie odbywa na drodze przewodnictwa i na drodze parowania, zostaje całkowicie zahamowana, a 2) wymiana gazów w płucach odbywa się w sposób bliżéj nieznany, ale nic wspólnego nie mający z warunkami prawidłowéj wymiany.

Ustrój nasz tedy w łaźni parowéj znajduje się postawionym w warunkach krańcowo nieprawidłowych, co się tyczy dwóch najważniejszych jego czynności: oddychania i regulacyi temperatury i nic dziwnego, że walkę z tak doniosłemi szkodliwościami zwycięsko staczać może tylko organizm, nieskazitelnie sprawny i oporny. Ale takim nie jest ustrój większości i dlatego równie, jak i z pobudek przystojności publicznéj, oświadczam się stanowczo przeciwko łaźni parowéj, jako formie powszechnych kąpieli ludowych.

I tak, z obu powyższych względów uważam ciepłą kąpiel natryskową, jaką najlepszą formę kąpieli ludowéj.

Zastosowanie ciepłych natrysków w szkole, mianowicie w szkole ludowéj jest, o ile mi wiadomo, nowém. Dano mu początek w szkole ludowéj w Getyndze. Zasługa inicyatywy w téj mierze należy do Merkela (nadburmistrza), który téż po raz pierwszy opisał tamtejsze urządzenie na zjeździe hygienistów niemieckich we Wrocławiu w roku

---

[1]) „Es ist wiederholt vorgekommen dass Herzleidende, Emphysematiker und Personen, mit apoplektischen Habitus im Dampfbade plötzlichen Todes starben, oder eine Verschlimmerung ihres Leidens davon trugen."

1886-ym. W Niemczech, gdzie w ostatnich kilku lat dziesiątkach tak dużo nowych, wzorowych co do budowy i wewnętrznego urządzenia szkół ludowych powstało, rażącém istotnie jest tolerowanie brudnych i cuchnących z nieochędóstwa uczniów w doskonale schludném pomieszczeniu szkolném. Zresztą wiadomo, że kilku brudnych uczniów zanieczyszcza powietrze w całéj izbie szkolnéj, a zanieczyszczeniu powietrza z nieochędóstwa ciała pochodzącemu, nie daje się zaradzić nawet przez dobrą wentylacyę, jak to już zauważył dawniéj Carpenter, który, badając powietrze w izbach szkolnych, przekonał się, że bywa w nich wstrętny zaduch, mimo że o dobrém funkcyonowaniu wentylacyi świadczy prawidłowa odsetka kwasu węglowego.

Na zaduch ten najlepszym środkiem zaradczym jest kąpiel uczniów.

Względy lekarskie, pedagogiczne i ekonomiczne przemawiają za tém, by kąpiel odbywała się w zakładzie szkolnym w godzinach lekcyi. Dzieci w takim razie wprost z kąpieli, nie wychodząc z pod dachu, wracają do ogrzanéj izby klasowéj. Niknie więc obawa zaziębienia. Kąpiel odbywa się bez wybryków niebezpiecznych, pod okiem szkolnego nadzorcy.

Zobaczmy dla przykładu, jak się ta czynność odbywa w Getyngeńskiéj szkole. Na początku lekcyi nauczyciel zapytuje dzieci w danéj klasie, które z nich chcą się kąpać (zezwolenie rodziców uprzednio jest otrzymane); kąpią się tylko dzieci wyżéj lat 10. W jednéj klasie zgłasza się około 50. Wychodzą z klasy po 9 do nadzorcy szkoły, oczekującego na nich w lokalu kąpielowym, gdzie są urządzone trzy natryski, pod każdym płytkie miskowate zagłębienie; po 3 dzieci wchodzi na raz pod natrysk. W miarę ukończonego natrysku, umycia się i ubrania wracają po 4 na raz do klasy, a inni w téjże liczbie do kąpieli idą. W ciągu 50 minut kąpie się 51 chłopców starszych, — z młodszych zaś i z dziewcząt kąpie się 36 na godzinę. Godzina lekcyi nie ginie,—na raz w klasie brakuje tylko 10 uczniów. W ten sposób raz na tydzień w każdéj klasie spożytkowana zostaje jedna godzina, — przymusu zupełnie nie ma.

Brak miejsca nie pozwala mi przytoczyć tu wiadomości, dotyczących kąpieli w ludowych szkołach we Frankfurcie, Weimarze, Gera, Karlsruhe i innych miastach niemieckich. Nadmieniam tylko, że pod względem budowlanym i technicznym w ogólności, na cel rzeczony używane bywają korzystnie, np. sutereny i t. p. pomieszczenia. U nas o ile mi wiadomo, tylko niektóre zakłady szkolne połączone z internatami, posiadają własne kąpiele, wyłącznie wannowe, z których korzystają jedynie pensyonarze. Z warszawskich zakładów prywatnych,

kąpiele takie posiada tylko internat w szkole Górskiego. W zakładzie tym wanny umieszczone są w suterenie.

Upowszechnienie kąpieli szkolnych dla przychodnich napotka u nas z rozmaitych powodów niezmierne trudności. Zanim one będą zwalczone, należy oczywiście, idąc za wzorem zakładów angielskich, przy organizacyi kąpieli ludowych publicznych, dla ogółu ludności przeznaczonych, obmyślić sposób zapewnienia dzieciom do szkół, szczególniéj do szkół niższych, uczęszczającym w pewne dni i o pewnéj porze bezpiecznéj ciepłéj kąpieli z mydłem i ręcznikiem po cenie wyjątkowéj, np. 1 do 2 kopiejek.

Aby jednak kąpiel natryskowa ciepła czyniła zadość wymaganiom hygieny, trzeba aby była odpowiednio urządzona. W czasie odbytéj w r. 1889 w Berlinie wystawy urządzeń ratunkowych i zdrowie klasy robotniczéj zabezpieczających, był wyznaczony konkurs na kąpiel ludową, a oceniająca okazy komisya rzeczoznawców opracowała rodzaj regulaminu, określającego normy urządzenia tego rodzaju kąpieli.

W szczegóły techniczne tych określeń nie moją jest rzeczą wchodzić, chociaż związane są one ściśle z wymaganiami hygienicznemi. Pozwolę sobie tylko zaznaczyć, że normy techniczne i hygieniczne w téj mierze bynajmniéj nie po raz pierwszy zostały określone i że już w r. 1883-im określenia bardzo szczegółowe w tym przedmiocie objęte zostały w rozporządzeniu niemieckiego ministra wojny, a w roku 1886 w rozporządzeniu prefekta departamentu Sekwany.

Po têm wszystkiém, co wyżéj powiedziałem, należałoby przejść na grunt praktycznych zastosowań miejscowych, należałoby powiedzieć słów kilka o naszych obecnych kąpielach publicznych, o ich przydatności, jako kąpieli ludowych i o usiłowaniach upowszechnienia kąpieli ludowéj w myśl programatu Lassara, a więc według modły ciepłéj kąpieli natryskowéj.

Co się tyczy tych usiłowań, to pomijając dość liczne głosy techników i lekarzy w pismach specyalnych i niespecyalnych zamieszczane, pomijając również z konieczności platoniczne tylko rozprawy w tym przedmiocie, w roku zeszłym toczone w komitecie hygieny publicznéj warszawskiego Towarzystwa lekarskiego, na głośne podniesienie zasługuje fakt obywatelskiéj inicyatywy p. Blocha, wyrażającego zamiar urządzenia lassarowskiego zakładu kąpieli ludowych, jako instytucyi dobra publicznego, któréjby nadano tytuł instytucyi imienia Chałubińskiego i któraby istotnie uświęcała godnie w naszém mieście pamięć lekarza, obywatela, przyjaciela ludu.

Zacne początkowanie p. Blocha, jego ofiara 10,000 rubli na

cel rzeczony, niezawodnie znajdzie naśladowców, tak że przynajmniéj finansowa podstawa upragnionéj przez nas instytucyi, jak sądzę, jest absolutnie zapewniona. Urzeczywistnienie myśli szlachetnego inicyatora jest z pewnością bliskiém.

Co się tyczy stanu kąpieli publicznych w Warszawie w chwili obecnéj, to wiadomości o nich znajdujemy w świéżo ogłoszoném sprawozdaniu p. inspektora urzędu lekarskiego, dotyczącém stanu sanitarnego Warszawy w r. 1889-ym. Wiadomości te są wprawdzie zbyt lakoniczne, by z nich o stopniu pożyteczności publicznéj dziś istniejących zakładów powziąć było można jakieś wyobrażenie, równie jak o tém, czy i o ile zakłady te pod względem swego urządzenia i konserwacyi odpowiadają słusznym wymaganiom nowoczesnéj hygieny i techniki kąpielowéj. Sprawozdawca słusznie twierdzi, że kąpieli ludowych w ścisłém znaczeniu tego wyrazu w Warszawie nie ma wcale, gdyż liczba istniejących zakładów jest bardzo mała, a przytém cena średnia za kąpiel w nich wynosi od 20 do 40 kopiejek. Mowa tu jest zapewne o kąpielach wannowych. Cena łaźni parowych, jak mi wiadomo, jest o wiele przystępniejsza. Sprawozdawca wymienia 21 zakładów kąpielowych, z których jedne posiadają wyłącznie wanny, a inne wanny i łaźnie.

Już wyżéj wyraziłem mniemanie, które tu na zakończenie powtórzyć sobie pozwalam, że wprowadzenie w istniejących dziś zakładach urządzenia tanich natrysków ciepłych, właścicieli tych zakładów nie naraziłoby na straty, a sprawie publicznego ochędóstwa korzyśćby przynieść mogło.

Zważywszy względy tak społeczne, jak i techniczne, musimy uznać, iż najłatwiejszym u nas dziś jest do uskutecznienia program kąpieli tak zwanych fabrycznych, to jest staraniem i kosztem pracodawcy, czy téż jakiéjś instytucyi przemysłowéj, drogi żelaznéj i t. p. urządzonych i prowadzonych, z którychby bezpłatnie lub za nizką opłatą korzystać mogli wszyscy pracownicy danego zakładu przemysłowego. Zacne w téj mierze usiłowania i początki od dawna tu i owdzie w naszych fabrykach, szczególniéj na prowincyi spotykamy. Skala jednak tych usiłowań i urządzenie wewnętrzne dotychczasowych naszych kąpieli fabrycznych bezwzględnie nie odpowiadają wymaganiom hygieny.

Uprzedzając opinię, z którą się niejednokrotnie spotykałem, jakoby u nas kąpiele tylko fabryczne i to bezpłatne pożądanemi były, pozwalam sobie zaznaczyć, że ta kategorya zakładów kąpielowych, że tak powiem, pół publicznych w żadnym razie potrzeby ogólnéj całkowicie zaspokoić nie może. Z kąpieli fabrycznych w zwykłém znaczeniu

tėj nazwy, korzystają jedynie pracownicy męzcy danego zakładu; gdzie obie płcie pracują, musiałyby być urządzane osobne dwa zakłady, lub przeznaczone pewne dni dla mężczyzn i kobiėt. W każdym razie, żony czy mężowie pracujących, ich rodziny i domownicy z kąpieli tych nie korzystają. Dalėj, cała ludność rzemieślnicza i wyrobnicza do kąpieli fabrycznych przystępu nie ma. Dla uczniów i uczennic szkół, mianowicie szkół ludowych również z nich korzystać nie można. Tak więc, nawet w razie, gdyby nasi panowie pracodawcy, nasze drogi żelazne, jak tego spodziéwać się należy, pomyślały wkrótce o urządzeniu kąpieli dla swych pracowników, to niemniėj, zdaniem mojém, pożądaném by było urządzenie szczególniėj w Warszawie, w odpowiednio wybranych dzielnicach kilku kąpieli ludowych według typu Lassara. Decentralizacyą w tėj mierze uważam za najpożądańszą, kąpiel o 10, a najwyżėj 15 kabinach natryskowych za najwłaściwszą.

*St. Markiewicz.*





# Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

## III.

(*Argent.* ostatnia powieść Emila Zoli. *Un raté* powieść Gyp'a).

Najkapryśniejszy z poetów, Karol Beaudelaire, zapytany co jest talent, odpowiedział ku niemałemu zadziwieniu pytającego, że talent jest to regularna, kilkogodzinna, codzienna praca. Cokolwiek logika mogłaby powiedzićć przeciwko tego rodzaju definicyi, trzeba przyznać, że leżące na jéj dnie spostrzeżenie jest wysoce prawdziwe. Pracą, regularną, metodyczną pracą, zdobywa sobie i przyswaja piszący cały ten zasób właściwości i przymiotów, których zespolenie pozwala zaliczyć go do rzędu utalentowanych. Jeżeli nie wielu daną jest twórcza skra geniuszu, to pracą można sobie przynajmniéj zdobyć światełko co go zastępuje, a za pociechę służyć może przeświadczenie, że jedno nie wyklucza drugiego. Przypomnieliśmy sobie aforyzm Beaudelaire'a, otwierając nowy tom wydany przez Emila Zolę. Jest to już ośmnasty z rzędu tom „Rougon-Macquartów", historyi naturalnéj i społecznéj jednéj rodziny za drugiego cesarstwa. Pozostają mu już dwa ostatnie tomy do napisania, jeden poświęcony wojnie, a ostatni wiedzy, a cały ów cykl, taki, jaki sobie autor ambitnie zakreślił przed dwudziestu laty, stanie przed czytającym światem. Dowiadujemy się, że powieść następna „Wojna", jest już na warsztacie i że za kilka miesięcy wykończy ją autor. Nie ma powodu o tém wątpić, a przeszłość poręcza tutaj za przyszłość. Bez wciągania w rachunek wszystkich innych zalet jego dzieła, trzeba przyznać, że wymagało do swego urzeczywistnienia potężnego wysiłku pracy. Nawet nieprzyjaciele szkoły, albo raczéj metody, któréj Zola jest przedstawicielem, powoli, z biegiem lat, wobec wykończającego się gmachu, byli zmuszeni przyznać, że jest tu siła z którą ra-

chować się wypada. Nie myślimy twierdzić, ażeby zwyciężył całkowicie swych przeciwników, ale nie da się zaprzeczyć, że przez sam ogrom swego dzieła i konsekwentne, aż do drobiazgowéj pedanteryi posunięte wykończenie takowego, uznany został za hegemona. *Chi dura, vince*, powiadają Włosi, a on wytrwał! Dopiéro przed kilku miesiącami pozwolił się wybrać na członka Towarzystwa literackiego francuskiego. Jednogłośnie, bez żadnéj opozycyi został niedawno wybrany na jego prezesa. Wolał odroczyć swe ambicye aż do chwili, gdy dojrzeje dlań laurowy wieniec. Przypuszczać można, że nawet akademia francuska otworzy mu swe podwoje. Gdy w roku zeszłym postawił swą kandydaturę, uważaną była powszechnie jako ekscentryczny wybryk zuchwalca. Stopniowo oswojono się już jednak z tą myślą, a gdy się dowiedziano, że właśnie ów Oktawiusz Feuillet, o którego akademicką spuściznę chodzi obecnie, uważał go za swego domniemanego następcę i słuszność takiego wyboru uznawał, nie będzie dziwić nikogo, gdy zasiądzie pod kopułą pałacu mazaryńskiego.

Nie będą zapewne oczekiwać od nas czytelnicy z okazyi obecnéj powieści *Argent* ogólnéj charakterystyki Zoli. Nietylko, że zadanie to dokonane już zostało nieskończoną ilość razy i że niepodobna już nic nowego powiedziéć pod tym względem, ale piszący przed kilku miesiącami [1]), gdy się pojawiła powieść *Bête humaine*, miał już sposobność zapatrywania swoje wypowiedziéć i nigdy maksyma: *non bis in idem* nie była właściwszą jak obecnie. Ograniczyć się nam wystarcza do charakterystyki obecnéj po prostu dla tego, że w obrazie beletrystyki współczesnéj, utworów Zoli pominąć nie ma się prawa. Ogniwa jego powieściowego łańcucha roszczą pretensye do takiéj fizyologicznéj i psychicznéj spójni, że autor odmawia możności oceniania dalszych swych utworów tym, którzy nie obeznani są z dawniejszymi.

„Pieniądz“ jest ogniwem, zaczepiającém się o jedną z pierwszych powieści, a nieraz uznawaną przez krytykę za najlepszą: *la Curée.* Jedna i ta sama osobistość jest bohaterem obudwóch, bankier Saccard, brat ministra cesarskiego, Eugeniusza Rougon, uosabiającego, jak wiadomo, p. Rouher. Ci z czytelników, którzy znają *Curée*, przypominają sobie dosadne malowidło finansowego świata i moralnéj gangreny, którą w sobie mieścił. Autor pokazał nam w p. Saccard, spekulującego na grunta paryskie przedsiębiorcę, a brak skrupułów, cyniczne wyzucie się z elementarnych zasad moralności, namiętna żądza używania materyalnego, tarzanie się w rynsztoku, stanowiło jego ramy. Wzrost i upadek tych skandalicznych fortun, które się

---

[1]) Ateneum, zeszyt lipcowy 1890.

wówczas przesuwały jak widmo w latarni czarnoksięskiéj, łączyły się z rozprzężeniem obyczajów i zniweczeniem życia rodzinnego. Zola, który się nigdy najjaskrawszych barw nie uląkł, przedstawił nam w owéj powieści młodego syna Saccarda, uwodzącego swą macochę, i ojca tolerującego ten związek kazirodczy. Tragiczny koniec owéj powieści, który porównywano do katastrofy miast biblijnych Sodomy i Gomorhy, piętnował całą epokę drugiego cesarstwa sromem i ohydą.

Obraz był wyrazisty, silny i nie zdawało się, aby było potrzeba raz jeszcze stawiać go na sztalugi. Artysta był jednak widocznie innego zdania, przesiębiorąc waryant obecny. A natura tego waryantu na tém polega, że zepsucie obyczajów, rozkład społeczny postawione są na drugim planie, tylko jako dopełniające rysy a za to pieniądz, operacye finansowe, moloch giełdowy, wszystkie intrygi, podstępy, oszustwa, podłości, które stanowią jego orszak a zarazem nieodzowne czynniki składowe, ześrodkowują na sobie całe światło obrazu. Autor nie oszczędził nam żadnego szczegółu technicznego i swoim zwyczajem dał monografię przedmiotu, która lubo jest tylko podrzędnym przyrostem, w oczach jego ma widocznie znaczenie ogromne i przez nią ma zamiar dać to tło rzeczywistości, prawdy, natury, które dla swoich utworów windykuje. Nawet ci, co o świecie giełdowym, jego mechanizmie i technice nie mieli wyobrażenia, muszą zrozumieć, że jest w tém studyum wiele obiektywnéj prawdy. A jeżeli byli jeszcze naiwni, co sądzili, że uczciwość, bezinteresowność, dobra wiara wchodzą jako twórcze czynniki do tego pandemonium, to bezwątpienia wyleczą się ze swych złudzeń po przykładach, jakie tutaj Zola przytoczył: cała osnowa jego powieści polega na wykazaniu rozmaitych fortelów i podstępów, jakich używa świat finansowy, ażeby wyzyskać prostaczków i ostrzydz wełnę z niewinnych baranków. Nie ma ani jednego uczciwego, prawego człowieka wśród całéj zgrai ryczącéj na giełdzie i dobijającéj się o pieniądz, a pomiędzy ofiarami ich jest jedynie różnica co do stopnia głupoty i rozmiarów zaślepienia. Wyradza to bez zaprzeczenia nużącą jednostajność, ale metoda pisarska Zoli nie stara się bynajmniéj o jéj zamaskowanie. Przeciwnie, powraca on ciągle raz po raz, i prawie w tych samych słowach, do danéj sytuacyi i chce przez powtarzanie głównych rysów wpoić je w umysł czytelników, wbić je jak młotem. Zasób idei, które posiada, nie jest wielki, jak powiedziano trafnie, ale wynagradza ich szczupłość przez siłę nacisku, jaki na nie kładzie.

Saccard, którego zostawiliśmy w dawniejszéj powieści, jako rozbitego i upadłego spekulanta, staje się w obecnéj potęgą finansową.

Stwarza on wielką instytucyę bankową, *la Banque Universelle*, która nieśmiało z początku, a potém coraz jawniéj staje się bankiem katolickim, walczącym z żywiołem żydowskim, monopolizującym faktycznie operacye handlu pieniężnego. Zbytecznémby było dodawać, że ani Saccard, ani banda jego wspólników nie posiada żadnéj religijnéj wiary i że kwestye wyznaniowe jako takie, są dla nich całkiem obojętne. Jeżeli sztandar ten wznieśli, to dlatego, że im łatwiéj pod jego zwojami znaleść kapitały. Wyzyskując spadkową niechęć do żydów i osłaniając swe oszustwa płaszczem wierności dla stolicy apostolskiéj, pokazali się głębokimi znawcami natury ludzkiéj. Spekulacya i fantastyczne zyski wydawały się uczciwemi pod taką poważną etykietą! Kopalnie srebra w górze Karmelu, odbudowanie tronu papieskiego w owéj Palestynie, która była widownią legendy chrześciańskiéj, oto lep, na który szły muchy. Są rysy komiczne w tym obrazie, a tém większy jest ich interes, że odtwarzają sceny rzeczywiste. Zola obrał sobie przedsięwzięcie p. Bontoux i jego osławioną *Union générale* jako typ. Autor przeniósł ten epizod zaszły za rzeczypospolitéj obecnéj, do ostatnich lat drugiego cesarstwa i spotkaliśmy się z różnemi zarzutami czynionemi mu z tego powodu. Przyznajemy, że ich nie dzielimy. Data i szczegóły rozmaite są wymysłem, ale prawdą jest, że finansista zdatny, przedsiębiorczy, pozbawiony skrupułów był w stanie, przedstawiając się jako przeciwnik żydów i jako filar katolicyzmu, zagarnąć setki milionów, wywołać nadzwyczajne przesilenie finansowe i przez swe bankructwo zrujnować tysiące rodzin i jednostek. Katastrofa ta z natury swéj nadawała się lepiéj od wielu innych do niéj zbliżonych, jako tło do obrazu dla pisarza, który podoba sobie w jaskrawych barwach i melodramatycznych efektach.

Wysnuł też zeń Zola wszystko do czego tylko był zdolny. Wielkiéj oryginalności nie można spostrzedz w pośród figur, które autor, zwyczajem swoim natłoczył. Znajdujemy tu inżyniera Hamelin, człowieka uczciwego i istotnego twórcę wielu interesów poważnych, który z całą dobrą wiarą rzuca się w te przedsięwzięcia i pada jako ich niewinna ofiara; znajdujemy bankiera Gundermana, alias Rotszylda, posiadacza miliardów, uosobiającego bank żydowski i żyjącego, po stłumieniu wszystkich innych namiętności i instynktów, jedynie ideą owładnięcia światem przez swoje bogactwa; znajdujemy dziennikarza, Jantrou, wyzyskującego publicystykę dla swych indywidualnych, ohydnych celów; znajdujemy spekulantów giełdowych, grających na zwyżkę i na zniżkę, i pojawiających się zawsze jednocześnie, jak maryonetki za pociągnięciem sznureczka, a wśród publiczności kilkuna-

stu *gogo*, dudków, którzy się dają rujnować i wieść jak baranki na stos ofiarny. Nie posiada także oryginalności istotnéj baronowa Sandorff zapalona graczka na giełdzie, a płacąca przegrane swą osobą i stająca się w ciągu powieści z kolei kochanką prawie wszystkich działających w niéj mężczyzn: równie cynicznych postaci już sam Zola narysował nam wiele. Więcéj ma jéj może pani Karolina, siostra Hamelina, która oddawszy się wypadkiem Saccardowi, godzi w swém sumieniu ten niemoralny związek z wysoką uczciwością, szlachetnymi popędami i orzeźwiającym, ciepłym optymizmem. Natura to więcéj skomplikowana psychicznie, aniżeli się to spotykać zazwyczaj zdarza u Zoli, którego działacze posiadają zwykle jedną przemagającą do tego stopnia stronę charakteru, że wszystkie inne schodzą wobec niéj do maluczkich rozmiarów. Pomiędzy figurami na drugim planie, pięknie się rysuje postać pani de Beauvilliers, zubożałéj przedstawicielki wielkiego rodu i fortuny, która dla podniesienia ich prowadzi życie pełne ofiar i abnegacyi. Resztki jéj majątku pochwycone są także w szpony Saccarda, a idea zbogacenia się jednocześnie z niesieniem pomocy ojcu świętemu, była dla téj gołębiéj istoty rodzajem snu różanego. Gdy ze szczytu wygórowanych nadziei matka z córką spadają w otchłań nędzy, giną w niéj bez krzyków złowieszczych, z pokorą i z pogardą męczenników.

Wierny swéj metodzie, Zola dochodzi w opisach operacyi giełdowych i potęgi pieniądza do nadania im ogromnych, kolosalnych, potwornych jakichś rozmiarów. Chce uczynić wrażenie kuźni Wulkana, gdzie pracują Tytany. Jego bohater, Saccard, pod wpływem wizyi, jaką mu sprawiają te miliony, które gromadzi i któremi rozporządza, rozpływa się w długich tyradach pełnych patosu. Nie brakuje im nieraz krasomówstwa; ale gdy się chce wycisnąć z nich jądro, to się znajduje jedynie oklepane, zdawkowe opinie, a żadnego jasnego pojęcia ekonomicznego o roli, jaką kapitał i jego dotykalna forma — pieniądz—odgrywa w organizmie społecznym. Nie ma ani jednéj postaci w téj sążnistéj powieści, gdzie ich jest mnóstwo i gdzie o niczém innêm, jak o pieniądzu nie ma mowy, nie ma ani jednéj, któraby zdrowo, jasno, rozumnie na tę kwestyę się zapatrywała. Szkoda!

Znajdujemy za to, z tą symetryą, którą Zola jako nie świadomy sam siebie klasyk, uważać musi jako nieodzowny warunek piękna, dwie postaci, które uosobiają walkę z pieniędzem i które czują doń niechęć, wstręt, wzgardę: jedna pod wpływem miłosierdzia chrześciańskiego, druga pod wpływem syntezy socyalistycznéj. Księżna d'Orviedo nienawidzi i brzydzi się milionami, zostawionemi jéj przez męża, speku-

lanta bez czci i wiary, i stawia sobie za cel życia rozdać je, rozsypać wśród społeczeństwa z fantastyczną szczodrobliwością. Spłaciwszy dług ten, wyzuwszy się z wszystkiego i otarłszy tyle łez, ile się to jéj uczynić udało, idzie zamknąć się na resztę żywota w celi klasztornéj. Protestacya przeciwko potędze pieniądza niedostateczna i autor pokazuje, jak nawet w tych instytucyach filantropijnych, ufundowanych w imię miłosierdzia ewangelicznego, dzieją się potworne zbrodnie, tryumf natury bydlęcéj nad duchową.

Przedstawicielem teoryi socyalistycznych, zmierzających do radykalnego zniweczenia pieniądza, do usunięcia go raz na zawsze ze stosunków społecznych, autor zrobił młodego suchotnika, Zygmunta Busch'a. Marzyciel ten, pełen szlachetnych iluzyi, jest właśnie bratem nikczemnego lichwiarza i pod tym samym dachem, gdzie się rozpina sieć pajęcza najohydniejszych oszustw, snuje się równocześnie inna, utkana ze snów humanitarnych. Z tego przeciwieństwa charakterów i teoryi, rodzą się sytuacye dramatyczne i jeżeli brakuje im wszelkiego prawdopodobieństwa, jak np. w scenie śmierci młodego socyalisty, powierzającego wszystkie swe prace i rękopisy o organizacyi kolektywnéj społeczeństwa pani Karolinie, to nie można zaprzeczyć, iż nie brakuje im fantazyi poetycznéj.

Jako dokument człowieczy, powieść obecna Zoli zadowolnić potrafi i najwybredniejszych. Autor wystudyował mnóstwo szczegółowych, monograficznych stron świata giełdowego i dał całą menażeryę zwierząt ludzkich. Jako teza filozoficzna, nie da zapewne zaspakajającéj odpowiedzi tym, którzy jej oczekiwali, i raz jeszcze autor pokazał się wiernym doktrynom, które chociaż nie są ściśle panteistyczne, to się wszelako obracają w téj sferze. Spokojna wiara w niezwalczoną energię sił przyrodzonych ożywia go zawsze. Jako dzieło sztuki, powieść ta wiele zostawia do życzenia. Męczy i odurza czytelnika natłokiem i nadmiarem opisów, wyszczególnień katalogowych, powtórzeń, jest jednostajną i nie ma w niéj ani jednego promienia czystych uczuć, żadnéj oazy, gdzieby kwiat miłości mógł się rozwinąć. Ale jest niezaprzeczona potęga, siła, jest logika w układzie i każdy bezstronny czytelnik musi przyznać, że pisarz, co pracę taką podjął i tak się z niéj wywiązał, jest także energicznym talentem. Nie potrzebujemy prawdopodobnie ostrzegać delikatnych czytelniczek przed tym nowym utworem Zoli: pozostał on takim samym cynicznym malarzem scen erotycznych. Jest ich kilka, które wyrównywają jeżeli nie przewyższają tych, które zyskały skandaliczną popularność „Nanie“ i „*Pot-bouille*“. Byłoby zbyteczne oburzać się i protestować. Autor

idzie po wytkniętéj sobie drodze bez najmniejszego uwzględnienia, nie powiemy już obyczajności ale prostéj przyzwoitości. Trzeba to przypomnieć czytelnikom, ale widocznie nie odstrasza ich to bynajmniéj, skoro w ciągu niecałych dwóch miesięcy już 67 tysiąc egzemplarzy rozkupiony został.

Nie myśli już nikt zaprzeczyć, że osobistość piśmiennicza Emila Zoli wyrobiła sobie stanowisko niezmienne we francuskiéj i w europejskiéj literaturze Jako przedstawiciel najwybitniejszy naturalizmu, należy on już do historyi rozwoju umysłowego naszych czasów. Kto mówi: „historya“, mówi: przeszłość. Zola należy téż już do przeszłości. Jest symptomatów mnóstwo, pokazujących, że ewolucya, na któréj czele stał, już kresu swego dobiega. Choćby nie dwa już tylko utwory, ale dwadzieścia miał obejmować jego cykl powieściowy, nie byłby on w stanie rozciekawić tych, co się starają zbadać ducha chwili bieżącéj. Z góry wiedzieć można nietylko co powie, ale jak powie. Nie ma nagany ani wyrzutu w tém wykazaniu niemożliwości jego odrodzenia. Osobistość jego była w zbyt wybitne i dosadne ujęta kształty, ażeby mogła, raz skrystalizowawszy się taka, jaka jest od ćwierci wieku, przeistoczyć się i nową dźwięczyć nutą. Coraz bardziéj zajmować będzie stanowisko antenata. W ruchliwéj, w pełnéj życia i twórczości beletrystyce francuskiéj powstało obok niego i powstaje z dniem każdym wiele talentów nowych. Nie wiadomo, czy uda się im wycisnąć piętno nie zatarte na literaturze i co o nich przyszłe powiedzą pokolenia, ale w chwili dzisiejszéj mają przynajmniéj znaczenie echa dźwięczącego teraźniejszością i w ich powieściach i nowelach będzie łatwo czerpać informacye o atmosferze etycznéj, w jakiéj się znajdowała Francya u schyłku XIX-go stulecia. O niektórych z tych powieściopisarzy, posiadających ucho i fawor czytającego świata mieliśmy już sposobność tu mówić. Dzisiaj chcielibyśmy zejść o jeden stopień niżéj w skali twórczości i przedstawić czytelnikom autora, a raczéj autorkę, któréj brakuje wielu warunków poważniejszych, którą traktowano z razu jako amatorkę, piszącą od niechcenia, dla własnéj rozrywki, kroniki wielkoświatowego życia, a która po kilku latach wydając jedne po drugich owe szkice i obyczajowe studya, stała się popularną osobistością pisarską o fizyognomii wydatnéj i nie bez oryginalności.

Mówimy tu o autorce, piszącéj pod pseudonymem Gyp. Jest nią pani de Martel, z domu hr. Mirabeau, siostrzenica owego p. de Bacourt, któremu Taylerand pozostawił swe pamiętniki, ostatnią pośmiertną swą mistyfikacyą. Przez urodzenie, wychowanie, stosunki,

Gyp należy do tak zwanego wyższego świata, do śmietanki towarzyskiéj. Młoda jeszcze, prowadząca życie ruchliwe w rozmaitych sferach paryskich, bocząca się na rzeczypospolitą jako demokratyczną i nie dość dystyngowaną i przez niechęć do niéj uwikłana niedawno w kompromitujące umizgi do bulanżyzmu, nie może pani de Martel uchodzić za uczonego pedanta na *us*. Zaczęła przed kilku laty pisywać obrazki towarzyskie w dyalogowéj formie do „*Vie Parisienne*“, tego tygodnika wielkoświatowego życia, z którego jego założyciel, p. Marcelin (Planat) zrobił był istotnie monitora wykwintnych kół towarzyskich. Ich dowcip, werwa, świeżość, nastrój satyryczny bez żółci, ale nie bez siły, ich bystrość spostrzegawcza i krytyka kryjąca swe żądło pod kwiatami, zwróciły natychmiast uwagę. Chciano przeniknąć i odgadnąć osobistość kobiecą, co się kryła pod tym pseudonymem, bo że była kobiétą, nikt wątpić nie mógł od pierwszéj chwili. Była w niéj lekkość i błyskotliwość, téj płci zmonopolizowana właściwość. Strzały jéj nie zabijały, ale drażniły tych, ku którym były skierowane. Świat elegancki, który był wyłącznym przedmiotem jéj obrazków, czuł, że autorka była składową jego częścią i że chociaż go opisuje w sposób satyryczny, nie zaprzecza mu jego odrębności, jego wyższości. Ten hołd wystarczał już sam w sobie do zjednania autorce sympatyi. Ogół był mile łechtany malowidłem, któremu wtajemniczeni nie odmawiali podobieństwa z oryginałem. Z pod pióra płodnéj autorki sypały się bez najmniejszéj przerwy jedne szkice po drugich a wydawane pod zbiorowemi, często komicznemi tytułami w oddzielnych tomach, znajdowały zawsze szerokie koło czytelników. Jeden z tomików Gyp'a nazywa się „*Dans l'train!* Wyrażenie to w paryskiem *argot* znaczy, że się jest w pełnym prądzie idei, zwyczajów, mód chwili obecnéj, że się rozumié jéj dążenia i choć się ich nie przecenia, choć ich nicość rozumié, dobrowolnie w wir ich się rzuca. Otóż Gyp jest także *Dans l'train*, mylimy się, gdyż od czasu jak tego wyrażenia użyła, zrodziło się inne, tego samego znaczenia, ale nowsze i już dlatego ogólnie używane: *le dernier bateau!* Jest się albo nie jest na tym ostatnim statku, który wszystkie inne uważa za przestarzałe, zacofane, nie rozumiejące „stanu duszy“ współczesnéj. Ponieważ Gyp jest zawsze na „ostatnim statku“, zatém nie przestaje interesować téj publiczności, która sama dla siebie jest zawsze najciekawszém widowiskiem.

Będąc malarzem wiernym i dokładnym śmieszności i usterek chwili obecnéj, Gyp nigdy nie wpada w karykaturę, nie kładzie zbyt silnego nacisku na podnoszone przez się rysy towarzyskie i indywidualne. Ślizgać się zdaje po powierzchni tylko a mimo tego drapie

jéj różowy pazurek. W miarę jak jéj talent pisarski się ustala, wzrasta jéj satyryczny nastrój. Powtarza się z nią ten sam moralny fenomen co z Thackerayem — *si parva licet componere magnis*. Usposobiony nader sympatycznie dla klas wyższych towarzystwa, nieśmiertelny autor „*Vanity fair*“ postawił je, jak nikt inny, pod pręgierzem i rozebrał ich do naga. Gyp stworzyła już cały szereg postaci, które dodatniemi nie są, a które nie mogą wyprzéć się swéj solidarności ze światem, do którego należą.

Opisując zawsze jedne i te same koła, Gyp uważała za właściwe, dla uniknięcia powtarzań, stawiać przed czytelnikami zawsze jedne i te same osoby działające. Powstał w ten sposób szereg typów, które używają już prawdziwéj popularności i nazwiskiem ich bywają chrzczone indywidualności rzeczywiste, zbliżone do owych literackich postaci. Nie można oddać pisarzowi większéj pochwały, gdyż jest to dowodem, jak dalece udało mu się pochwycać życie na uczynku. Nie podobna wymienić nazwiska téj autorki, aby natychmiast nie stanęły w myśli przynajmniéj trzy postaci, która szkicowała *con amore* z tylu rozmaitych punktów, że eteryczne jéj pastele wryły się w naszą pamięć tak, jak Holbeina rysunki. Nie podobna bez uśmiechu wspomnieć Bob'a. Jest to chłopczyk dziesięcioletni, syn bogatéj rodziny, wychowywany w domu przez księdza. Surowość tego ostatniego i powaga z jednéj strony, a pobłażliwe i bynajmniéj nie cnotliwe otoczenie rodzinne z drugiéj, oddziaływają jednocześnie na sprytnego i figlarnego malca, którego psoty, uwagi, spostrzeżenia przedwczesnéj dojrzałości są nieocenione. Łatwo sobie wyobrazić, jak się urabia charakter młodego pokolenia wśród takich sprzecznych kierunków. Autorce ani się śniło pisać dzieło pedagogiczne, nigdzie nie umieściła ani doktryny, ani nawet żadnego sądu obiektywnego, a przecież nauka i wskazówka płynęła z jéj humoreski bezpośrednio. Zachęcona nadzwyczajną popularnością Bob'a, autorka dała nam jego siostrę, 15-letnią panienkę, Loulou. Mamy tutaj odwrotną stronę medalu, obraz detalicznie wystudyowany zasad, idei stosowanych w wychowaniu panienek wyższego towarzystwa i możemy śledzić krok w krok, jak się czuła i wrażliwa natura dziewicza nagina do swego otoczenia, jak ją wcześnie świat pochłania, ścierając brzoskwiniowy puszek z jéj lica a zastępując go warstwą woniejącego pudru. Ale najdoskonalszym typem, stworzonym przez Gypa, jest Pauletta. Jest to postać panny wysokiego rodu, wychodzącéj za mąż bez żadnego gorącego przywiązania, ale dlatego, że robi dobrą partyę, i dlatego, że małżeństwo pozwoli jéj rzucić się w wir zabaw światowych. Postawiona

w najrozmaitszych położeniach, Pauletta rządzi się tylko kodeksem światowym. Imaginacya jest jéj przemagającą stroną, serce, uczucie, gra podrzędną rolę, namiętności nie zna; jeżeli nie upada w ścisłém słowa tego znaczeniu, to nie dlatego, żeby się zatrzymywała przed grzechem, ale dlatego poprostu, że w ruchliwém, gorączkowém jéj życiu nie ma czasu na kochanka, że jest on kompromitującym, że ma w sobie więcéj ujemnych, aniżeli dodatnich stron. Wybornie oddany jest tu typ *cocodetty* wielkoświatowéj, która zna wszystko, o wszystkiém słyszała, któréj nic nie bawi, nic nie wzrusza, która kocha swą piękność i jest sama dla siebie celem.

Te i rozmaite inne postaci, które autorka kreśliła z humorem i werwą, w języku codziennym, nie literackim ale takim, jakim rozmawia młodzież po klubach i damy w swych pluszowych buduarach, z przymieszką prawdziwie paryskiéj blagi, nie jako kaznodzieja, nie jako pedagog, nawet nie jako moralista, ale jako bystra i uśmiechnięta spostrzegaczka — znalazły wielkie powodzenie. Ów pesymista, co dał definicyę kobiéty, że jest ona istotą, która wszystkie sprawy wielkiéj wagi traktuje jak drobiazgi a drobiazgi natomiast, jak kwestye pierwszorzędne, mógłby często zastosować ją do obrazków towarzyskich Gyp'a, ale byłaby to, zdaniem naszém, surowość przesadzona. Autorka przynosi nam z dowcipnym uśmiechem na talerzyku z sewrskiéj porcelany wykwintny przysmaczek, co i oko nęci i dla podniebienia jest pokusą. Za co ją łajać i strofować? Uprzyjemniła nam chwil kilka, a nie jest i bez tego, ażeby z nagromadzonych przez nią studyów nie zbogaciła się świadomość nasza o duchowym i intelektualnym ustroju zwierzchnich warstw towarzyskich. Tych jéj spostrzeżeń nie należy tylko brać dosłownie i jeżeli jaki badacz społeczny w przyszłości zechce jéj szkice uważać za dokumenta człowiecze o naszéj epoce, to można się obawiać, iż dojdzie do fantastycznych wniosków. Jest tam na każdéj stronicy nietylko koloryzacya, służąca do uwydatnienia rysunku, ale jest też ironia, któréj należy zrozumiéć rozmiary i głębię.

Jeżeli nam się udało jasno postawić przed czytelnikami literacką fizyognomię Gypa, to uznają wraz z nami, że talent jéj nie zdawał się nadawać do powieści na szeroką zakreślonych skalę, ale, że przeznaczony był do swobodnych ruchów w zakresie noweli. Tymczasem autorce i tamtéj się zachciało. Mamy pierwszą jéj szerokich rozmiarów pracę, powieść pod tytułem „*Un raté*". Zwyczajem wielu powieściopisarzy współczesnych, Gyp obrała wypadek z rzeczywistego życia za osnowę do swego opowiadania, zmieniając niektóre drugorzędne

okoliczności. Słynna sprawa kryminalna, któréj bohaterem był aspirant na literata, p. Chambige i który zabił żonę inżyniera p. Mege, zacną matkę rodziny, dla tego, że mu się oddać nie chciała, już kilku powieściopisarzom dała pohop do powieściowego studyum. Są tacy nawet, co w bohaterce powieści Pawła Bourget, *„le Disciple“*, chcieli widzieć sprawę Chambige. Jeżeli niektóre rysy mogły wprowadzić na ten domysł, to wiemy z oświadczeń utalentowanego pisarza, że nie miał bynajmniéj tego zamiaru i że daléj i głębiéj sięgnął w swéj analizie psychicznéj. Gyp za to nie może zaprzeczyć, że pod nazwiskiém Gastona Ganuge miała zamiar przedstawić typ wstrętny literata ze szkoły dekadentów. A w jakich odmalowała go barwach! Ta istota fizycznie odpychająca, zniewieściała, wstrętna jest umysłową nicością. Oprócz śmiesznéj zarozumiałości, nie ma w nim żadnéj oznaki, iżby mógł stworzyć cośkolwiek oryginalnego. Jest to jeden z tych młodzieńców, którzy odgrażają się, że zburzą całe piśmiennictwo dotychczasowe, że otworzą mu nowe szlaki, ale za cały bagaż literacki posiadają język niezrozumiały, umyślnie wykoszlawiony i nigdy nic, oprócz tytułu przyszłego wielkiego dzieła nie stworzyli. Tego rodzaju literackich wielkości, nowatorów niby, jest dużo na bruku paryskim. Kupią się jedni do drugich, tworzą towarzystwa wzajemnego uwielbienia, zgromadzają się w jakiéj kawiarni ustronnéj, gdzie wśród dymu tytuniowego i wypróżnianych kufiów, plotą smalone duby przez długie godziny i własną upajają się sławą. Na jednego, co ma trochę talentu i który się wybija potém na jaśnię, jest mnóstwo zwiędłych, wysuszonych inteligencyi, poronionych, skazanych na systematyczną bezpłodność. Nikt ich na seryo nie bierze i nie wiadomo czy oni sami to czynią, czy téż grają tylko komedyę dla innych i dla siebie samych. Jaki dzienniczek lub tygodnik, jaka broszurka lub zbiorek poezyi jest czasami organem takiego kółka i z niego Paryż, Francya, Europa, dowiaduje się o posiadanych a nieznanych geniuszach. Istnienie ich na szczęście jest efemeryczne i wkrótce zepchnięci bywają w nicość zapomnienia przez nowych aspirantów. Tak mieliśmy szkołę dekadentów, tak posiadamy obecnie symbolistów. Trzeba mieć wielką dozę naiwności i dobréj woli, aby tego rodzaju literatów rozbierać, komentować i nadawać im znaczenie, którego nie mają i mieć nie mogą. Potężny prąd myśli i twórczości narodowéj o takie naleciałości troszczyć się nie potrzebuje i zmiata je bez miłosierdzia. Czuje ta rzesza liliputów, wzdymających się i spinających dla powiększenia swych rozmiarów, czuje ona, że nie ma żadnéj podstawy, żadnych warunków bytu i że sztuczna ich oryginalność, o którą się

ubiegają, zostanie zdemaskowana, wydrwiona przez zdrowy rozsądek masy. W przewidywaniu téj egzekucyi, pełni żółci i jadu zazdrości, otaczają się przynajmniéj dopóki mogą dymem kadzideł i bezczelną reklamą. Gdy się zna zakulisowe dzieje tych szkół, obozów i cenaklów, które zapalają rzekomo pochodnię cywilizacyi nowéj, to się czuje dla nich albo litość albo pogardę, stosownie do indywidualnego temperamentu. W Paryżu tego rodzaju literatów jest mnóstwo, a wesoły i sceptyczny paryżanin bawi się temi cackami, dopóki mu się nie znudzą i nie odtrąci ich wzgardliwie. Na prowincyi nie ma dla nich miejsca.

A właśnie na prowincyi Gyp umieściła swego bohatera, Ganuge. Przybywa on do Nancy w odwiedziny do familii, poznaje tam młodą, trochę zalotną, ale uczciwą kobiétę i oślepia, oszołomia ją swoją literacką wielkością. Słabą stroną powieści Gyp'a jest, że nie może czytelnik zrozumiéć, dlaczego taka światowa i pełna życia kobiéta, jaką jest pani Mire, dała się ująć w sidła tego wstrętnego komedyanta. Łatwiejby się to dało zrozumiéć u jakiéj sawantki, ale nie u téj wielkoświatowéj damy, wzrosłéj i wychowanéj w zdrowéj i normalnéj atmosferze. Za to Gangue wystudyowany i wycieniowany jest z prawdziwym talentem. Próżność i nicość umysłowa, łącząca się z brakiem wszelkiego moralnego zmysłu i małpią lubieżnością, wiedzie tego pseudo-literata do zamordowania kobiéty, którą doprowadził aż na skraj przepaści, ale która w ostatniéj chwili rzucić się do niéj nie chciała. Myśl o sławie, jaką mu miała zjednać ta zbrodnia w oczach tych, którzy wmawiali w niego wyjątkową naturę i dowodzili, że dla takich jak on ludzi nie istnieją ani prawa ani przepisy moralności, była dlań bodźcem wystarczającym. Autorka okazała się dla swego bohatera surowszą, aniżeli dla prawdziwego sąd przysięgłych. Chambige skazany został na więzienie, ale dzięki protekcyi, jaką nad nim roztoczyli jego literaccy koledzy, używa podobno wolności i przygotowuje utwory, co mają zrewolucyonizować świat inteligencyi. W powieści autorka zabija go w celi więziennéj, a to z ręki szlachetnéj a energicznéj kobiéty mszczącéj niewinną ofiarę, kobiéty, która i umysłem i sercem i taktem towarzyskim oceniła jak należy, od pierwszéj chwili tę, naturę wstrętną.

W kołach literackich francuskich powieść Gyp'a „*Un raté*“ czytana była z żywym interesem, gdyż szukano w niéj portretów i zgadywano w jaki sposób autorka wybrnie z trudności zakończenia. Nie można zaprzeczyć, że praktycznym rezultatem tego utworu było podcięcie skrzydeł wielu z tych dekatentów i symbolistów. Napróżno

utrzymują, że to karykatura nie zaś portret i że kobiéta należąca przez całą swą przeszłość do innéj sfery, nie potrafi zrozumiéć ich duchowego stanu; jest widocznėm, że cios ich dotknął i że od czasu jak się powieść ta pojawiła, spotkać się można z protestacyami częstszemi i energiczniejszemi niż się to działo dotychczas. Ze względu na usługę oddaną w ten sposób piśmiennictwu krajowemu, powieść Gyp'a nabrała większego znaczenia. Zatrzymaliśmy się nad nią dłużéj właśnie dlatego, że pozwoliła nam dotknąć tego obozu literackiego, o którym tak dużo rozprawiają ci, co do krytyki naukowéj nie zdają się posiadać najmniejszego tytułu.

*T. N.*





# POLITYKA KOLEJOWA W PRUSACH.

Ze spraw ogólno-gospodarczych, zagadnienia polityki kolejowéj stosunkowo najmniéj aż po dni nasze budziły zajęcia, i to nietylko wśród klas oświeceńszych społeczeństwa, lecz także wśród ogółu ekonomistów. Zachodzi w tém widoczna dysproporcya między istotną wagą przedmiotu, a naukowém jego rozpatrywaniem, albowiem drogi żelazne właśnie najdonioślejszych dokonały przemian w ustroju ekonomicznym i społecznym cywilizowanych narodów drugiéj połowy bieżącego wieku. A wpływ ten ciągły i stanowczy, którego jesteśmy świadkami, nie ustanie, o ile wyrokować można o przyszłości, z generacyą naszą, raz, że drogi żelazne rozpinają się coraz szerszą siecią po stałym lądzie, a powtóre przypuścić trudno, aby komunikacya po relsach żelaznych zastąpiona być mogła innym środkiem, równie dogodnym i pewnym dla przewozu osób i towarów.

Z uznania téj doniosłości dróg żelaznych wypływa bezpośrednio wniosek, że rozporządzający niemi właściciel nader wpływowe i zarazem odpowiedzialne zajmuje stanowisko. Otóż właśnie pytanie, kto ma kierować drogami żelaznemi i kto ma być ich właścicielem, względnie najbardziéj ożywioną wywołało dyskusyą. Przedsiębiorczość i zarobkowość prywatna staczała i stacza ciągle jeszcze na tém polu walkę z pretensyami państwa nowożytnego, które, powodowane nietylko wyłącznie względem materyalnego zysku, usiłuje zmonopolizować w swych ręku tak wybitny czynnik życia ekonomicznego. *A priori*, ani drogi żelazne państwowe, ani prywatne zalet wyłącznych nie przedstawiają, aby się łatwo było zdecydować na wybór, które lepsze. Jedynie specyalne położenie sprawy w każdym poszczególnym kraju rozstrzygnąć może o pytaniu, jaki system jest odpowiedniej-

szy dla rozwoju gospodarczego, czy system prywatnych, czy państwowych dróg, czy też pośredni dróg mięszanych. Kraje o średniéj rozległości geograficznéj i dość jednolitych warunkach przyrodzonych i cywilizacyjnych, łatwiéj się nadają do jednolitéj administracyi; inne natomiast, rozległe i o różnorodnych warunkach, składające się z odrębnych ekonomicznych prowincyi, stawiają naprzeciw usiłowaniom doktryny unifikacyjnéj silną zaporę, mających swą racyą bytu stosunków, które mianowicie w sprawach natury ekonomicznéj nigdy bezkarnie pomijane być nie mogą.

Jeżeli kładziemy tak wielki przycisk na praktyczne znaczenie stosunków poszczególnych w sprawach gospodarczych, to nie chcielibyśmy choćby w najmniejszéj mierze twierdzić, że zbadanie stosunków w obcych, a zwłaszcza sąsiednich krajach, małą ma dla nas wartość. Przeciwnie, jest to bardzo słusznem i uprawnionem każdego poważnego umysłu dążeniem, by się módz także rozejrzéć, po za mniéj lub więcéj ciasnym widnokręgiem swojskich spraw i rzeczy, dla pogłębienia poglądów zdobytych na podstawie stosunków otaczających. I ten to właśnie wzgląd zachęcił nas do rozpisania się o pruskich kolejach żelaznych, których rozwój z czasu ostatnich lat dwudziestu nietylko dla ekonomisty, lecz i polityka nadspodziewanie ciekawe przedstawia momenta.

Pierwotnie budowano w Prusach tylko koleje prywatne, następnie powoli państwo zaczęło współzawodniczyć z przedsiębiorczością kapitalistów, a w chwili obecnéj dochodzi ono do zupełnego prawie upaństwowienia dróg żelaznych. Jeżeli więc w czasach naszych najważniejszém zagadniem na polu gospodarstwa społecznego, jest odpowiednie ułożenie stosunku państwa w rozmaitych jego funkcyach do zarobkowości prywatnéj, to rozwój kolei żelaznych w Prusach, pod tym właśnie względem rozpatrywany, interesujący nam przedstawia widok dokonanego procesu ekonomicznego.

Podobnie jak w innych krajach, przyjęto w Prusach i Niemczech nowy wynalazek komunikacyjny z niedowierzaniem i dziwacznemi przesądami; a gdy doświadczenia poczynione w Anglii stwierdziły już jego użyteczność, ukazały się w Niemczech uczone rozprawy, napisane przez lekarzy, zapewniające, że dla przewozu osób koléj żelazna przydatna nie będzie, bo płuca niemieckie inaczéj niby zorganizowane, aniżeli angielskie, nie zniosą spowodowanego szybkim ruchem silnego parcia powietrza. Duch jednak przedsiębiorczy kapitalistów na głosy podobne nie zważał, a w r. 1838-ym zbudowano i otworzono

pierwszą w Prusach linią na drodze między Poczdamem i Berlinem. W tymże roku ogłoszone zostało wzorowe na owe czasy prawo kolejowe, które, sprzyjając swobodnemu rozwojowi dróg żelaznych, nadawało akcyjnym towarzystwom kolejowym rozległe przywileje. Na razie przychylne zapanowało usposobienie dla nowych przedsiębiorstw z powodu łatwych do obliczenia zysków, wynikających dla publiczności z niskiéj opłaty przewozowéj ciężkich gatunkowo towarów i szybszego a pewniejszego transportu. Gdy się porówna koszta transportu koleją, a wozem po drodze zwyczajnéj, wtedy nam się uprzytomni, jak przedewszystkiém korzystnie wpłynąć musiały koleje żelazne na położenie przemysłu górniczego. Dopiéro teraz węgiel kamienny, który poprzednio zbyt swój w małym tylko miéć mógł okręgu, w sąsiedztwie zakładów górniczych, rozchodzić się począł przy niskich cenach przewozu do okolic dalszych. Nie brak nam dla wielu okolic Prus na ciekawych statystycznych porównaniach, które wykazują o ile w stopniowych odstępach czasu, od r. 1836-go począwszy, staniały koszta przewozowe węgla kamiennego. Obliczono, że w r. 1878 transport kosztował przeciętnie mniéj, niż trzydziestą część tego, co w chwili przed założeniem kolei żelaznych. Za cetnar wyborowego węgla płacono w r. 1836 w kopalniach Hardensteinskich 35 fenigów, w odległym o cztery mile Elberfeldzie 105 fen., czyli że koszt przewozu na tak małą odległość pochłaniał sumę, wynoszącą podwójną cenę towaru. Transport wagonem cetnara węgla kosztował w Prusach, w pierwszym peryodzie aż do r. 1848 przeciętnie 0,42 feniga; w roku 1858-ym już tylko 0,31 f.; a w r. 1878-ym, jeżeli się weźmie w rachubę niskie taryfy, zaprowadzone dla węgla wywożonego do portów morskich nie więcéj, jak 0,045 f. na milę. Tak się przedstawiają warunki zmienione dla zbytu węgla kamiennego, który stał się najważniejszym bodaj czynnikiem naszéj kultury materyalnéj. Dla innych towarów, stanowiących zwykle ważną część transportów kolejowych, cena przewozowa wynosiła w r. 1878 przeciętnie tylko szesnastą część tego, co przesyłka wozem przed budową dróg żelaznych.

Przytém dogodność komunikacyi kolejowéj podniosła i ożywiła ruch towarowy i osobowy. Na cztery lata przed budową pierwszéj kolei pruskiéj, udzielono w sąsiedniéj Saksonii koncesyą na pierwszą linię między Lipskiem a Dreznem. Optymiści przewidywali wtedy, że ruch kolejowy w porównaniu z dawnym co najmniéj podwoi się; ale najlepsi znawcy stosunków ekonomicznych uznali to za prostą chimerę. Lecz już po latach ośmiu owe nadzieje się ziściły, a w ciągu lat czterdziestu ruch kolejowy okazał się 52 razy większym od dawniejszego, dokonywanego wozem.

Te uwagi wystarczą dla zaznaczenia pokojowéj rewolucyi, jakiéj w Niemczech i Prusach, podobnie jak w innych krajach, dokonał wprowadzony w życie wynalazek Stephensona. W następstwie tego rozwoju zajść musiała zasadnicza zmiana stanowiska, zajmowanego dotąd przez państwo wobec dróg żelaznych. Roku 1838-go stał rząd pruski na czysto bierném stanowisku nadzoru policyjnego; późniéj zaczął czynnie wspiérać budowę zasiłkami pieniężnemi i poręczaniem dochodu, a w r. 1850 już sam został przedsiębiorcą kolejowym. W owym więc roku dano w Prusach początek nowemu systemowi, mieszanemu, dróg żelaznych państwowych i prywatnych. Długość wszystkich linii wynosiła wtedy w Prusach 2,846 kilometrów, kiedy w r. 1844 ledwo 900 kilometrów dochodziła. Odtąd sieć kolei żelaznych wzrastała w przybliżeniu w dwójnasób co lat dziesięć, liczono bowiem w r. 1850-ym blisko 3 tysiące kilometrów, r. 1860 pięć i pół, w r. 1870-ym jedenaście, a 1880 przeszło dwadzieścia tysięcy kilometrów.

Z zagęszczeniem dróg żelaznych poczęła się rozgrywać walka o byt wśród rozmaitych linii kolejowych. W téj podjazdowéj walce małe towarzystwa kolejowe nie mogły dotrzymać kroku większym, zaczęły się więc łączyć między sobą w większe zorganizowane grupy, które, przestawszy się nawzajem rujnować coraz to niższemi taryfami, opanowały następnie monopolistycznie ruch kolejowy danéj okolicy. Skądinąd wywiązała się rywalizacya linii państwowych z prywatnemi, w któréj państwo odniosło stanowcze zwycięstwo. Lecz późno dopiéro, bo po upływie lat czterdziestu od wybudowania pierwszéj kolei pruskiéj, wystąpił rząd otwarcie z wyraźną tendencyą upaństwowienia. Poprzednio domagał się tylko dozoru jaknajściślejszego nad ruchem kolejowym i pragnął, z politycznych głównie pobudek, w czasie między wojną austryacką a francuską (1866—70), uregulować i ujednostajnić przepisy, dotyczące spraw kolejowych, by tém silniejszemi węzłami spoić świéżo powstały związek północno-niemiecki. Na początku 1870 r. kilkakrotnie zwracał hr. Bismarck na ten punkt uwagę kół fachowych rządu i czynił to na podstawie artykułów konstytucyi związku północno-niemieckiego, które następnie po zwycięstwie, odniesioném nad Francyą, przejęto bez zmian zasadniczych do konstytucyi nowego cesarstwa niemieckiego.

Ówczesne stosunki polityczne oddziałały również silnie na rozwój dróg żelaznych. Pod wpływem nieustalonego i niepewnego położenia politycznego, na lat kilka przed wojną francuską zapanował w handlu i przemyśle zastój, który w następstwie podziałał niekorzystnie na postępy środków komunikacyjnych. Nagłe, niespodziewa-

ne zwycięstwo nad Francyą i zbogacenie kraju podnieciło, jak narkotyk, uśpioną przedsiębiorczość. Wtedy okazalo się, że koleje żelazne nie dorosły nowéj sytuacyi ekonomicznéj. Urządzenia, zastosowane do dawnego skromnego ruchu, nie mogły żadną miarą podołać nowym zadaniom, a na domiar złego cały materyał ruchowy wskutek nadzwyczajnych wymagań, stawianych kolejom przez administracyą wojskową w czasie wojny z Francyą, znacznie stracił na wartości i dobroci. Przyszło do tego, że miesiącami całemi towary wyczekiwać musiały z powodu natłoku transportów, zanim wyprawione być mogły. Dla gospodarstwa krajowego wynikały stąd straty nie małe, a utyskiwania i skargi na towarzystwa kolejowe natychmiastowéj naprawy położenia wywołać nie były w stanie. Powstał z tego ferment niezadowolenia, skierowanego przeciwko górującemu dotąd stanowisku przedsiębiorstw dróg prywatnych. W kołach niezadowolonych zaczęły się zarazem szerzyć poglądy i przypuszczenia, że jednolite kierownictwo kolei żelaznych, obejmujące cały obszar państwa, zdołałoby w znacznéj części uchylić przykre położenie ekonomiczne, gdy przeciwnie współzawodniczące między sobą wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi środkami, drobne linie kolejowe wprost stan rzeczy pogarszały. Najpierw skierowano starania o uzyskanie nowego materyału ruchowego, następnie wobec budzącéj się spekulacyi budowano pośpiesznie nowe linie, a chociaż ceny za relsy, wagony i lokomotywy wskutek wielkiego popytu nagle podskoczyły w górę, mimo to jednak zyski dla akcyonaryuszy również się powiększały. Rząd odmawiał teraz nowym przedsiębiorstwom udzielanych dawniéj gwarancyi, ponieważ i bez gwarancyi przychodziły w pomoc dostateczne kapitały prywatne. W związku z owém świetném powodzeniem towarzystw kolejowych, utrwaliła się wiara w nieograniczoną i absolutną zyskowność linii kolejowych i budowano je bez względu, czy miejscowe warunki potrzebę ich wykazywały, czy nie; a rząd, pod wpływem ogólnie przychylnego usposobienia, chętnie udzielał koncesyi. W ten sposób prywatna przedsiębiorczość na polu kolei żelaznych znowu wyprzedzała państwową, a rząd nie zamierzał wtedy zgoła temu rozwojowi przeszkadzać. W raporcie dla króla Wilhelma przeznaczonym, pisze hr. Bismarck 22 lipca 1870 r., a więc już po wybuchu wojny, że odmawiania koncesyi na budowę linii prywatnych, mogących współzawodniczyć z liniami państwowemi, za słuszne uznać nie może. Trzeba przeciwnie zezwalać ze względów polityczno-ekonomicznych na budowę coraz to nowych dróg żelaznych, a niedobór stąd powstający w dochodach państwa pokrywać w inny sposób, aby nie stawiać rządu królewskiego w fałszywém świetle, jakoby pragnął pokrywać potrzeby swe za

pomocą „fiskalnéj monopolizacyi i wyzysku środków komunikacyjnych.“ Zasadom tu wygłoszonym pozostał Bismarck wiernym i w najbliższych latach po wojnie francuskiéj.

Organizm ekonomiczny w każdéj części gospodarstwa krajowego bił wtedy przyśpieszoném tętnem, dziwić się więc nie można, że w spekulacyi kolejowéj nie zachowano należnéj chłodnéj rozwagi. W końcu jednak państwo obawiać się poczęło o utratę swego wpływu. Stosunek długości linii państwowych do prywatnych zniżył się bardzo. Rząd, który nareszcie po świetnych rezultatach polityki zagranicznéj, zwracać począł baczność na sprawy wewnętrzne, widział się usuwanym od regulowania życia gospodarczego w kraju, a linie kolejowe, stanowiące własność państwa, zagrożone były konkurencyą sąsiednich linii prywatnych. Obok tego nie były na rękę rządowi prywatne koalicye taryfowe. Początkowo zwykle pojedyńcze linie prowadziły zaciętą między sobą walkę taryfową, aż sprzykrzywszy ją sobie, zawierały zgodę, na któréj interesowana publiczność najgorzéj wychodziła; gdyż po zawarciu zgody, ustanawiały zjednoczone towarzystwa taryfy jednostajne co prawda, lecz zarazem podwyższone znacznie. Uważał więc rząd pruski za swe pierwsze zadanie, ująć w swe posiadanie główne arterye ruchu, łączące kresowe części kraju z Berlinem (głos ks. Bismarcka z 5 lutego 1873-go r.) i mniéj był przystępny prośbom o pobudowanie dróg drobniejszych, mających znaczenie dla ruchu prowincyonalnego.

Niebawem opinia publiczna w pomoc przyszła usiłowaniom rządu. Zaniosło się na zmianę dotychczasowego systemu polityki kolejowéj. Liberalny poseł, Edward Lasker, odsłonił w sejmie pruskim nadużycia niesłychane, zachodzące przy udzielanych przez ministerstwo handlu koncesyach. Wykrycia Laskera (14 lutego 1873 r.) rzuciły cień na czynności najwyższych kół administracyi. Bezpośrednio dotknięty minister handlu, hr. Itzenplitz, nie zdołał osłabić twierdzeń wybitnego mówcy sejmowego. List ówczesnego prezesa pruskiego ministeryum, hr. Roon'a, przesłany izbie poselskiéj dla zwalczenia zdań Laskera, spowodował jedynie ponowne ostre wystąpienie stanowczego przeciwnika dotychczasowego systemu. Wywody jego o szkodliwości pruskiéj polityki kolejowéj i o praktykowanych nadużyciach były tak ściśle uzasadnione, że hr. Roon, zdumiony odkryciami, widział się zmuszonym cofnąć treść listu swego. Stanęła sprawa na tém, że za zgodą rządu i sejmu wyznaczono komisyą, która zbadać miała i wyjaśnić błędy i nadużycia zaszłe przy udzielaniu koncesyi i osądzić na téj podstawie, jakich zmian wymagają istniejące w tym przedmiocie przepisy.

Usiłowania, zapoczątkowane w sejmie, doznały w sferach rządowych najgorętszego poparcia ze strony ks. Bismarcka. Jako minister spraw zagranicznych, rozwinął on w obszernem piśmie przed ministeryum pruskiém swój program kolejowy. Już od pewnego czasu uważał ks. Bismarck, że minister handlu nie przestrzegał odpowiednio interesów rządu i państwa w sprawach kolejowych. A jeżeli kanclerz zadawalniał się dotąd wyrażaniem odrębnego zapatrywania na posiedzeniach ministeryum, czynił to ze względu na rozkaz cesarza, który stanowczo się przeciwko temu oświadczył, ażeby niezgoda „w sprawach, nie mających ogólnego politycznego znaczenia“ zrywać miała solidarność kolegium ministeryalnego.

Wzgląd ten upadł, gdy podeszły wiekiem hr. Itzenplitz, po burzy wywołanéj przez Laskera, ustąpił ze swego stanowiska. Użył więc Bismarck téj sprzyjającéj chwili, aby przedłożyć rządowi zasady, któremi się kierować miał wydział kolejowy ministerstwa handlu i od przyjęcia tychże i zastosowania uczynił zależném zatrzymanie lub złożenie swego odpowiedzialnego urzędu w ministeryum. Najmniéj był zadowolony z dotychczasowego stosunku rządu do dróg prywatnych, przepisy bowiem odnośne konstytucyi niemieckiéj, co do nadzoru rządu nad kolejami, pozostawały dotąd martwą literą. Jako kanclerz cesarstwa i jedyny odpowiedzialny przedstawiciel rządu niemieckiego, poczuwał się ks. Bismarck do obowiązku przypomnienia i ministerstwu pruskiemu o niedość rozwiniętym nadzorze nad drogami żelaznemi. Od lat dziesięciu, czyli innemi słowy, od czasu, gdy hr. Itzenplitz objął tekę ministra handlu, zapomniano, według zdania kanclerza, o potrzebach ogółu ludności, a na błędy i uchybienia zarządów kolejowych patrzano przez szpary.

Dodamy nawiasowo, że w roku następnym postarał się książę o to, aby wszystkie skargi publiczności na zarząd kolejowy jego także bezpośrednio dochodziły. Wskazawszy na interpelacyą Laskera, zganił jak najostrzéj niewłaściwą praktykę udzielania koncesyi. Na podstawie uchwały ministeryalnéj z roku 1838-go, a więc z samych początków dróg żelaznych w Prusach, wykazał, że praktykowany zwyczaj udzielania koncesyi przez samego tylko ministra handlu nie zgadza się z nieuchylonym dotąd formalnym przepisem prawa. Wskutek tego, wrócono następnie do zapomnianego przepisu i postanowiono, że koncesye odtąd wymagać będą przyzwolenia całego kolegium ministrów. Zarazem naszkicował kanclerz główne zasady, według których rząd postępować miał na przyszłość przy udzielaniu koncesyi. Najpierw oświadczył się zwolennikiem koncesyonowania linii konkurencyjnych, gdyż tylko w nich widział jedyny na razie hamulec na

wyzyskujące monopolistycznie swe wyjątkowe stanowisko drogi żelazne i jedyny skuteczny środek zabezpieczenia potrzeb ludności. A chociaż przyznawał, że często korzystna dla ogółu interesów konkurencya sąsiednich linii była tylko przejściowém stadyum, po którém następowało porozumienie się poszczególnych zarządów, to jednak zdawało mu się możliwém, zaradzić temu w stanowczy sposób pobudowaniem państwowéj linii konkurencyjnéj. Wobec tego, że państwo dotąd zaniedbało wybudowania głównych linii krajowych kosztem własnym, podniósł Bismarck konieczność konkurencyi dróg państwowych, mianowicie gdy pobudzają do niéj światłe względy na rozwój wytwórczości gospodarczéj kraju.

Były to wszystko wprawdzie poglądy w teoryi nie nowe, lecz praktyka ministerstwa handlu mało dla nich dotąd okazywała zrozumienia.

Komisya kolejowa, zwołana po interpelacyi Laskera, nader żywą także rozwinęła czynność. Aż 56 posiedzeń poświęciła wyjaśnieniu spraw kolejowych i uchwałami swemi, jak największy wpływ wywarła na dalszy bieg polityki kolejowéj Prus i Niemiec. W sprawozdaniu jéj, złożoném sejmowi w listopadzie 1873 r., czytamy nader doniosłą konkluzyą, że „ekonomiczne względy i przyczyny wskazują, jako ostateczny cel rozwoju, połączenie wszystkich kolei w ręku państwa.“ A chociaż zacytowane zdanie ma pewien przysmak ogólnych platonicznych rezolucyi, uchwalanych na zebraniach naukowych i politycznych, w obecnym jednak przypadku wypowiedziane było przez wpływowe grono, które ster spraw w swych dzierżyło ręku.

Natomiast nie doczekała się urzeczywistnienia rezolucya komisyi, domagająca się, w celu politycznéj unifikacyi, jednolitego prawa kolejowego dla całego cesarstwa. Prawa takiego dotychczas nie uchwalono, gdyż stosunek poszczególnych państw związkowych do rządu niemieckiego państwa, przedstawia na polu spraw kolejowych wiele niewyświeconych zagadnień prawno-politycznych. Stąd téż projektowany przez komisyą i wprowadzony w życie niemiecki urząd kolejowy nie miał i nie ma tego znaczenia, jakie mu komisya nadać zamierzyła.

Pozostała zatém poszczególnym rządom państewek niemieckich swoboda samodzielnego ułożenia spraw kolejowych u siebie, według swych odrębnych widoków. Pod tym więc względem panuje dotąd w harmonijnym akordzie jedności niemieckiéj rozdźwięk, który zapewne tak rychło brzmiéć nie przestanie, gdyż parlament niemiecki obecnie mniéj zdaje się czuć potrzebę unifikacyi, aniżeli dawniéj.

W parlamencie znalazły zapatrywania komisyi wymowne po-

parcie przy obradach nad wnioskiem d-ra Elbena i 130 towarzyszy, stawionym w celu utworzenia centralnego urzędu kolejowego dla Niemiec. Przy osobistéj zachęcie kanclerza walczyli wnioskodawcy odważnie za urzeczywistnieniem materyalnéj i ekonomicznéj jedności niemieckiéj. Prócz wielu innych przemawiali za wnioskiem Lasker i Miquel, obecny reformatorski minister finansów. Lecz początkowy zapał unifikacyjny trafił na nieprzepartą zaporę stosunków istniejących, na sprzeczność z prawami poręczonemi konstytucyjnie członkom rzeszy, na prawo rady związkowéj, któréj według konstytucyi przysługuje zarząd spraw ogólno-niemieckich. Na mocy uchwały parlamentu i rady związkowéj, oraz sankcyi cesarskiéj z 27 czerwca 1873-go r., stworzono więc urząd kolejowy niemiecki o niepewném stanowisku i bez upragnionéj podstawy ogólnego prawa kolejowego dla całych Niemiec.

Po ustąpieniu hr. Itzenplitza, którego osobistéj uczciwości dochodzenia komisyi kolejowéj niż przyganić nie mogły, objął 13 maja 1873 r. tekę ministra handlu podsekretarz stanu, Achenbach. W mowie swéj programowéj przedstawił się nowy minister, jako zwolennik mieszanego systemu dróg państwowych i prywatnych. Przedsiębiorstwu osób i grup prywatnych przyznał zasługę ówczesnego ogromnego rozwoju dróg żelaznych, oraz wpływ ożywiający na energią zarządów linii państwowych. Według zdania ministra, stosunek wzajemny wtedy dopiéro stałby się normalnym, gdyby rząd za pomocą kolei państwowych, mógł regulować odpowiednio do ogólnych potrzeb kraju, zachowanie się linii prywatnych. Uznawał więc téż za nieodzowne, aby państwo miało w swych ręku główne arterye ruchu, łączące stolicę z ogniskami życia ekonomicznego w prowincyach. Pod koniec długich obrad, przy trzeciém czytaniu prawa, przekazującego 120 milionów marek na koléj żelazną, mającą połączyć Berlin z zachodem monarchii, wyraził się minister, że państwo koniecznie powinno ująć silną dłonią losy i kierownictwo spraw kolejowych, bo gdy to nie nastąpi, natenczas koleje prywatne, czyli stojące po za niemi grupy wpływowych ekonomicznie jednostek poczną rządzić państwem.

Nie mogły, przy tak żywém zainteresowaniu się drogami żelaznemi, ujść ogólnéj baczności wady istniejących taryf przewozowych. Każda linia, każdy związek kolejowy miał swoje odrębne taryfy, często niedostatecznie publikowane i stąd niedokładnie znane interesowanemu światu kupieckiemu i przemysłowemu. Powstawała zatém przy układach kupna lub sprzedaży wielka niepewność w obliczeniach, którą zdrowa polityka taryfowa usunąć była powinna.

Pobudziła dyskusyą na tém polu petycya, podana do parlamentu

niemieckiego z żądaniem taryf różniczkowych dla transportu produktów rolnych. Petycyą ową przekazał parlament kanclerzowi do uwzględnienia, który też dla zbadania istotnego stanu rzeczy zwołał komisyą, składającą się z przedstawicieli stanu kupieckiego, przemysłowego i rolniczego. Obrady jéj wszakże żadnego nie przyniosły rezultatu. Wreszcie podjął rząd sprawę uregulowania taryf kolejowych. Jak wiadomo, przeszły koleje w świéżo zabranych Francyi dzielnicach Alzacyi i Lotaryngii w posiadanie rządu niemieckiego. Zaprowadzono tamże wypróbowany w czasie wojny r. 1870/71 system taryfowy, oparty nie na wartości transportowanego towaru, lecz na wadze i zajmowanéj przestrzeni wagonu. System ten, zwany w przeciwstawieniu do taryf klasyfikowanych podług wartości naturalnym, zapragnęły Prusy widziéć zastosowanym na całym obszarze rzeszy niemieckiéj. Lecz w czasie układów nawiązanych w styczniu 1873 r. wykazało się, że tylko koleje państwowe pruskie i koleje alzacko-lotaryńskie były za systemem naturalnym, reszta zaś zarządów kolejowych oświadczyła się za zatrzymaniem taryf wartościowych. Sprawa taryfowa wogóle o tyle była dla zarządów obojętna, że z powodu rozbudzonego po wojnie ekonomicznego życia, pieniądze i zyski napływały do kieszeni akcyonaryuszy bez względu na rodzaj istniejących taryf. Położenie się zmieniło z krachem 1873 roku. Wtedy zaczęto ogólnie szukać ratunku dla zachwianéj w podstawach egzystencyi ekonomicznéj w podwyższeniu taryf. Wskutek obniżenia się wartości pieniędzy i wysokiéj ceny wszelkich materyałów i pracy ludzkiéj, przy obniżających się wskutek powszechnego zastoju dochodach, renta na wszystkich drogach żelaznych nagle spadła. Ubytek ten odczuły w równéj mierze koleje państwowe pruskie, więc i w rządowych kołach odezwały się głosy za podwyższeniem taryf. Jakoż 14 października 1873 r. wystosowali ministrowie handlu i finansów zapytanie do kanclerza, czy ogólnemu podwyższeniu taryf nie będą stawiane przeszkody ze stanowiska Niemiec i konstytucyi. Ks. Bismarck oświadczył się w odpowiedzi swéj za zwłoką sprawy, w tym celu, aby jeszcze przed stanowczym krokiem doczekać rezultatu obrotu całego roku.

Dokładniéj nas poucza o poglądach Bismarcka, napisany z jego polecenia, a ogłoszony świéżo list radcy Lothara Buchera do prezydenta urzędu kolejowego. Bismarck przeciwny był podwyższeniu taryf, a jako oględny i zręczny polityk, nie pochwalał wcale, że koła rządowe brać mają w sprawie téj inicyatywę. Zdaniem jego, trzeba było przeciwnie czekać na inicyatywę towarzystw kolejowych. Co do materyalnéj strony projektu, zastrzegał się stanowczo przeciwko podwyższeniu opłat przewozowych przy towarach najpotrzebniejszych

dla bytu ludności. Mniejsza już o podwyższenie opłaty jazdy kolejowéj pierwszą i drugą klasą, na toby się bez namysłu był gotów kanclerz zgodzić; podobnie na podniesienie taryf dla towarów zbytkowych. Wobec innych podwyższeń stanowisko Niemiec i urzędu kolejowego powinno być „absolutnie odporném“. Mimo tych stanowczo zaznaczonych pięknych zasad, uległ niebawem kanclerz parciu przemożnych stosunków. W przemyśle kolejowym zastój zapanował ogólny, mianowicie w budowie linii prywatnych a nadchodzące sprawozdania i obliczenia wykazywały znaczne i ciągłe zniżanie się dochodów. Na podstawie zebranych materyałów i przedłożonego sobie przez urząd kolejowy memoryału przedstawił kanclerz radzie związkowéj projekt do uchwały, „że ze stanowiska rzeszy nie ma nic do nadmienienia przeciwko umiarkowanemu podwyższeniu taryf, nie przewyższającemu wszakże w przecięciu 20%, z tém przypuszczeniem, że równocześnie lub gdy nieodzowne prace przygotowawcze na to pozwolą, reformowany system taryfowy, zalecony w memoryale urzędu kolejowego, w zasadniczych swych punktach zaprowadzonym będzie“.

Było do przewidzenia, że z ogółu kupców, przemysłowców i ziemian, ci co nie mieli udziału w akcyach kolejowych, przeciwnemi będą podwyższeniu taryf. Naprożno podniosła się żywa agitacya izb handlowych w celu zażegnania groźnych dla handlu i przemysłu wysokich taryf; już bowiem 11 czerwca 1874 r., rada związkowa po obradach nad wnioskiem kanclerza, pozwoliła na tymczasowe podwyższenie taryf, którego uporządkowanie ostateczne nastąpić miało po przyjęciu wspólnego systemu taryfowego. Pod pierwszém wrażeniem uchwały rządów związkowych, zgoda zapanowała ogólna wśród zarządów kolejowych co do podwyższenia opłat, lecz niebawem, gdy miano w praktyce zastosować nowe wysokie taryfy, powstało największe zamieszanie. Pewna tylko część zarządów kolejowych mogła w bliskim terminie, 1 sierpnia 1874 r., zaprowadzić nowe taryfy, inna znowu część wyczekujące i chwiejne zajęła stanowisko, a korzystając z oburzenia kół kupieckich i przemysłowych, ruch towarowy na swoje przeciągnęła linie i cios zadała dotkliwy liniom z wysokiemi taryfami. Inne znowu ważne linie, jako to górnoszląska prawie w całości zatrzymały dawne taryfy. Niektóre grupy stowarzyszonych linii kolejowych, użyły danéj sposobności, aby wszystkie swe taryfy podwyższyć o 20%. Powiększyło chaos szczegółowe klasyfikowanie taryf podług towarów i linii przebywanych i spóźnione w wielu wypadkach ogłoszenie zmian zaszłych, tak, że ogłaszano je nieraz w tydzień i późniéj po pierwszém ich zastosowaniu w praktyce. Na wywołane tém wszystkiem skargi i petycye, wysyłane do urzędu kolejowego, nadchodziły

wcale nie pocieszające interesantów odpowiedzi, że urząd „podług istniejących praw nic więcéj uczynić nie może, jak przekazać petycye do uwzględnienia władzom ustanowionym dla nadzoru spraw kolejowych w poszczególnych krajach Niemiec“.

Równe niepowodzenie spotkało zapowiedzianą w uchwale rady związkowéj z 11 czerwca 1874 r. reformę taryf. Urzeczywistnieniu zamiaru stanęła na przeszkodzie koalicya towarzystw kolejowych, które uzyskawszy raz cenną swobodę podwyższania taryf, aż do 20%, nie poczuły skłonności do podjęcia systematycznéj reformy taryfowéj. Zgodziły się też między sobą na zastosowanie 12 gatunków szczegółowych taryf, lecz wysokości ich znowu z rozmysłem nie określiły.

W téj trudnéj dla widoków rządowych chwili, nastąpiła ważna zmiana w urzędzie kolejowym, którego przewodnictwo objął Maybach, obecny minister robót publicznych. Poprzednio był on prezesem kolei państwowych hanowerskich, które się dostały w posiadanie Prus po wojnie 1866 r. i na tém stanowisku nabył doświadczenia potrzebnego do przeprowadzenia centralizacyi spraw kolejowych. W styczniu 1875 r. przypominał Maybach w parlamencie, na jakich to podstawach do skutku przyszło postanowienie rady związkowéj w sprawie podwyższenia taryf, i że celem, który miano wówczas na oku, było skłonienie zarządów kolejowych, aby podały rękę do upragnionéj przez kraj cały reformy taryfowéj. Stąd też, zgodnie z podobnemi poglądami, ks. Bismarck nie okazywał się przychylnym dalszemu utrzymaniu dwudziesto-procentowego podwyższenia i czynił to wbrew odmiennéj opinii pruskiego ministra finansów. W *votum* swojém, przedłożoném ministrom starał się kanclerz odłączyć ściśle sprawę reformy stanowczéj od chwilowego podwyższenia opłat. Mimo giętkości odnośnych przepisów konstytucyi niemieckiéj, przypomniał im z zupełną słusznością, że prawa zasadnicze Niemiec dają pewną i jasną dyrektywę polityce kolejowéj w kierunku obniżenia taryf. Chociaż więc odstąpiono od wyrażonéj w konstytucyi zasady pod przymusem twardéj konieczności i zmian wartości zaszłych na targu wszechświata, to jednak wypadnie wrócić znowu do niéj przy pierwszéj sposobności. Bismarck wytykał Camphausenowi, ministrowi finansów, że przy równoległém traktowaniu sprawy podwyższenia taryf i ich reformy zapomina o tém, iż chwila urzeczystnienia reformy nie da się żadną miarą przewidzieć i prawdopodobnie długo bardzo na się czekać każe. Nakreśliwszy z wielką znajomością spraw ludzkich słabe widoki reformy, domagał się dokładnéj rewizyi podwyższeń taryfowych, które były tylko wyrazem przemijającéj sytuacyi ekonomicznéj, a wykonane zostały w sposób najniezgodniejszy z ogólném dobrem kraju.

Przewidywania i obawy kanclerza spełniły się. A w rezultacie na zmianach zaszłych polityce kolejowéj najwięcéj stracił rząd, gdyż jemu to opinia publiczna wyłączną przypisywała winę podwyższenia taryf. Wszędy téż można było słyszéć powątpiewania o prawności uchwały rady związkowéj i powoływania się na artykuł 45 konstytucyi cesarstwa, który orzekał wcale niedwuznacznie, że rząd niemiecki działać ma w kierunku obniżenia taryf.

Projektowane prawo kolejowe dla całych Niemiec również nie przychodziło do skutku. Urząd kolejowy odgrywał w téj sprawie rolę platonicznego prawodawcy, aż sobie w końcu sprzykrzył bezowocną pracę. Przedłożony projekt zbytnio tchnął duchem centralizacyjnym, aby mógł być przyjęty przez Saksonią, Bawaryą i Wirtembergią. Prawo nadzoru nad kolejami niemieckiemi miało przysługiwać urzędowi kolejowemu, a z motywów projektu przeglądał stanowczy zamiar stosowania owego nadzoru w tak energiczny sposób, by znękane nim państwa związkowe w końcu nabrały skłonności do zrzeczenia się wszelkich praw na rzecz rządu centralnego, w którym Prusy przewodziły. Tém się téż tłómaczy, że wśród opozycyi, względy czysto polityczne przeważały i wiemy, że rząd saski jeszcze przed obradami nad projektem starał się z cicha utworzyć koalicyę malkontentów przeciwko zamiarom kanclerza i Maybacha.

Natomiast panowało znacznie lepsze usposobienie dla nowego prawa kolejowego, wśród szerokich kół interesantów prywatnych. Tam objawiono nawet życzenie, aby udzielanie koncesyi odtąd należało do atrybucyi rządu centralnego, lecz zapominano przy tych zapędach unifikacyjnych, że rady podobne w sprzeczności stały z wyraźnemi przepisami konstytucyi cesarstwa, która prawo koncesyi poszczególnym przekazywała państwom; uchylenie więc pozostałéj im na tém polu władzy musiałoby uzyskać najpierw ich przyzwolenie. Tak samo stanęły w opozycyi do myśli zjednoczenia dróg żelaznych towarzystwa prywatne, a położenie sprawy pogorszyło się jeszcze, gdy z powodu niektórych ustępów projektu, powstała panika giełdowa wśród właścicieli akcyi kolejowych; zaczém i wśród kapitalistów nieprzychylne się utwierdziło usposobienie dla zaproponowanych zmian w polityce kolejowéj.

W ciągu czterodniowych obrad przedwstępnych nad drugą poprawną edycyą prawa kolejowego, które poczęły się 7 czerwca, tak żywo wystąpiły zasadnicze przeciwieństwa, że w końcu przyszedł przewodniczący do wniosku, iż dalsze układy byłyby bezowocne. Mimo to kilka słów uprzejmych, któremi Maybach komisarzy pożegnał, wzbudziły u entuzyastów nadzieję, że niebawem rząd niemiecki te usiłowania ponowi.

Po kilkomiesięcznéj ciszy zaczęły krążyć po dziennikach wiadomości i życzenia, natchnione niewątpliwie z góry, że wypadnie może zakupywać stopniowo drogi żelazne poszczególnych krajów związkowych na rachunek rzeszy, w ten sposób bowiem rząd centralny zyska drogą prostego kupna środek do skutecznego przeprowadzenia jednolitéj reformy. Agitacya za tym projektem ogarnęła powoli prasę i stowarzyszenia polityczne. W związku z nią rozesłał 12 listopada 1875 r. komitet wiecu handlowego niemieckiego okólnik, przemawiający w razie kolizyi interesów towarzystw prywatnych i kolei państwowych z interesami rzeszy, za nabyciem na jéj rzecz praw własności drogą kupna i wywłaszczenia. Późniejsze przemówienie Maybacha w parlamencie wykazało, że poglądy poruszane w prasie pokrewne były zamiarom rządu, a w miesiąc późniéj 11 grudnia 1875 na wieczorku parlamentarnym u ks. Bismarcka otwarcie roztrząsano tę sprawę. Padł wtedy strach i popłoch na rządy państewek związkowych, które lękać się poczęły na seryo, by po słowach kanclerza czyny nie nastąpiły. Pod wrażeniem właśnie tych wieści, wirtemberski minister komunikacyi Mittnacht, na uczcie z powodu otwarcia nowéj linii kolejowéj, zapewnił zebranych gości, że Wirtembergia nigdy sobie nie pozwoli wydrzéć swych dróg żelaznych, „tego okazale wyrosłego dziełka długoletnich starań, trosk i ofiar". Po ponownym obiedzie parlamentarnym u ks. Bismarcka (13 stycznia 1876) ukazały się wiadomości, pochodzące „z dobrze poinformowanego źródła", że Prusy już na przyszłéj sesyi sejmowéj ustąpią koleje swe na rzecz Niemiec, aby rządowi ceserstwa dać w ten sposób możność opanowania polityki kolejowéj i przygotować grunt dla ostatecznego prawa kolejowego.

Wstrzymując się od dalszego rozpatrywania głosów publicystycznych, zastanowimy się chwilę nad świadectwem daleko ważniejszém, bo charakterystycznem *votum*, które Bismarck przedłożył pruskiemu ministerstwu 8 stycznia 1876 r. „W sprzeczności z potrzebą narodu zjednoczenia się na polu ekonomicznem — czytamy tam — w przeciwstawieniu do jednolitéj administracyi poczty i telegrafów, pozostają drogi żelazne, najdonioślejszy bez porównania środek komunikacyi, wbrew konstytucyi niemieckiéj, która w paragrafie 42 i następnych, jednolite ich zespolenie przepisuje, w stanie rozdrobnienia i rozbicia, przejętego w spuściźnie po dawnych odmiennych stosunkach politycznych i ekonomicznych". Pismo kanclerza omawia następnie niedostateczność konkurencyi dróg państwowych, kosztowność administracyi prywatnéj na porozrywanéj na liczne części sieci dróg żelaznych, chaos taryfowy z 1400 taryfami, nieuwzględnienie potrzeb ogółu i ewentualne trudności w razie wybuchu wojny. Przechodząc

do charakterystyki dróg prywatnych, twierdzi, że „samodzielne i mimo wszystkich przepisów prawnych, nie dające się skontrolować panowanie towarzystw kolejowych nad ważnemi interesami społecznemi całych prowincyi, przemienia administracyą wielkiéj kolei prywatnéj w istotny rząd partykularny, który czuje w sobie powołanie, potęgę i siłę kierowania ruchem gospodarczym, z pominięciem interesu ogólno-państwowego, jedynie w celu osiągnięcia zysków dla prywatnego przedsiębiorstwa akcyonaryuszy. Koleje żelazne są według swego przeznaczenia i zastosowania publiczną instytucyą komunikacyjną... charakter ich spekulacyjny tylko o tyle uwydatniać się może, o ile to się zgadza z zasługującém na pierwszeństwo dobrém ogólném. Odpowiednio do téj sankcyonowanéj przez prawodawstwo i wskazanéj dobrem państwowém zasady, uważano stale, zlecenie budowy i ruchu dróg żelaznych prywatnym tylko, jako przejściowy stosunek, zaś nabycie ostateczne dróg prywatnych na rzecz państwa, jako coś naturalnego, co się samo przez się rozumiało“. Na przypadek, gdyby drogi państw sąsiednich — po za granicami Niemiec — przejść miały w posiadanie rządowe, a Prusy i Niemcy pozostały przy swém rozbiciu, wtedy ucierpiałby handel krajowy, zdany postronnym mocarstwom na łaskę i niełaskę. „Konstytucya rzeszy, czytamy daléj, w zgodzie z ideą narodową i potrzebami komunikacyi i obrony kraju domaga się, jednolicie ułożonego systemu dróg żelaznych, podniesienia tychże na stanowisko prawdziwie narodowéj instytucyi komunikacyjnéj“. Wielce zajmujące są, z powodu ich dwulicowości, objaśnienia kanclerza, dla czego przenosi energiczną akcyę na drodze polityki kolejowéj z Prus do Niemiec. Rozszerzeniem kolei pruskich państwowych powiększyłby się partykularny wpływ Prus na losy Niemiec, natomiast koleje w ręku rzeszy stanowić będą środek do wzmocnienia jednoczących węzłów narodowych. Zbyt sztuczne to rozróżnianie wpływów partykularnych Prus i Niemiec, gdyż wobec widocznéj przewagi Prus w Niemczech, wobec tego, że król pruski jest zarazem cesarzem niemieckim, wzmocnienie centralnéj siły w Niemczech wyszłoby głównie na korzyść pruskim wpływom i poglądom. Odczuły to natychmiast instynktownie państwa związkowe, u których separatyzm i partykularne poglądy dotąd nie wymarły.

Gdy mimo to mowa tronowa, zagajająca sejm 19 stycznia 1876 r., ani wzmianki nie poświęciła sprawie poruszonéj przez usłużne księciu kanclerzowi pióro, opozycya na chwilę odetchnęła. Obrady ministeryalne ówczesne oczywiście osłonione były jak najściślejszą tajemnicą. Wkrótce jednak znowu wieści, podobne dawnym, zaczęły krążyć po gazetach, a rozczarowanie nastąpiło zupełne, gdy pod koniec marca

przedłożono sejmowi pruskiemu projekt, odpowiadający zupełnie szerzonym poprzednio pogłoskom. W motywach zaś do prawa, ułożonych w pruskiém ministeryum, umieszczono na wyraźne życzenie Bismarcka, przestrogę dla opozycyjnych rządów niemieckich, że jeżeli projekt upadnie, natenczas Prusy postarają się o rozszerzenie swojéj sieci kolejowéj, czyli, innemi słowy, że zagrożą swą przewagą samodzielną politykę kolejową rządów partykularnych. Wniosek rządu przyjęto téż istotnie w sejmie pruskim, lecz w Saksonii, Bawaryi i Wirtembergii podniósł zagrożony partykularyzm odważnie głowę i znalazł silne poparcie w swych reprezentacyach sejmowych. W sejmie bawarskim odpowiedział minister Pfretzschmer na interpelacyą posła partyi katolickiéj Freytaga, że „rząd bawarski nietylko praw wyjątkowych sobie przyznanych nigdy się nie wyrzecze, lecz zarazem wszystkiemi środkami prawnemi oprze się centralizacyi dróg żelaznych po za granicami Bawaryi się znajdujących“. Sejm saski przyjął 66 głosami przeciwko 7 wniosek, aby „rząd wnioskom wystosowanym do rady związkowéj, zamierzającym nabycie wszystkich lub części kolei żelaznych niemieckich przez rzeszę, odmówił swego poparcia“. A nawet choćby podobny projekt nie miał być rządowi saskiemu przedłożonym, ma i bez tego przedstawić kanclerzowi rzeszy swe zastrzeżenia przeciwko podobnym zamiarom. Minister Friesen w swéj odpowiedzi zaznaczył, że stanowisko rządu królewsko - saskiego w sprawie kolejowéj zbyt jest znane, aby potrzeba było jakichkolwiek z jego strony objaśnień. Wnioskowi o prawo kolejowe dla całych Niemiec, stawionemu przez mniejszość, któréj przewodził profesor Biedermann oparł się minister stanowczo, a winę nieurzeczywistnienia reformy taryfowéj, spędził na zły system alzacko-lotaryński i gnuśną nieudolność urzędu kolejowego.

Pod wpływem zagrażających drobnym państwom związkowym zapowiedzi, zabrano się natychmiast w Saksonii do układów o zakupno kolei prywatnych, by na wszelki wypadek tém silniejsze zdobyć dla siebie stanowisko wobec rządu centralnego cesarstwa. Przepłacono jednę z najstarszych kolei niemieckich lipsko-drezdeńską, a uczyniono to na wieść o pruskich usiłowaniach, byle tylko rzesza czasem ręki po nią nie wyciągnęła. Wówczas udało się Saksonii przeprowadzić u siebie czysty system kolei państwowych. Równocześnie nie zasypiały Prusy sprawy, i pod koniec czerwca postawiły w sejmie wniosek, by przejąć na siebie gwarancyę i administracyą linii berlińsko-drezdeńskiéj. W ten sposób miał urzędnik kolejowy pruski, jak się złośliwie wyraża bezimienna współczesna broszura, „dotrzéć aż do serca państwa saskiego“. Nie można się dziwić, że w tych warun-

kach organ dworu saskiego zaciętą prowadził polemikę przeciwko kolejowym projektom kanclerza. Dodajmy dla uprzytomnienia sobie, jak wówczas wrzały umysły, że rozprawy w sejmach bawarskim i saskim nastąpiły jeszcze przed ogłoszeniem projektów pruskich, jedynie na samą wieść o nich.

W Wirtembergii znalazł ks. Bismarck gorliwego obrońcę w osobie wspomnianego już posła parlamentu Elbena. W organie poczytnym bardzo w Szwabii wirtemberskiéj pisał Elben gryzącém piórem, że „partykularyści, ultramontanie i radykaliści w nowéj polityce kolejowéj z ową bystrością wzroku, którą daje nienawiść, spostrzegli nową potężną dźwignię ekonomicznego podniesienia narodu, czemu jakoby instynktem swym wiedzeni, w samym początku oponować muszą“. W sejmie jednak wirtemberskim zwolennik kanclerza nie znalazł poparcia, gdyż za wnioskiem jego tylko 6 oświadczyło się głosów. Dobitnie charakteryzuje panującą w Wirtembergii nieufność i niechęć dla zamiarów Bismarcka, że zaniechano z rozmysłem uporządkowania znajdującéj się w nieładzie statystyki kolejowéj, ażeby nie pozwolić, jak się wyrażano znacząco, każdemu wglądać do tych spraw, gdyż toby mogło powiększyć u niektórych apetyt na koleje wirtemberskie.

W osobnéj broszurze, skierowanéj głównie przeciw motywom dodanym do pruskiego prawa, oświadczyły skoalizowane prywatne koleje niemieckie, że jedynie odpowiednim jest czysto teoretyczny nadzór rzeszy. Wtedy albowiem, gdy rzesza również sama posiadać będzie na własność drogi żelazne, zejdzie z natury rzeczy ze stanowiska bezstronnego rozjemcy i stanie się przy sprawach spornych stroną interesowaną.

Prawo pruskie o przelaniu kolei na rzeszę, które taką wywołało wrzawę, upoważnia rząd pruski do zawarcia następnego układu z rządem niemieckim. Prusy ustępują Niemcom własności dróg żelaznych państwowych, za stosownem wynagrodzeniem; daléj praw swych wobec dróg prywatnych. Cesarstwo zaś przyjmuje na się wszystkie zobowiązania Prus wobec kolei i wchodzi w używanie praw wszystkich, które Prusom przysługiwały. Motywa do prawa podają zgodnie z istotném położeniem, że rozwój dróg państwowych pozostał w tyle po za prywatnemi. Wskutek wielkiego rozgałęzienia się dróg prywatnych, został nadzór nad niemi znacznie utrudnionym. Ponieważ zaś takowy, według konstytucyi zjednoczonych Niemiec, jest atrybucyą rządu cesarskiego, więc się mu oddaje, dla energiczniejszego przeprowadzenia nadzoru, koleje pruskie.

Zaraz po podpisaniu i potwierdzeniu nowego prawa przez króla

4 czerwca 1876, nawiązał kanclerz układy o zakupno dróg pruskich przez rzeszę. Był jednak przeciwnym połączeniu owych układów z ponownem przedłożeniem nowego prawa kolejowego ze strony Prus, ze względu na objawiającą się wszędzie w Niemczech partykularystyczną niechęć. Trzeba w téj sprawie, by nie popsuć powodzenia układów, uniknąć—jak pisał 12 czerwca 1876 r. — „taktycznego błędu“ wobec niemieckich rządów związkowych i tymże raczéj pozostawić inicyatywę w propozycyi prawa kolejowego. Równocześnie jako rozważny polityk pobudzał kanclerz, ze względu na ewentualność niekorzystnego przebiegu układów, energią swych kolegów pruskich na obradach ministeryalnych, w celu jak największéj konsolidacyi pruskich kolei państwowych. Z prawdziwém zajęciem śledzić można wysiłki ks. Bismarcka w przeprowadzeniu tych zamiarów, mianowicie, że spotykał się ciągle z przeszkodami, nie wyłącznie tylko przez związkowe państewka stawianemi. Przytoczymy dla przykładu, że na pismo obszerne z 12 czerwca 1876, wystosowane do ministra handlu Achenbacha nie odbierał żadnéj odpowiedzi; musiał mu więc, przypomniéć po upływie pół roku przeszło, w dniu 27 stycznia 1877 r. sprawę naglącą. A gdy nareszcie 8 lutego t. r. otrzymał odpowiedź, dowiedział się z niéj o tylu trudnościach, podnoszonych wobec zamierzonych układów kolejowych ze strony ministra finansów Camphausena, że nie mógł z żadną urzędową wiadomością stanąć przed parlamentem niemieckim. Nawet po roku sprawa z miejsca nie ruszyła, a na zapytanie posła opozycyjnego Richtera (25 lutego 1878) o losy projektu zakupna kolei pruskich przez Niemcy odpowiedział kanclerz wymijająco, że nic stanowczego zakomunikować nie może, gdyż brak mu dotąd rezultatu obrad wydziałowych w ministerstwie pruskiém. Odłożono więc rzecz *ad calendas graecas* i zwrócono się do sprawy pozytywniejszéj i bliższéj zaprowadzenia ładu we własnym domu w obrębie czarno-białych słupów granicznych, a w tym kierunku najczynniejszym był Maybach, który w marcu 1878 po ustąpieniu Achenbacha objął tekę ministra handlu [1]).

Niebawem po wyjaśnieniu sytuacyi zwrócono znowu baczniejszą uwagę na taryfy kolejowe. Wspomnieliśmy, że sprawa reformy taryfowéj znaczne przedstawiała trudności, raz z powodu braku jednolitéj organizacyi kolei niemieckich, a po drugie, że względne zalety tego lub owego „zbawczego“ systemu, nie mogły wyłącznie kwestyi rozstrzy-

---

[1]) Dodajemy dla objaśnienia karyery ministeryalnéj Maybacha, że w roku 1879 oddzielono sprawy handlowe i przemysłowe z pod jego kompetencyi i zamianowano go ministrem robót publicznych.

gnąć, albowiem trzeba było w równéj mierze uwzględnić powodzenie finansowe przedsiębiorstw kolejowych. Stanowisko państwa w sprawie taryf tém się różniło w Prusach od stanowiska towarzystw kolejowych prywatnych, że państwo stawało zwykle w obronie taryf obliczonych na podstawie wagi towaru i wielkości miejsca w wagonie zajmowanéj, a zwalczyć pragnęło taryfy różniczkowe, klasyfikowane podług wartości transportu i innych względów. Nie można zaprzeczyć, że system taryfowy, zalecany przez państwo, był bardziéj przejrzysty i mniéj skomplikowany, aniżeli dyferencyalny z często dowolnemi i zmieniającemi się klasyfikacyami wartości towarów. Dogodną zawsze miało państwo sposobność wpływania na taryfy przy każdorazowém udzieleniu koncesyi. Lecz nigdzie w podobnym wypadku nie spotykamy się z przepisem uprawniającym rząd do zaprowadzenia tego lub owego systemu taryfowego, lub też do oznaczenia wysokości opłat przewozowych. Co do rozmiaru swobód nadawanych poszczególnym towarzystwom rząd ulegał istniejącym prądom, które się zaznaczały w całości ekonomicznego życia. Mianowicie w siódmym dziesiątku bieżącego stulecia i w czasach po wojnie francuskiéj, gdy panowały wszędzie teorye jak najswobodniejszego, niczem nie krępowanego ruchu gospodarczego, pozostawiono w zupełności wybór normowania taryf zarządom kolejowym. Rozporządzeniem z r. 1863 wezwał rząd koleje prywatne do ustanowienia taryf konkurencyjnych i upoważnił administracyę dróg państwowych do zmieniania wysokości taryf podług przykładu towarzystw prywatnych. Nastało wskutek tego obok wielu niedogodności i zamieszania obniżenie się taryf na całéj linii. Stosunki poczęły się zmieniać od r. 1874 i 1875, a rozporządzenie ministeryalne z 21 lutego 1878 r. uchyliło moc dawniejszego z r. 1863 ze względu na zmienione położenie gospodarstwa krajowego. Odtąd zmiany w opłatach przewozowych nastąpić mogły jedynie za zgodą rządu.

Potrzebę wzajemnych układów z kolejami obcemi wywołały głównie transporty przechodzące bezpośrednio przez linie, do rozmaitych towarzystw i krajów należące. Z układów tych powstał ogólny związek kolejowy, który w początku r. 1886 obejmował 65 tysięcy kilometrów linii kolejowych. Celem głównym związku jest zastosowanie dla przewozu osób i towarów jednakich urządzeń na wszystkich liniach. W tym kierunku dokonał związek zaprowadzenia tego samego regulaminu normującego ruch kolejowy na wszystkich kolejach zjednoczonych. Regulamin ów wprawdzie jest tylko kopią regulaminu ogólno niemieckiego, lecz tę ma wielką doniosłość, że z powodu międzynarodowego charakteru związku, stanowi zarazem o ruchu na zje-

dnoczonych liniach krajów sąsiednich. Związek odbywa corocznie obrady, gdzie o wspólnych sprawach decyduje większość głosów, dla uchwał taryfowych jednakże potrzebna jest zgoda wszystkich zarządów. Osądzić stąd łatwo, że na tym punkcie tylko z jaknajwiększą trudnością zachodzić mogą zmiany i reformy. Widzimy też, że to, co związek w kierunku zmian taryfowych zdziałał, jest niewielkiego znaczenia i dotyczy tylko ruchu osobowego. Jak wiadomo, zasługą związku kolejowego jest wprowadzenie biletów okrężnych za zniżoną opłatą.

Zamiary rządu pruskiego z r. 1876 spowodowały zwrot korzystny w rozwoju polityki taryfowéj. Pod grozą pogłosek o zamysłach kanclerza, skierowanych ku wykupieniu dróg prywatnych, koleje prywatne powzięły inicyatywę w sprawie reformy taryfowéj, a rządy związkowe z tych samych pobudek również się jéj teraz przychylnemi okazały. Na konferencyach taryfowych, odbytych w Lipsku w kwietniu 1876 r., miały pruskie koleje państwowe swych przedstawicieli, którzy jednak w głosowaniach udziału nie brali. Postanowiono naówczas wystosować do wszystkich zarządów kolei niemieckich wezwanie do obrad nad zaprowadzeniem jednolitych taryf. Zarządy kolei państwowych pruskich i niemieckich (t. j. alzacko-lotaryńskich) wezwaniu temu uczyniły zadość i obesłały konferencye, zwołane do Drezna. Przyjęte tam uchwały, znalazły uwzględnienie rady związkowéj, a ostatecznie ustanowiono na zwołanéj na 12 lutego 1877 r. do Berlina konferencyi, jednolite taryfy, które jednak dopiéro po usunięciu rozmaitych przeszkód w r. 1880 w życie wstąpiły. Nowe taryfy, co do zasady ogólnéj, oparte są na systemie mieszanym. Usunięto przedewszystkiém nadmiar klasyfikacyi towarów. Dla drobnych przesyłek klasyfikacye ustały zupełnie, dla przesyłek zajmujących całe wagony ograniczono je znacznie i uregulowano. W połączeniu z nową reformą ustanowiono komisyą, złożoną z przedstawicieli dróg państwowych i prywatnych z obowiązkiem czuwania nad dalszym rozwojem spraw taryfowych; obok niéj istnieje wydział komunikacyjny, złożony z mianowanych przez poszczególne rządy przedstawicieli handlu, rolnictwa i przemysłu. Sprawozdania i uchwały swe przedkładają te komisye generalnéj konferencyi kolei niemieckich, która o ich przyjęciu lub odrzuceniu rozstrzyga. Do prawomocności tych uchwał wymaganém jest potwierdzenie poszczególnego związkowego rządu, które z reguły bez trudności udzielane bywa. W ten sposób znikają stopniowo szkodliwe przepisy, przechowane z dawnéj praktyki i wiele taryf obniżonych zostało uchwałami wspomnianych komisyi i organów państwowych.

Przy zmianie taryf zwrócono także pilną uwagę na wpływ opłat transportowych na dowóz i przewóz towarów zagranicznych. W kwietniu 1877 r. orzekła rada związkowa, że taryfy szkodliwe dla krajowego rolnictwa i przemysłu winny być uchylone, i że przy dokonywającéj się reformie taryfowéj, rządy związkowe nie pozwolą na to, aby produktom zagranicznym na niekorzyść zarobkowości niemieckiéj jakiekolwiek specyalne uwzględnienia i przywileje w taryfach udzielane były. Ks. Bismarck energicznie i bezustannie parł w tym kierunku, ażeby przy nowym zwrocie w polityce kolejowéj, nie spuszczano z oka nader doniosłego znaczenia dróg żelaznych, jako regulatorów życia społecznego i ekonomicznego. One mu miały być pomocne do przeprowadzenia tendencyi handlowo-ekonomicznych wobec zagranicy. Usiłowania te stały w organicznym związku z porzuceniem polityki wolnéj wymiany i przejściem do systemu protekcyjnego. A że kanclerz sam rozległe posiadał majętności ziemskie, więc praktyczne miał zrozumienie dla potrzeb rolnictwa krajowego i przy reformach taryfowych nie przestawał przypominać urzędowi kolejowemu, by nie krzywdzono rolnictwa wysokiemi taryfami. W grudniu 1877 r. pisze do prezesa wspomnionego urzędu radca Tiedemann, że księciu się wydaje, jakoby zarządy kolejowe ciągle jeszcze trzymały się zasady ułatwiania transportu obcych, a utrudniania krajowych produktów i to „czysto ze względów finansowych lub wygody.“ W grudniu następnego roku zwracał kanclerz ponownie uwagę kół decydujących na owe nienormalne stosunki, a korespondencye jego urzędowe wykazują, że pragnął swym poglądom dać formę prawa i za karygodne uznać przywilejowanie obcych produktów przy transporcie kolejowym. Minister robót publicznych, Maybach, zajmował w sprawie taryf różniczkowych zgodne ze swym szefem stanowisko. W obradach sejmowych często wypowiadał przeświadczenie, że o taryfach decydować jedynie mogą względy ogólnego dobrobytu, nie zaś względy uboczne. „Przedewszystkiém, nie mogę dopuścić,—odezwał się raz,—ażeby zagraniczne produkta przy transporcie wyszczególniano obniżką opłat.“ Późniéj, przy innéj sposobności przypomniał złe skutki rozdrobnienia sieci dróg żelaznych na niezliczone samodzielne części, które mimo najściślejszego nadzoru, zdołają z pobudek zysku prowadzić politykę szkodliwą krajowi. Szczególniéj więc téż zwracał uwagę posłów na okoliczność, że polityka wszelka, zmierzająca do opieki nad zarobkowością krajową, paraliżowana być może na rozległą miarę ułatwianiem dowozu towarów obcych przez niskie taryfy. Przytoczył przytém zdanie jednego z posłów ówczesnego sejmu, wypowiedziane jeszcze w r. 1873, że ta mu pozostaje wielka pociecha, iż taryfami kolejowemi neutralizować można skutecznie taryfy celne.

Mimo urzeczywistnienia reformy taryfowéj, przechowały się jeszcze różnice dotkliwe w praktyce. Pozostała bowiem, jako spuścizna po dawnéj indywidualistycznéj gospodarce kolejowéj, nietkniętą wysokość opłat. Dozór nad tym punktem polityki taryfowéj zachowały sobie rządy poszczególnych krajów. Nie usunięto zatém możliwości tak rozmaitego normowania opłat, iż owa jedność systemu mogła pozostać czczą formą. W miejsce jednolitego nadzoru i rozumnéj opieki nad przedsiębiorczością prywatną w obrębie całéj unii ekomicznéj Niemiec, zapanować mogą wywołane dowolnością drobnych rządów sztuczne warunki w pojedyńczych dzielnicach, sprzyjające pewnym okolicom lub gałęziom przemysłu z krzywdą innych. Różnobarwność zachodzących w Niemczech stosunków przedstawiło najlepiéj sprawozdanie urzędu kolejowego z września 1879 r. Spotykamy w niém 63 taryfy lokalne, 184 związkowe, a specyalnych przeszło 350. Dla dopełnienia trudności zoryentowania się w téj bogatéj kolekcyi, składały się taryfy związkowe znowu z kilku, a między niemi środkowo-niemiecka z 33 zeszytów z 374 dodatkami.

Podobne spostrzeżenia spowodowały rząd niemiecki do stawienia pytania, czyby nie można przynajmniéj sprawy taryfowéj uregulować drogą prawa. W lutym 1879 r. stawił téż kanclerz bardzo obszernie umotywowany wniosek radzie związkowéj, aby uchwaliła ułożenie prawa taryfowego. Nie możemy opisywać zajmujących starć zaszłych między separatyzmem niemieckim a dążnościami unifikcyjnemi, boby nam zbyt wiele zajęły czasu i miejsca. Ułożony projekt po prostu do kosza wrzucono. Niepowodzenie to, według świadków klasycznych, niespodzianką było zupełną dla Bismarcka i przychylnych mu kół rządowych.

Za wpływem kanclerza i Maybacha zabrał się rząd pruski do przyśpieszenia układów o zakupno linii prywatnych. W *votum* swém z 14 lipca 1879 r. uznał Bismarck sprawę upaństwowienia dróg żelaznych za najważniejsze zadanie dla mającego się zwołać sejmu pruskiego, który się téż mistrzowi swemu posłusznym okazał. Nabyto właśnie na mocy praw z 20 grudnia 1879 r. i 14 lutego 1880 r. dwie wielkie koleje żelazne, więc zamierzona reforma tém rozleglejszą zyskała materyalną podstawę. Przeprowadzono w Prusach, czego nie zdołano urzeczywistnić w Niemczech.

Publiczność interesowana sprzyjała reformie, nastało bowiem obniżenie opłat przewozowych i ekspedycyjnych, a szczególniéj uwzględniano towary transportowane w wielkich ilościach. Otoczono mianowicie opieką rządową produkcyę węgla kamiennego, nie bacząc na zmniejszone z powodu wielkiéj obniżki dochody i czyniono to

w przypuszczeniu, że otworzeniem coraz to nowych pól zbytu dla węgla, powiększony ruch powetuje wkrótce chwilowy ubytek. A jak wogóle w życiu ekonomiczném jeden czynnik na drugi oddziaływać i wpływać musi, tak i w rozpatrywanym przez nas wypadku ożywiony na nowych podstawach ruch kolejowy w Prusach, spowodował zaprowadzenie podobnych reform po niektórych kolejach niemieckich, które łącznie z Prusami wspólne obecnie mają biuro obrachunkowe w Hanowerze. W ten sposób dana była podstawa do ogólniejszych zestawień statystycznych, które ogłaszane od r. 1883 najlepszy dają materyał nietylko do ocenienia zawiłych spraw polityki taryfowéj, lecz i życia gospodarczego wogóle. Już w r. 1886 na dwóch trzecich obszaru geograficznego Niemiec, znajdowały się jednakowe normalne opłaty transportowe.

W organie oficyalnym rządu pruskiego ogłoszono swego czasu sprawozdanie, które minister Maybach złożył cesarzowi. Dowiadujemy się z niego, z jak skuteczną energią przeprowadzono upaństwowienie dróg żelaznych w Prusach. Pod koniec 1878 r. liczono tamże wogóle 17,680 kilometrów kolei, suma ta zawierała w sobie 4,800 kilometrów dróg państwowych, 3,450 prywatnych administrowanych przez państwo i 9,430 dróg pod własnym zarządem prywatnym. W r. 1888-ym pod koniec marca odbywał się ruch kolejowy już na 22,420 kilometrach dróg państwowych.

Z ostatniego rocznika pisma „*Archiv für Eisenbahnwesen*“, wydawanego przez ministeryum robót publicznych, dowiadujemy się, że w roku obrachunkowym 1890/91 koleje państwowe pruskie miały 25,639 kilometrów długości, nie licząc w to budujących się właśnie 2,192 kilometrów; natomiast koleje prywatne łącznie z liniami związkowych państw przerzynającemi terytoryum pruskie tylko 2,169. Zarząd kolei państwowych sprawowany jest przez 11 dyrekcyi i 75 pomniejszych urzędów (*Betriebsämter*), którym zlecony jest bezpośredni nadzór nad ruchem kolejowym, a dla skromnego kompleksu dróg prywatnych istnieje 59 samoistnych zarządów. Skoro już zabrnęliśmy w liczby, pozwolimy sobie przytoczyć, że koszta upaństwowienia kolei żelaznych w Prusach wynosiły od r. 1872 do 1890 okrągłe 4,190 milionów marek, czyli że każdy kilometr kosztował przeciętnie państwo 292 tysiące marek.

Mimo tak ogromnego obciążenia budżetu przez zakupno dróg prywatnych, przy wzorowéj administracyi, która była dziełem Maybacha, zyski dla kas państwowych były bardzo znaczne. Dawniejszy burmistrz Frankfurtu nad Menem, a obecny minister finansów, Miquel, zwrócił w swéj mowie budżetowéj z 20 listopada 1890 r. uwagę sejmu

na doniosłe znaczenie finansowe dochodów z kolei żelaznych. „Dług państwowy w téj chwili—mówił Miquel—ogółem 5,800 milionów wynosi. Nic w tém jednak zatrważającego! Mamy bowiem w zamian ekwiwalent dostateczny. Koleje nasze same są w tém położeniu, że zdołają nietylko opłacić procenta długu państwowego, lecz zarazem i w odpowiedni sposób amortyzować. Reszta własności fiskalnych może być zupełnie wykluczoną z rachuby. Od r. 1882 do 1889/90 wynosiły zyski z dróg żelaznych 1,782 milionów, na oprocentowanie użyto z tego 1,158 mil., z pozostałéj zaś reszty 624 mil., użyto na umorzenie długu kolejowego 391 milionów, a 233 mil. marek na bezpośrednie pokrycie zwyczajnych wydatków etatowych.“ To oświadczenie dokładnie ilustruje znaczenie spraw kolejowych w całéj organizacyi państwowéj i ekonomicznéj Prus. Dodajmy dla bliższego porównania z cyfr budżetu na rok 1890/91, że suma dochodów z podatków bezpośrednich wynosi 165 milionów, z dróg żelaznych zaś 853 mil. marek. Zliczywszy wszystkie pozycye, otrzymujemy jako ogólną sumę dochodów państwowych 1,593 milionów, koleje więc żelazne w niéj przeszło połowę zajmują. Gdyby zatém odjęto państwu dochody kolejowe, wypadłoby podwyższyć kilkakrotnie już obecnie dość wysokie podatki, nimby zdołały wyrównać potrzebom budżetu.

Ześrodkowanie tak wielkich organizacyi gospodarczych w ręku państwa mieści jednak zarazem w sobie niebezpieczeństwo, którego przeoczyć nie można. Prąd obecny w sferach rządowych Prus i Niemiec ma ten kierunek, by coraz to więcéj zagarnąć elementów prywatnego przedsiębiorstwa pod swą opiekę—jeżeli tego łagodnego wyrazu użyć można. Żywiołom komunistycznym i socyalistycznym to na rękę, gdyż w chwili wywrotu znajdą one grunt przygotowany i drogi uproszczone do rozpostarcia swego panowania. Zapora najtrwalsza przeciwko wszelkim przewrotom społecznym, jaką są silne i liczne ekonomiczne jednostki, kierowane duchem przedsiębiorczym, słabnąć pocznie; a natomiast spotężnieje liczebnie armia stanu urzędniczego o bezbarwnych przekonaniach i pragnieniach, przywykła do słuchania rozkazów, wychodzących od osób dzierżących chwilowo władzę. Jeżeli zaś upaństwowienie dróg żelaznych w Prusach pod względem administracyjnym tak łatwo się dokonało, przypisać to należy nie w małym stopniu przeciętnéj uczciwości urzędnika pruskiego, lub też ścisłemu nadzorowi kierowników, którzy baczną na niego mają uwagę. Stan urzędniczy, przywykły do korupcyi, najokropniejsze byłby wywołał rozczarowanie i najfatalniejsze następstwa dla moralnego znaczenia rządu i dobrobytu materyalnego pracowitéj ludności. Jest to czynnik, którego nie można z matematyczną ścisłością przedstawić,

lecz każdy mąż stanu z nim się liczy przy wkraczaniu państwa w dziedzinę zarobkowości prywatnéj. Zepsucie może mieć najrozmaitsze odmiany. Przytoczymy dla przykładu zdanie zupełnie uzasadnione, które często można słyszéć, że we Francyi upaństwowienie dróg żelaznych byłoby nieszczęściem dla kraju. Powodem tego system rządzenia. Wskutek wielkiego wpływu deputowanych i polityków wogóle na obsadzanie posad rządowych, dostawałyby się ubocznemi drogami najnieodpowiedniejsze osobistości do administracyi kolejowéj. Wybryki chwilowego usposobienia politycznego działałyby szkodliwie na instystucyą ekonomiczną, wymagającą spokojnego rozwoju. Obcą też jest wpływowym kołom francuskim myśl upaństwowienia kolei.

*W. Z.*





# MONETYZACYA SREBRA

## W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Trzy miesiące prawie temu, bo 29 stycznia, bieżącego roku, zgasł niespodzianie William Windom, sekretarz skarbu, po naszemu minister finansów Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj, po wygłoszeniu na dorocznym bankiecie izby handlowéj Nowego-Yorku, znakomitéj mowy, energicznego protestu przeciw „*free coinage bill*,“ przeciw prawu nieograniczonego wybijania monety srebrnéj. Wywody Windoma były tak jasne, sprawa poruszana tak ważna, że zachęciła nas do bliższego rozpatrzenia się w jéj przedmiocie. Poniżéj pozwolimy sobie przytoczyć jeden z ustępów téj mowy, charakteryzującéj nietylko szeroką wiedzę zmarłego, lecz i gorącą miłość kraju, jaką ten mąż stanu był ożywiony. Bez tego rodzaju mężów, bez ich wieloletniéj, niezmordowanéj pracy, bez codziennych nieustannych zabiegów około oświecania opinii publicznéj o najdonioślejszych kwestyach gospodarstwa narodowego, niepodobna wyobrazić sobie istnienia, rozrostu tego potężnego gmachu, który znamy pod nazwą unii północnéj Ameryki.

Dla nas, mieszkańców drugiéj półkuli, chociaż na razie sprawa mono- lub bi-metalicznego obiegu nie posiada palącego interesu, i dla nas jednak sprawa waluty jest bardzo doniosłego znaczenia. Nie myślimy tu wyliczać szkód, jakie chwiejność naszéj np. waluty powoduje, ani zastanawiać się nad położeniem finansów państwa do-

tkniętego niemocą papierowego obiegu, wobec zobowiązań publicznych i prywatnych, pisanych na papierową lub metaliczną walutę, mianowicie zobowiązań długoterminowych, jak wszelkie obligi, listy zastawne i tym podobne, gdzie wierzyciel i dłużnik niepewni są swéj przyszłości; rozumiemy tylko, że może niedługo i prędzéj, niż sądzimy, praktyka życia postawi przed nami zagadnienie o walucie metalowéj. Szczęśliwi będziemy, jeżeli poniżéj przytoczone uwagi, choćby drobną cząstkę oczekiwanych wątpliwości potrafią rozjaśnić.

W Stanach Zjednoczonych, po ciężkiéj wojnie domowéj w 1864 roku zakończonéj, borykano się lat piętnaście przeszło do schyłku r. 1879 z przymusowym kursem dolara papierowego; zanim równię kursu złota dla papierowéj monety osiągnąć zdołano. Obecnie, gdy pewna frakcya tamtejszego społeczeństwa, przez wprowadzenie prawa o nieograniczoném wybijaniu monety srebrnéj, grozi naruszeniem osiągniętéj równowagi, zmarły minister ostatniém swém słowém, a banki, kupiectwo, wszyscy, których nie olśniła doktryna Blanda, zakładają protest, wytężają wszystkie argumenta, by nie dopuścić przewagi srebra nad złotem, zwłaszcza, że narody w cywilizacyi, handlu i przemyśle przodujące, dotąd na równouprawnienie obudwu metali „zgodzić się nie mogą.

Przedewszystkiém zaznaczyć musimy, że podobnie jak w motywach sławetnego bilu Mac-Kinleya, brał górę nad interesem całego społeczeństwa interes prywatny pewnéj gruppy producentów, tak i w sprawie nieograniczonego puszczania w obieg srebra, obok pobudek rzekomo ogólnego dobra, nietrudno dopatrzéć się ręki właścicieli kopalń srebra i spekulantów, grających na zwyżkę ceny tego kruszcu.

Już same cyfry produkcyi szlachetnych metalów w Stanach Zjednoczonych dają wskazówkę, że o jednostronném równouprawnieniu złota lub srebra nie może być mowy. Podług rocznego sprawozdania o drogich kruszcach firmy Wells, Fargo et C-o w roku 1890, wynosiła produkcya w Stanach Zjednoczonych na zachód od rzeki Missuri położonych, łącznie z angielską Kolumbią: złota na 32,156,916 dolarów, srebra na 62,930,831 dol., miedzi na 20,580,092 dol., ołowiu na 11,509,571 dol., razem 127,166,410 dol. Srebro liczono po 104 centy za uncyę, miedź po 14 centów za funt angielski, ołów po 4 dol. 30 centów za 100 funtów.

W ostatnich 20 latach stosunek produkcyi złota i srebra przedstawiał się jak następuje:

| rok | srebro | złoto |
|---|---|---|
| 1870 | 17.320,000 | 33,750.000 |
| 1871 | 19,286,000 | 34,398,000 |
| 1872 | 19,924.429 | 38,177,395 |
| 1873 | 27,483,302 | 39,206,558 |
| 1874 | 29,699,122 | 38,466,488 |
| 1875 | 31,635,239 | 39,968,194 |
| 1876 | 39,292,924 | 42,886,935 |
| 1877 | 45,846,109 | 44,880,223 |
| 1878 | 37,248,137 | 37,576,030 |
| 1879 | 37,032,857 | 31,470,262 |
| 1880 | 38,033,055 | 32,559,067 |
| 1881 | 42,987,613 | 30,653,959 |
| 1882 | 48,133,039 | 29,011,818 |
| 1883 | 42,975,101 | 27,816,640 |
| 1884 | 43,529,925 | 25,183,567 |
| 1885 | 44,516,599 | 26,393,756 |
| 1886 | 52,133,851 | 29,561,424 |
| 1887 | 50,833,884 | 32,500,067 |
| 1888 | 53,152.747 | 29,987,702 |
| 1889 | 64.808,637 | 32,527,661 |
| 1890 | 62,930,831 | 31.795,361 |

Wywóz srebra wynosił w r. 1890 do Japonii, Chin, Indyi — z Londynu 41,173,444 dolarów, z San-Francisco 6,800,865 dol., razem 47,974,309 dolarów, gdy w r. 1889 eksportowano srebra za 57,654,712 dolarów. Zmniejszanie wywozu pochodzi głównie z podwyższenia ceny srebra na rynku międzynarodowym, wywołanego przez spekulacyą na zwyżkę w Ameryce.

O ileby produkcya srebra w St. Zjednoczonych nie wzrastała, a cyfra wywozu pozostawała na przyszłość bez zmiany, to mniemają ogólnie, iż w razie zastosowania nowego prawa, za 24 do 30 milionów dolarów przybywałoby corocznie więcej znaków obiegowych srebrnych, po nad ilości dotąd wedle billu Blanda w obieg puszczanych.

Otóż, taki przyrost znaków obiegowych na razie nie miałby w sobie nic przestraszającego, gdyby nie skutki, mogące się objawić już w niedalekiej przyszłości.

Zanim jednak pomówimy o skutkach nieograniczonego powiększania ilości srebrnych znaków obiegowych, powinniśmy rozpatrzeć się w stosunku zapasów złota i srebra, będącego w obiegu w postaci monety na całym świecie.

W sprawozdaniu za rok ubiegły dyrektora mennicy Stanów Zjednoczonych, p. Leech, znajdujemy:

Przybliżona wartość złota i srebra w obiegu na całej kuli ziemskiej.

| | | złoto | srebro |
|---|---|---|---|
| Stany Zjednoczone Ameryki półn. . | dolarów | 702,018,869 | 482,071,346 |
| Wielka Brytania . . . . . . . . | „ | 550,000,000 | 100,000,000 |
| Francya . . . . . . . . . . . | „ | 900,000,000 | 700,000,000 |
| Niemcy . . . . . . . . . . . | „ | 500,000,000 | 145,000,000 |
| Belgia . . . . . . . . . . . | „ | 65,000.000 | 55,000,000 |
| Włochy . . . . . . . . . . . | „ | 140,000,000 | 60,000,000 |
| Szwajcarya . . . . . . . . . | „ | 15,000,000 | 15,000,000 |
| Grecya . . . . . . . . . . . | „ | 2,000,000 | 4,000,000 |
| Hiszpania . . . . . . . . . . | „ | 100,000,000 | 125,000,000 |

| | | Złoto | | Srebro |
|---|---|---|---|---|
| Portugalia | „ | 40,000,000 | — | 10,000,000 |
| Austro-Węgry | „ | 40,000.000 | — | 90,000,000 |
| Holandya | „ | 25,000,000 | — | 65,000,000 |
| Unia Skandynawska | „ | 32,000,000 | — | 10,000.000 |
| Rosya | „ | 190.000.000 | — | 60.000.000 |
| Turcya | „ | 50.000,000 | — | 45,000.000 |
| Australia | „ | 100,000.000 | — | 7,000.000 |
| Egipt | „ | 100.000,000 | — | 15,000,000 |
| Meksyk | „ | 5.000,000 | — | 50,000,000 |
| Ameryka Środkowa | „ | — | — | 500,000 |
| Ameryka Południowa | „ | 45.000.000 | — | 25,000,000 |
| Japonia | „ | 90,000.000 | — | 50,000,000 |
| Indye | „ | — | — | 900.000.000 |
| Chiny | „ | — | — | 700,000.000 |
| Archipelag Indyjski | „ | — | — | 100,000,000 |
| Kanada | „ | 16,000,000 | — | 5,000,000 |
| Kuba, Haiti etc. | „ | 20.000.000 | — | 2,000.000 |
| | Razem | 3,727,018,869 | — | 3,820,571.346 |

Pan Leech podaje daléj tabelkę, w któréj klasyfikuje wszystkie w obiegu będące pieniądze srebrne, na posiadające prawną równowartość ze złotem we wszelkich wypłatach i nieposiadające téj równowartości, więc na takie, które tylko w drobnych sumach funkcye prawnéj zapłaty spełnić mogą:

| | | pełna wart. | | wart. względ. |
|---|---|---|---|---|
| w Wielkiéj Brytanii | dolarów | — | — | 100,000,000 |
| „ Francyi | „ | 650,000,000 | — | 50,000,000 |
| „ Niemczech | „ | 102.000,000 | — | 43,000,000 |
| „ Belgii | „ | 48,400,000 | — | 6.600,000 |
| „ Włoszech | „ | 25,800.000 | — | 34,200.000 |
| „ Szwajcaryi | „ | 11,400.000 | — | 3.600,000 |
| „ Grecyi | „ | 1.800,000 | — | 2.200,000 |
| „ Hiszpanii | „ | 90,000,000 | — | 35,000,000 |
| „ Portugalii | „ | — | — | 10,000,000 |
| „ Austro-Węgrzech | „ | 90.000,000 | — | — |
| „ Holandyi | „ | 61,800,000 | — | 3,200,000 |
| „ Unii Skandynawskiéj | „ | — | — | 10.000.000 |
| „ Rossyi | „ | 22,000,000 | — | 38,000,000 |
| „ Turcyi | „ | — | — | 45,000,000 |
| „ Australii | „ | — | — | 7,000,000 |
| „ Egipcie | „ | — | — | 15,000,000 |
| „ Meksyku | „ | 50,000,000 | — | — |
| „ Ameryce Środkowéj | „ | 500,000 | — | — |
| „ Ameryce Południowéj | „ | 25.000,000 | — | — |
| „ Japonii | „ | 50,000.000 | — | — |
| „ Indyach | „ | 900,000,000 | — | — |

| | | pełn. part. | | wart. względ. |
|---|---|---|---|---|
| w Chinach . . . . . . . . . | „ | 700.000,000 | — | — |
| „ Archipelagu Indyjskim . . . | „ | 100.000.000 | — | — |
| „ Kanadzie . . . . . . . . | „ | — | — | 5,900.000 |
| „ Kubie, Haiti etc. . . . . . . | „ | 1,200,000 | — | 800.000 |
| | | 2,929,900.000 | — | 408,600,000 |

Zatem Europa posiada pieniędzy srebrnych o przymusowym kursie za 1,101,400,000 dolarów, co stanowi około 86% względnie do całéj ilości srebrnéj monety, w obiegu będącéj.

Franklin Lantz zadał sobie pracę wyrachowania, jakie ilości srebra może, bez wywołania ujemnych objawów, strawić organizm cyrkulacyi pieniężnéj Stanów Zjednoczonych. Aby dojść do rezultatu, rozpoczyna od wykazania, jaką była obfitość znaków obiegowych, poczynając od 30 Czerwca 1873 roku, wyłączywszy zapasy monety w skarbcu państwa.

| rok | | głów ludności | | suma w obiegu dolarów | | na głowę ludności |
|---|---|---|---|---|---|---|
| 1873 | — | 41.677,000 | — | 834.018.174 | — | 20.01 |
| 1874 | — | 42.796.000 | — | 862.547.123 | — | 20,15 |
| 1875 | — | 43,951,000 | — | 826.209.183 | — | 18.80 |
| 1876 | — | 45.137,000 | — | 807.587.668 | — | 17.89 |
| 1877 | — | 46.353,000 | — | 819,345.906 | — | 17.68 |
| 1878 | — | 47,598.000 | — | 825.377.684 | — | 17.34 |
| 1879 | — | 48.866.009 | — | 840,883,368 | — | 17.21 |
| 1880 | — | 50.155,783 | — | 995.369.219 | — | 19.85 |
| 1881 | — | 51.316,000 | — | 1,136.196.540 | — | 22.14 |
| 1882 | — | 52.495,000 | — | 1.196.073,984 | — | 22.78 |
| 1883 | — | 53,693,000 | — | 1,252,027,995 | — | 23,32 |
| 1884 | — | 54.911.000 | — | 1.259,623.532 | — | 22.94 |
| 1885 | — | 56.148.000 | — | 1,308,240,233 | — | 23,30 |
| 1886 | — | 57.404.000 | — | 1.268.250,956 | — | 22.09 |
| 1887 | — | 58,680.000 | — | 1.332.538.759 | — | 22.71 |
| 1888 | — | 59,974.000 | — | 1.387,982,842 | — | 23.14 |
| 1889 | — | 61.289,000 | — | 1.396,083.979 | — | 22.78 |
| 1890 | — | 62.622.259 | — | 1,450.900,186 | — | 23.17 |

W tym samym perjodzie było znaków obiegowych, łącznie z zapasami skarbu państwa:

| | | w skarbie | | na głowę | | razem | | na głowę |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| 1873 | — | 55,925.459 | — | 1,34 | — | 889,943,633 | — | 21.35 |
| 1874 | — | 75,716.573 | — | 1,77 | — | 938,203,696 | — | 21.92 |
| 1875 | — | 87,158,482 | — | 1,98 | — | 913,367,565 | — | 20.78 |
| 1876 | — | 96,606.028 | — | 2.14 | — | 904.193,696 | — | 20,03 |
| 1877 | — | 102,296.841 | — | 2.21 | — | 921,642.747 | — | 19,88 |
| 1878 | — | 164,040.821 | -- | 3.45 | — | 989.418,565 | — | 20,79 |

| | | w skarbie | | na głowę | | razem | | na głowę |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| 1879 | — | 215,009,098 | — | 4,40 | — | 1,055,892,466 | — | 21,61 |
| 1880 | — | 212,168,100 | — | 4,23 | — | 1.207,528,319 | — | 24,08 |
| 1881 | — | 235,254,254 | — | 4,59 | — | 1.371,450,794 | — | 26,73 |
| 1882 | — | 235,107,471 | — | 4.48 | — | 1.431,181,455 | — | 27,26 |
| 1883 | — | 242,188,649 | — | 4,51 | — | 1,494,216,644 | — | 27,83 |
| 1884 | — | 243,323,870 | — | 4,43 | — | 1,502.947,402 | — | 27.37 |
| 1885 | — | 244.864.936 | — | 4.36 | — | 1,553,105,169 | — | 27,66 |
| 1886 | — | 308,830.703 | — | 5,38 | — | 1,577,081,659 | — | 27,47 |
| 1887 | — | 316,512,933 | — | 5,39 | — | 1,649,051,692 | — | 28,10 |
| 1888 | — | 319,067,279 | — | 5.32 | — | 1,707,050,121 | — | 28,46 |
| 1889 | — | 278,186,640 | — | 4,54 | — | 1,674,270,619 | — | 27.32 |
| 1890 | — | 255,892.904 | — | 4,09 | — | 1,706,793,090 | — | 27,26 |

Tablice te, wykazujące olbrzymią zasobność społeczeństwa w Stanach Zjednoczonych, na głowę ludności (3½ raza więcéj jak w Rosyi), świadczą téż, że jednocześnie z przywróceniem wypłat w metalu (r. 1879 i 1880), suma znaków obiegowych wzrosła gwałtownie, dosięgła przeciętnie około 23 dolarów na głowę, a łącznie z zapasami skarbu do 27 dolarów.

Od owego czasu, równolegle z przyrostem ludności, wzrastała obfitość znaków pieniężnych. W latach 1885/6 zapasy skarbu wzrosły do 1 dolara na głowę i natychmiast widzimy ubytek w tymże stosunku z obiegu. W 1888 na 1889 r. uwolniono z pod skarbowego klucza zapas monety w stosunku 1 dolara na głowę ludności, a dolara tego nie widać w cyrkulacyi, — zamiast pozostać w obiegu, wyszedł zagranicę. Wnioskuje więc p. Lantz, że podług obecnéj potrzeby środków obiegowych, więcéj aniżeli 27½ dolara na głowę nie potrzeba.

Cyrkulacya pieniężna w Stanach Zjednoczonych składa się z monety srebrnéj, złotéj, banknotów zabezpieczonych metalem lub obligacyami długu państwowego i z certyfikatów na zdeponowane kruszce szlachetne.

Opuszczając owe certyfikaty, p. Lantz podaje zestawienie takie:

| rok | | złoto | | srebro | | banknoty |
|---|---|---|---|---|---|---|
| 1873 | — | 135,000,000 | — | 6,149,305 | — | 748,794,328 |
| 1874 | — | 147,379,493 | — | 10,355,478 | — | 780,528.725 |
| 1875 | — | 121,134,906 | — | 19,367,995 | — | 772,864,764 |
| 1876 | — | 130,056,907 | — | 36,415,992 | — | 737,720,797 |
| 1877 | — | 167,501,472 | — | 56,464,427 | — | 697,676,848 |
| 1878 | — | 213,199,977 | — | 88,047,907 | — | 688,170,621 |
| 1879 | — | 245,741,837 | — | 117,526,341 | — | 692,624,288 |
| 1880 | — | 351,841,206 | — | 148,522,678 | — | 707,164,435 |
| 1881 | — | 478,484,538 | — | 175,384,144 | — | 717,582,112 |
| 1882 | — | 506,757,715 | — | 203,217,124 | — | 721,206,616 |

| rok | | złoto | | srebro | | banknoty |
|---|---|---|---|---|---|---|
| 1883 | — | 542.732.063 | — | 233,007,985 | — | 718.476,596 |
| 1884 | — | 545.500.797 | — | 255,568,142 | — | 701.878,463 |
| 1885 | — | 588.697,036 | — | 283.478,787 | — | 680.929.346 |
| 1886 | — | 590.774.461 | — | 312,252,843 | — | 674,054.355 |
| 1887 | — | 654.520.335 | — | 352.993,566 | — | 641.537,791 |
| 1888 | — | 705.818,855 | — | 386,572,835 | — | 614.658.431 |
| 1889 | — | 680.663,505 | — | 420,548,929 | — | 573.658.185 |
| 1890 | — | 695,563,029 | — | 463,211,919 | — | 548,018,142 |

Dla dogodności porównania, powtarzamy powyższe zestawienie, umieszczając równolegle z zapasami złota, srebra i banknotów w obiegu, stosunek złota do srebra i banknotów, oraz kursową wartość banknotów, względnie do złota, w czerwcu każdego roku.

| rok | | złoto | | srebro i banknoty | | złota na każde 100 dol. innej mon. | | stosunek banknot. do złota |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| 1873 | — | 135,000.000 | — | 754,943,633 | — | 17.88 | — | 95,80 |
| 1874 | — | 147.379.493 | — | 790,884,203 | — | 18,63 | — | 90,00 |
| 1875 | — | 121,134,906 | — | 792.232,759 | — | 15,29 | — | 85,40 |
| 1876 | — | 130,056,907 | — | 774,136,789 | — | 16,80 | — | 88.90 |
| 1877 | — | 167,501,472 | — | 754,141.275 | — | 22.21 | — | 94,90 |
| 1878 | — | 213.199.977 | — | 776,218.528 | — | 27,47 | — | 99,20 |
| 1879 | — | 245,741,837 | — | 810.150,629 | — | 30.33 | — | 100,00 |
| 1880 | — | 351.841,206 | — | 855,687.113 | — | 41,12 | — | 100,00 |
| 1881 | — | 478,484.538 | — | 892.966,256 | — | 53,58 | — | 100,00 |
| 1882 | — | 506,757,705 | — | 924,423.740 | — | 54,82 | — | 100.00 |
| 1883 | — | 542.732,063 | — | 951.484.581 | — | 57.04 | — | 100.00 |
| 1884 | — | 545,500.797 | — | 957,446,605 | — | 56,97 | — | 100,00 |
| 1885 | — | 588,697,036 | — | 964,408,133 | — | 61,04 | — | 100.00 |
| 1886 | — | 590,774,461 | — | 986,307,198 | — | 59.90 | — | 100,00 |
| 1887 | — | 654.520,335 | — | 994.531,357 | — | 65,81 | — | 100,00 |
| 1888 | — | 705,818,855 | — | 1,001.231,266 | — | 70.51 | — | 100,00 |
| 1889 | — | 680.063,505 | — | 994.267,114 | — | 68.40 | — | 100,00 |
| 1890 | — | 693,563,029 | — | 1,011,230.061 | — | 68,78 | — | 100,00 |

Zestawienia te pouczają nietylko, że utrzymanie poziomu około 27½ dolarów na głowę, odbywało się za pomocą eksportu i importu złota, lecz i tego, że dla utrzymania banknotów i srebra w kursie *al pari* ze złotem, potrzeba na każde 100 dolarów pieniężnych surogatów, 30 dolarów w złocie. Dla utrzymania ogólnéj kwoty wszystkich znaków obiegowych, 1,706 milionów dolarów wynoszącéj, na *pari* ze złotem, potrzeba nie mniéj jak 427 mil. dolarów złota. Różnica między temi dwiema cyframi, to jest 1,279 milionów znaków obiegowych, składać się może z monety srebrnéj i banknotów, — a ponieważ, zamiast 1279 milionów jest obecnie w obiegu tylko 1,011 milionów, prze-

to dodaćby można do obiegu jeszcze 268 milionów, to jest mniéj więcéj tyle, ile znajduje się nieczynnego metalu w skarbcu państwa.

Podążając za taką zasadą, zobaczymy, że gdy dnia 30 czerwca ludność Stanów prawdopodobnie wyniesie 63,974,000, to ludność ta potrzebowałaby znaków obiegowych za 1,759,000,000, konieczna rezerwa 440,000,000 złota, pozostałoby miejsca dla banknotów i srebra 1,319,000,000, a że srebra i banknotów dnia 31 grudnia 1890 r. było 1,025,000,000, pozostałoby więc swobodnego miejsca dla przybytku srebra do 30 czerwca 1891 r. na 294,000,000 dolarów.

Gotową więc mamy konkluzyę, że gdyby skutkiem nowego aktu prawodawczego, do istniejących zapasów srebra będącego w obiegu, dodano przed 30 czerwca 1891 r. więcéj niż 294,000,000 srebra, Stany Zjednoczone przeszłyby z waluty złotéj do srebrnéj, o ileby jednocześnie nie umarzano odpowiedniéj sumy banknotów.

Dla jaśniejszego przedstawienia zawiłéj téj sprawy, przytacza p. Lantz, iż gdyby umarzano banknoty przy wypuszczaniu nowego srebra, to ponieważ jest miejsca w obiegu na 1,319,000,000 dla srebra i banknotów łącznie, przeto potrąciwszy zapasy srebra, jakie były w d. 31 grudnia 1890 r. w obiegu, to jest 486,000,000, otworzyłoby się miejsca na 833,000,000 srebra. Zbytecznêm byłoby tu dowodzić, że o wycofaniu zupełnêm banknotów można mówić tylko w teoryi, bo w praktyce niewykonalnêm jest nawet znaczniejsze umarzanie banknotów, ze względu na zbyt dotkliwą niedogodność w obrotach handlowych.

Gdy jednak zastosujemy metodę rachunkową p. Lantza do stosunków, jakie wytworzyć się mogą w Stanach Zjednoczonych, jeśli obowiązujący obecnie bil Blanda pozostanie w swojéj sile, a wzrost ludności pójdzie daléj w dotychczasowêm tempie, to dowiemy się, że najdaléj w 1901 r. tyle ubędzie złota z obiegu, że waluta złota w Stanach Zjednoczonych istniéć przestanie.

Dotąd zajmowała nas teoretyczna strona kwestyi, czas przejść do praktycznéj i zapytać, czy rzeczywiście wprowadzenie większéj ilości monety srebrnéj, wywoła poważne kłopoty? Zanim odpowiemy wprost na pytanie, winniśmy jeszcze wrócić na chwilę do teoryi, która twierdzi, że powiększenie środków obiegowych wcale jeszcze nie jest równoznaczne z rozszerzeniem kredytów. W obchodzącéj nas sprawie, powiększenie środków obiegowych, przez wprowadzenie surogatu złota po cenie złota, wywołać musi obawy o przyszłość i przez to samo skurczyć kredyt. W Ameryce wyczerpujące studya nad znakami obiegowemi doprowadziły do przekonania, że na 100 tranzakcyi handlowych, 92½% załatwia się za pomocą czeków, przekazów i rozma-

itych form kredytu, a tylko $7\frac{1}{2}\%$ za pomocą gotówki. W r. 1890 wszystkie banki Stanów wypłaciły około 60,000 milionów dolarów (w téj cyfrze wewnętrzne wypłaty w bankach za pomocą czeków z rachunku na rachunek, ani téż wypłaty między bankami przez *„clearing house“* nie są uwzględniane), z téj kwoty 60 miliardów około $55\frac{1}{2}$ miliardów załatwił kredyt, a $4\frac{1}{2}$ miliarda załatwiła gotówka. Z poprzednich zestawień wiemy już, że gotówki wszelkiéj jest w obiegu okrągło, nie licząc skarbu państwa, 1,500 mil. dolarów, każdy dolar więc użyty był w zapłacie w ciągu roku trzykrotnie, a na każdy dolar, w obiegu będący, dopełniono 37 dolarów tranzakcyi kredytowych.

Otóż, jeśli wskutek niepokoju o przyszłość dotąd obowiązującéj waluty złotéj, stosunki kredytowe skurczą się tylko o 10 na sto, wtedy zamknie się możność dopełniania wypłat za pomocą kredytu na około $5\frac{1}{2}$ miliardów dolarów, czyli na 37 dolarów kredytów, względnie do 10 dolarów gotówki. Jakiegoż trzebaby spotęgowania środków obiegowych, by zapełnić pozornie tak drobną lukę, jak dziesięcioprocentowe skurczenie kredytów? Obawy zaś są i pewno uzasadnione, przytaczano bowiem fakt, iż 20 stycznia r. b. na giełdzie New-Yorskiéj ofiarowano 5,000 dolarów premii za prawo odebrania w ciągu 1891 r. do woli kupującego 1 milion dolarów w złocie. Gdy nie było sprzedających, podniesiono premię do 10,000 dolarów z tym samym skutkiem, to jest — nie było sprzedających.

29 stycznia roku bież. William Windom na bankiecie, o którym wspomnieliśmy na wstępie, po zastrzeżeniu, że czas jego krótki, więc prosi o uwagę, o nieprzeszkadzanie oklaskami, wygłosił długą natchnioną mowę, w któréj najprzód streścić usiłował w najpopularniejszéj formie bezpośredni związek, między naturą znaków obiegowych a rozwojem dobrobytu kraju. Przechodząc następnie do charakterystyki obecnego położenia twierdził, iż idealnym byłby taki system finansowy, któryby dostarczał tyle tylko środków obiegowych, ile koniecznie zdrowy handel wymaga, i nic nadto, lecz jednocześnie system ten posiadać winien dosyć elastyczności, by mógł się dostosowywać do zmieniających się potrzeb. Tu wskazał trudności, jakie corocznie występują w chwili, gdy kolosalny urodzaj bawełny i zboża uruchomiony zostaje.

Tak np. w zeszłym roku, gdyby nie szczególne okoliczności, które w ciągu 2 miesięcy, pozwoliły wydać ze skarbu państwa 75,000,000 dolarów, brak gotówki w sierpniu i wrześniu, spowodowałby ruinę finansową bardzo szerokich sfer społeczeństwa amerykańskiego.

Identyczne położenia powtarzać się mogą, lecz może się nie po-

wtórzyć okoliczność, która pozwoliła ministrowi skarbu nieść pomoc społeczeństwu, a już wcale nie pożądaném byłoby tak wielką władzę składać w ręce ministra. Dalej powiada Windom, że rozumie, iż nie ma na świecie ani dosyć srebra, ani dosyć złota, by podołać wymaganiom rosnących wciąż obrotów handlowych, jest więc szczerym bimetalistą i nikomu nie da się przewyższyć w pragnieniu, ażeby bić srebro bez ograniczania, lecz bić dopiéro z chwilą, gdy porozumienie międzynarodowe sprowadzi warunki, pod któremi remonetyzacya srebra da się bezpiecznie przeprowadzić. Nawzajem jest przekonany, że dla Stanów Zjednoczonych, nieograniczone wybijanie srebra zamiast bimetalizmu, sprowadzi monometalizm srebra, eksperyment wielce niebezpieczny, bo zamiast powiększenia liczby znaków obiegowych, zamiast stałéj zwyżki wartości srebra, nastąpi szybki ubytek monety z obiegu i obniżenie wartości srebra.

Dowolne, nieograniczone bicie monety srebrnéj w Stanach Zjednoczonych, gdy inne wielkie narody przeciwnéj trzymają się polityki, zachęciłoby wszystkich właścicieli srebra na całéj kuli ziemskiéj do zamiany 371 $\frac{1}{2}$ granów czystego srebra, wartujących około 83 centów, na 23 gran. złota, wartujących wszędzie 100 centów. Prawie wszystkie narody Europy skwapliwie skorzystałyby z tak ponętnéj okazyi dobrego interesu. Banki Francyi, Niemiec, Austro-Węgier i t. d. posiadają prawie 428,866,000 dol. srebra, to téż wielka część tego metalu znalazłaby się natychmiast w drodze do Ameryki i najszybsze parowce zakontraktowanoby pod przewóz. Czyż Amerykanie czekaliby spokojnie na przybycie srebrnéj floty? Depozytaryusze banków, właściele banknotów i złotych certyfikatów, rzucą się, jak jeden mąż do kratek skarbu i szturm nie ustanie, póki ostatni złoty dolar nie ukryje się w prywatnych kasach, skąd go dopiéro ażio eksportowe od złota na światło dzienne wyprowadzi.

Gwałtowne wycofanie z obiegu 600 milionów dolarów złota przy akompaniamencie odpowiedniéj paniki, wywołałoby taki spazm ruiny ekonomicznéj, jakiego ludzkość jeszcze nie zaznała.

Jeśli bil, przed którym ostrzega, przejdzie, gdy dolar srebrny przestanie mieć większą wartość od srebra z którego wybity, zniknie zachęta do wymiany sztab srebra na monetę, a brak złota dla wymiany na srebro, wstrzymałby dalsze dowozy srebra z zagranicy. Jakimże sposobem nieograniczone bicie srebra może wpłynąć na wzmożenie środków obiegowych lub na podniesienie wartości srebra?

Jak gdyby niczego nie chciano zaniedbać, coby przyśpieszyć mogło powyższe skutki, promotorzy nieograniczonego bicia srebra,

żądają, by nie czekając na zamianę srebra na pieniądz w mennicy, teraz zaraz, puścić w ruch maszyny drukarskie dla wydrukowania certyfikatów na srebro. Gdyby temu żądaniu stało się zadość, gwałtowni amatorzy srebra, mogliby go nawet nie dostać.

Dobry geniusz Stanów Zjednoczonych nawet taką klęskę, jak śmierć znakomitego obywatela, obraca na pożytek narodu.

Mowa p. Windoma, któréj nieudolne streszczenie podaliśmy. potężném odbiła się echem i jak wnosić wolno z ostatnich depesz, stanowczo odwróciła grożące niebezpieczeństwo.

*Br. Werner.*





# ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

M. Gawalewicz. „Drugie pokolenie", powieść oryginalnie napisana, 2 tomy (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1891, str. 283, 239).

Panu Gawalewiczowi, jako powieściopisarzowi, przyznawano zawsze wiele pomysłowości w wynajdywaniu interesujących sytuacyi, wiele zręczności w prowadzeniu dyalogu salonowego, niepospolitą potoczystość i gładkość stylu, który płynął równo, spokojnie i przenosił czytelnika bez trudu po przestrzeniach myśli i uczucia. Zarzucano mu natomiast brak pogłębienia psychologicznego w narysowanych przezeń postaciach, brak wniknięcia w istotę zjawisk społecznych, które obrał do odtworzenia, brak siły w wyrażaniu namiętności przechodzących średnią miarę. Powiadano zazwyczaj: nowele i powieści p. Gawalewicza czytają się przyjemnie, lecz nie pozostawiają po sobie trwalszego wrażenia.

Do wielu utworów naszego autora można było charakterystykę tę zastosować, to prawda; ale należało ją poddawać małéj modyfikacyi za każdém nowém jego dziełem, gdyż p. G., rozszerzając zakres obserwacyi swoich, starał się równocześnie o usunięciu wadliwości w ich odtwarzaniu.

Mówiąc tu jedynie o większych powieściach, można zauważyć, że już w „Filistrach" znać było postęp niemały w stosunku do opowiadań dawniejszych, choćby np. do „Gasnącéj duszy", bo i postaci wzięte były ze sfery, nie tak często malowanéj w beletrystyce naszéj, i szczegóły życia przezeń nakreślone nosiły na sobie cechy rzeczy zaobserwowanych i poddanych analizie psychologicznéj. Postęp podobny, w większéj mierze, przedstawia najnowsza powieść p. Gawalewicza p. t. „Drugie pokolenie."

Niewątpliwie, i w tym utworze mogłyby były stosunki przemy-

słowe szerzéj i głębiéj być rozpatrzone, gdyby autor chciał był wziąć pod uwagę różne ich srony, gdyby nie poprzestał był na dziejach jednéj tylko rodziny; ale ponieważ krytyka liczyć się przedewszystkiém powinna z tém, co zostało dokonaném, a nie z tém, co dokonaném być mogło, przyznać wypada, że w obranym przez siebie zakresie wywiązał się p. G. ze swego zadania tak dobrze, jak nigdy przedtém.

Przedewszystkiém, i to jest jego zaletą, że opowiadając dzieje jednéj tylko rodziny przemysłowców, nie dał się uwieść chętce łatwego uogólniania, które nietylko w życiu powszedniém, lecz i w beletrystyce naszéj grasuje. Być może, sam tytuł, albo ściśléj mówiąc, temat powieści powstał pod wpływem takiéj chętki, lecz zarówno instynkt artystyczny, jak i głębsze zastanowienie się nad podjętą sprawą odwiodły autora od jéj zrealizowania. Twierdzić, że każde drugie pokolenie przemysłowców rozprasza i marnuje nieoględném rzucaniem się w przeróżne interesa, lekkomyślnością w ich traktowaniu i rozrzutnością, to, co pierwsze pokolenie zdobyło oszczędném życiem, wytrwałą pracą i rozsądném stosowaniem środków dla osiągnięcia zamierzonego celu, — byłoby zapewne paradoksem, którego udowodnienie niemożliwemby się okazało, gdyż życie pod tym względem przedstawiłoby wiele różnorodności. Ale zaznaczyć, że tak bywa często, że przywyknienie od młodości do szafowania znacznemi sumami, niezdobytemi wcale własną pracą, że wychowanie w zbytkach, a przynajmniéj w pomyślniejszych niż rodzice warunkach, w połączeniu ze zmianą środków saméj produkcyi i zbytu towarów, prowadzą za sobą niezmiernie wielką zmianę i w trybie życia i w trybie pracy, usposabiając do rozkazywania tylko i używania; -- było to rzeczą i ciekawą pod względem artystycznym i cenną pod względem społecznym. Zrobił to właśnie p. Gawalewicz w swojéj powieści i zrobił dobrze.

Stary Fatt jest figurą bardzo prawdziwą i ślicznie wykonaną. Niewiele on ma rysów charakterystycznych, bo nie jest to natura złożona, ale te, które ma, wynikają z jego usposobienia i umysłowości. Praca i oszczędność go wzbogaciły; więc też we wszystkich stosunkach, w każdém słowie, w każdym postępku składa on hołd tym dwu bożyszczom. Małomówny, więcéj zamknięty w sobie niż wylewający się, dla wszystkich sprawiedliwy, choć nieraz szorstki, ma jedną tylko słabostkę, bardzo często u takich ludzi spotykaną, słabostkę dla swego najstarszego syna, w którym widzi wszystkie doskonałości, na którym wyłącznie pokłada nadzieje dalszego świetnego rozwoju fabryki, będąc nawet z tego powodu zanadto uprzedzonym przeciw młodszemu synowi i córce. W tém jedném zawodzi go „dobra głowa“, to jest zdrowy rozsądek, którym się chlubi i który mu istotnie posłużył

do zrobienia majątku. I to jedno właśnie sprowadza nań cały ogrom cierpień, o mało nie tragicznych.

Czując się zgnębionym uporczywemi cierpieniami, zdaje zarząd fabryki na swego ukochanego Karola, a sam chce zażyć zasłużonego spoczynku. Po kilku latach ulubieniec zbankrutowawszy ucieka sromotnie, a stary Fatt dla uratowania fabryki wraca do pracy, czując w sobie znowuż siły do niezmordowanego czuwania nad interesami. Oczywiście, miłość dawniejsza dla syna wskutek tak strasznego zawodu przemieni się w zawziętą niechęć, słyszéć o nim nie chce, na jego widok popada we wściekłość, i dopiéro po pewnym czasie pozwala młodszemu synowi dawać od siebie zapomogę starszemu, bo... próżniaków i nicponiów wspiérać nie chce, ale przecie... głodnego nakarmić potrzeba.

Starego Fatta rozumiemy wszędzie i we wszystkich szczegółach: i wtedy gdy się na uroczysty obiad pojawia w swoim oliwkowym surducie i wtedy, gdy Karolowi przekłada skromnie swoje uwagi co do sposobu prowadzenia interesów, zastosowanego do stosunków dawniejszych, ale zdań swoich mu nie narzuca, bo już się za wycofanego ze spraw poczytuje; i wtedy, gdy się zamyka w swoim pokoju po odebraniu wiadomości o bankructwie Karola, i wtedy, gdy młodszemu synowi, Krzysiowi, z pobłażliwym uśmiechem pozwala myśléć o małżeństwie z córką inkasenta swego, i wtedy, gdy staremu temu inkasentowi przypomina 35-letnią wraz z nim pracę i gdy robotników na rodziców chrzestnych dla swych wnucząt wybiéra. Wszystkie te szczegóły zgodne są z prostym, prawym, szorstkim w niektórych razach, gdy jest sprawami pieniężnemi podrażniony, ale dobrodusznym, poczciwym do szpiku charakterem. Doskonałością oczywiście on nie jest— i w tém zaleta powieściopisarza,—bo jego słabostki, nie wyłączając głównéj, która się stała przyczyną nieszczęścia, czynią go tém prawdziwszym.

Mniéj już zadawalnia Karol Fatt. Uważany przez ojca za najlepszą głowę, w czynie okazuje się pospolitym okazem letkiewicza o charakterze słabym, inteligencyi wcale nie pomysłowéj, z wyrobioną jedynie swadą w zakresie ogólników ekonomicznych. Gdyby to była rzeczywiście dobra głowa, tobyśmy w rozmowie Karola z ojcem po samobójstwie Jańskiego usłyszeli argumenty, mające większą wartość rozumową, aniżeli te komunały, którémi wielki niby-przemysłowiec szafuje (I, 227—237). Zaślepienie ojca względem ulubieńca musiało się opiérać chyba na trochę trwalszym fundamencie, tylko go nam powieściopisarz nie wskazał. Zajęty odtworzeniem czynników, które sprowadziły katastrofę, autor zapomniał o tych, które obudziły zaufanie dla rozumu

i sprytu przemysłowca, zaufanie, podzielane nietylko przez ojca, ale i przez całe otoczenie, przez grono ludzi fachowych. Zaufanie to, być może, zrodziło się z jakiegoś jednego szczęśliwego pomysłu, który całkiem przypadkowo nasunął się „dobréj głowie“, a który poczytano za dowód znawstwa i genialności; ale bądźcobądź musiał taki szczęśliwy pomysł istnieć w przeszłości Karola i uwydatnienie jego miałoby niemałe znaczenie psychologiczne i artystyczne.

Jeżeli pominiemy ten szczegół w przedstawieniu głównéj osoby „drugiego pokolenia“, to Karol przedstawi się nam jako rozwinięty konsekwentnie charakter, w którym ponad wszystkiemi uczuciami i popędami góruje pragnienie życia i użycia. Posiadając majątek, urządza się wykwintnie, żeni się ze szlachcianką, stara się wejść w stosunki z ludźmi utytułowanemi. Nie umie, czy nie może zyskać znajomości z arystokracyą rzeczywistą, więc zadowolony jest z poufałych stosunków, jakiemi darzy go podejrzany w „towarzystwie“, lecz dla niego doskonały baron, będący, jak się okazuje w końcu, zręcznym jedynie szulerem, co, nawiasem mówiąc, jest dla czytelnika trochę niespodzianką, zwłaszcza gdy sobie przypomni skrupuły barona co do zerwania z Lizą (II, 91). Wszedłszy do grona ludzi, którzy nic nie robią prócz wydawania pieniędzy na uprzyjemnienie sobie życia, Karol zaczyna ich naśladować, jeździ eleganckim powozikiem, daje wystawne obiady, zbliża się do fantastycznéj aktorki, umiejącéj wybornie wyzyskiwać swoich adoratorów, rozrzuca pieniądze, sprawami zajmuje się bardzo mało, a wierząc w swoję genialność, nabiera interesów więcéj, niż siły jego finansowe udźwignąć mogą, bo sądzi, że tym sposobem zapełni kasę, wyczerpywaną ciągłemi wydatkami.

Samobójstwo Jańskiego, spowodowane bankructwem, nie budzi w nim głębszego zastanowienia, lecz prowadzi do wyssania z rodziny wszelkiéj rozporządzalnéj gotówki, byleby zachować pozory trwającéj wypłacalności firmy. Nie wglądnąwszy w interesa należycie, wyjeżdża za granicę, zajmuje się sprawunkiem kosztownym dla aktorki, gdy przychodzą jeden po drugim telegramy wzywające go natarczywie do powrotu. Zastaje interesa w jaknajgorszym stanie; spadek cen cukru ostatecznie zachwiał już skądinąd nierozważnie pozaciąganemi zobowiązaniami podkopany gmach dobrobytu. Trzeba było dla ocalenia fabryki pozbyć się innych przedsiębiorstw, trzeba było ograniczyć swoje wydatki, zejść ze stanowiska głośnego w pewnych kółkach dyrektora na poziom pracownika, jednem słowem obniżyć skalę życia we wszystkich kierunkach. Teraz właśnie czas było okazać swoję „dobrą głowę.“ Ale Karol jéj nie miał. Próżny i rozleniwiały, pomyślał na chwilę, tak jak Jański, o samobójstwie, przepędził chwil

kilka przy lokomobili, wpatrując się w jéj tryby; ale pragnienie życia zagłuszyło w nim wszelkie inne głosy serca, czy sumienia; zabrawszy gotówkę, jaką znalazł w kasie, wyjechał potajemnie za granicę, uciekł przed odpowiedzialnością, zostawiając żonę z dwojgiem dzieci na los szczęścia.

Gdy energią starego Fatta fabryka nietylko utrzymała się, lecz i pomyślnym cieszyć się zaczęła rozwojem, Karol wraca. Gdyby miał „dobrą głowę“, mógłby coś wymyśléć, coby mu byt zapewniło. Ale on ma tylko wymagania; pragnąłby używać bez pracy, pragnąłby miéć naczelne jakieś stanowisko bez uciążliwych obowiązków. Wobec takiego usposobienia i takich pretensyi, nie robi nic, konsumuje zasiłek, jaki mu brat daje, wałęsa się po mieście, staje się mistrzem bilardu, rozprawia w cukierniach, narzeka na kochaną familijkę, przyczepia się do barona, który go protekcyonalnie traktuje, dając cząstkę wygranéj w karty, nabiéra cech i nałogów darmozjada, marnieje. Napróżno stara się go na lepszą nawrócić drogę Krzyś; zarozumiałego próżniaka niepodobna do pracy nakłonić, a zmartwiałe poczucie obowiązku trudno ożywić.

Dzieje tego upadku moralnego zostały szkicowo przedstawione; nie dziw, niejednokrotnie były one już przedmiotem powieściowego malowidła; najświeżéj w pamięci tkwi o wiele jaskrawszy obraz, z innego, szlacheckiego, wzięty świata — „Pan Wojciech“ p. Mańkowskiego. U naszego autora tłómaczy się ta szkicowość têm jeszcze, że musiał dodatnią działalność starego Fatta i Krzysia przedstawić, ażeby jeżeli nie artystycznie, to myślowo przynajmniéj zrównoważyć dobro ze złem w „drugiém pokoleniu.“

Krzyś był w domu lekceważony, nauk wyższych nie pobiérał, na salonowca się nie wykierował, pozostał w swojéj sferze, pracował wytrwale, pokochał córkę inkasenta, milutką Franię, i pod kierunkiem ojca potrafił choć w części powetować straty, spowodowane lekkomyślnością „genialnego“ brata. Jego postać nie uderza oryginalnością w naszéj beletrystyce, która podobnych figur, choć nie ze świata przemysłowego, ma podostatkiem, ale społecznie więcéj jest warta od takich ludzi, jak Karol; nie będzie Krzyś reformatorem, ale obowiązki swoje spełni święcie.

Liza, siostra Karola i Krzysia, z początku wcale dobrze nakreślona, jako dziewczę nietuzinkowe, myślące, skryte w sobie, później została przez autora zaniedbana; czynnie wystąpiła raz tylko, zwracając pierścionek i słowo baronowi, gdy Karol, który małżeństwo to projektował, sromotnie uciekł. W życiu taka bierna rola przypada nieraz nietylko kobiétom, lecz i mężczyznom; w powieści jednak,

kiedy się raz już jakąś osobę wysunęło naprzód, trzeba ją w tym charakterze utrzymać.

Poboczne figury, jak aktorka Suczkowska i towarzystwo u niéj się zbiérające (śpiéwak Znajemski, stara Halkiewiczowa), daléj inkasent Pęczkowski, dyrektor Figner, dwóch braci Szramińskich, są wybornie wykonane; na osobne wyszczególnienie zasługują sceny dziecinne, które p. G. kreśli z lubością, mianowicie zaś jedna, kiedy dwoje wnucząt wysłanych do dziadka (starego Fatta), zamkniętego w pokoju i ciężko strapionego, rozstając się z nim przy zamkniętych drzwiach i prosząc, żeby coprędzéj przyszedł, całują te drzwi na pożegnanie (II, 75).

Słówko jeszcze o języku. Jest on czysty, poprawny, nieraz obrazowy i wytworny; przykro tylko razi germanizm, czy galicyzm, w użyciu przysłówka *więcéj* zamiast *już*, lub *dłużéj* i t. p., we frazesach przeczących. Błąd ten zaraźliwie się rozpowszechnia; dlatego tak często różnym pisarzom wytykać go trzeba. *P. Chmielowski.*

---

## NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Eliza Orzeszkowa*, **Jędza**, powieść (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1891, str. 208). Głęboko odczute położenie biednéj robotnicy, pracującéj od świtu do nocy nad sukniami dla utrzymania siebie i matki, opuszczonéj przez synów łajdaków, wypełnia ten nowy utwór znakomitéj autorki „Nad Niemnem.“ Jadwiga Szyszkówna, wychowana na wsi, musiała się przenieść na bruk miejski, zamieszkała tu w dużéj kamienicy, mieszczącéj w sobie przeważnie biédotę, od rzemieślników poczynając, a kończąc na zrujnowanych dziedziczkach. Życie jéj płynęło z jednostajnością zégarka wśród ciągłéj, żmudnéj pracy, która nietylko opłacała się źle, nietylko narażała na przykrości ze strony domorosłych bezczelnych Don Juanów, ale w dodatku ściągała na Jadwigę gdérania matki, co miłość swą całą zlała na synów, a córce pozostawiła wylewy żółci za to, iż owi ukochani opuścili ją, poszli w świat, nic o sobie nie dawali wiedzieć, a w końcu zaprzepaścili się zupełnie. W dziewczynie energicznéj, ambitnéj, takie życie wyrobiło pewną szorstkość, a chociaż jéj objawy hamowała wobec matki siłą woli, przebiérała się przecież niekiedy miarka i uczucia powstrzymywane bryzgały ostrzejszém słowem. Matka przezwała ją za to „jędzą“, a nazwa ta przedostała się i nazewnątrz, powtarzali ją wszyscy, którzy z jakiegokolwiek powodu mieli złość do Jadwigi. Wybornie, z wielką subtelnością i prawdą nakreślona postać téj „ję-

dzy“ wśród kamienicznego otoczenia, w którém wydatnieją: żona chorego krawca, Ruchla, łapiąca kundmanów w bramie, lekkomyślna rywalka Jadwigi szwaczka, Paulinka, trzy dewotki, ślusarz Michał, nauczycielka muzyki i języków, panna Karolina, z matką rumianą staruszką, budzi szczere współczucie swą niezmożoną energią i wytrwałością. Jednostajność jéj życia przerywa na chwilę jaśniejszy promyczek, niespodziewany przyjazd dwu dalekich krewnych, wesołych a dzielnych chłopaków, na Boże Narodzenie. Od téj chwili serce Jadwigi zaczęło bić silniéj, aby tém straszniejszém stać się źródłem cierpień, gdy wyczekiwany niecierpliwie Oleś się nie zjawiał, gdy zwłaszcza wieść o zamierzoném jego małżeństwie do uszu Jadwigi doszła. Lecz i wtedy nawet musiała o swoich bólach zapomnieć, by pielęgnować matkę, która na wieść o nikczemnych postępkach synów, silnie zachorowała. Jest coś głęboko przejmującego w obrazie téj wielkiéj, w sobie zamkniętéj, małomównéj boleści. Nie dała jednak autorka tragicznego zakończenia swéj historyi. Oleś powrócił i Jadwiga doczekała chwili prawdziwego szczęścia. Matka Jadwigi i wówczas o synach nie zapomniała, na przyszłego zięcia włożyła obowiązek, żeby ich na drogę cnoty zwrócił, grożąc przekleństwem, a rownocześnie błogosławiąc. Poważne, niemal uroczyste, wrażenie sprawia w końcu ta nieszczęsna, rozgoryczona zawodem uczuć staruszka.

---

— *Klemens Junosza*, **Wybór pism** w X tomach. Tom I. Nakładem autora (Warszawa, 1891, str. 291). Niejednokrotnie mieliśmy już sposobności wspominania o powieściach, nowelach i obrazkach Klemensa Junoszy, zaznaczając jego talent w malowaniu stosunków małomiasteczkowych i wiejskich, głębokie wejrzenie w życie zarówno zewnętrzne, jak wewnętrzne żydów, których literaturę żargonową poznał wybornie i parę z niéj utworów językowi naszemu przyswoił („Don Kiszot żydowski“, „Szkapa“). Obecnie autor nasz przystąpił do ogłoszenia nie całkowitego zbioru, ale wyboru tylko pism swoich w 10-ciu tomach, z których każdy ma zawierać po 15 do 20 arkuszy druku. Przez lat kilkanaście pisząc niezmordowanie, Junosza wytworzył znacznie większą liczbę tomów, ale ponieważ niektóre jego nowele i opowiadania wyszły już poprzednio w osobnych książkach, nie chce widocznie powtarzać rzeczy w obiegu będących, lecz wydobędzie z czasopism te produkcye, któreby z biegiem czasu musiały się stać niedostępnemi dla ogółu. Zamiar ten i na pochwałę i na szczere poparcie zasługuje, bo pisma Junoszy będą zawsze zajmującą lekturą, a zebrane razem pozwolą wyrobić sobie dokładniejsze pojęcie o charakterze talentu autora. Odkładając na późniéj szczegółowsze wnik-

nięcie w tę kwestyę, zaznaczymy obecnie tyle tylko, że w 1-ym tomie „Wyboru pism“ pomieścił Junosza obrazki wzięte wyłącznie z bruku warszawskiego. Najobszerniejsze tu opowiadanie: „Nieruchomość Nr. 000“ jest pełném pogodnego nastroju zobrazowaniem stosunków życia na Starém Mieście, zakłóconych wtargnięciem w tę dziedzinę urwisa-aktora, polującego na kamieniczkę za pośrednictwem czułych słówek, zwróconych do uszka pięknéj, łatwo obałamucić się dającéj Andzi. Nie jestto zapewne najlepsza rzecz, jaką mógł się Junosza zarekomendować czytelnikom „Wyboru“, ale czyta się z zajęciem, ułożona jest zręcznie a rozmaitością figur i scen rozerwać może każdego. Inne utwory w 1-ym tomie znajdujące się, są to drobne obrazki, albo maleńkie satyry. Wybornie się nam prezentują „Córeczki pani Maciupskiéj“, wesołe, ze swego skromnego bytu zadowolone, przygarniające sierotę, ale bynajmniéj nie sentymentalne. Śliczna jest postać biédnego a hardego „Metra“, zawsze wyświeżonego, nigdy poniżyć się nie chcącego. „Mała Patti“ i „*In minus*“, to satyry społeczne; jedno wymierzeniu przeciw niedorzecznéj manii kształcenia byle-jakich głosów, druga przeciw marnotrawstwu i lekkomyślności, doprowadzającéj do ruiny materyalnéj i moralnéj.—Cena całego „Wyboru“ w 10-ciu tomach w prenumeracie wynosi rubli 6, nabywający pojedyńczemi tomami płacą po 1 rublu za tom.

---

— *Włodzimierz Spasowicz*, **Dzieje literatury polskiéj**, przekład z ruskiego. Wydanie trzecie przejrzał i uzupełnił A. G. Bem (Kraków i Warszawa, Gebethner i Wolff, 1891, str. XIV, 540). Znana dobrze czytelnikom „Ateneum“ z dwu ocen w niém pomieszczonych dawniéj praca p. Spasowicza, doczekała się w przekładzie polskim trzeciego wydania, co świadczy o jéj wartości praktycznéj przy uczeniu się dziejów piśmiennictwa naszego. W tekście samym tego wydania bardzo nieliczne tylko zaszły zmiany; tłómacz bowiem skrupulatnie zachowywał w nim właściwe autorowi poglądy, swoje zaś zapatrywania przenosił do przypisków. Metoda taka niezawsze może być uznana za dobrą, zwłaszcza gdzie idzie o podręcznik dla uczących. Sądzę, że gdyby tłómacz zechciał się był porozumiéć z autorem, chętnieby uzyskał od niego zgodę na kilka faktycznych poprawek, które wprowadzone do tekstu, lepiéjby odpowiadały celowi, aniżeli umieszczone w notach. Ponieważ nie można wątpić, iż dzieło będzie miało dalsze wydania, należałoby w ten sposób postąpić przy najbliższém. Z dodatków przez tłómacza poczynionych, najdłuższym i najważniejszym jest „o znakomitszych kronikarzach polskich“ (str. 30—39), gdzie treściwie, jędrnie i trafnie scharakteryzowani zostali: Gallus, mistrz Win-

centy, Kronika wielkopolska, Janko z Czarnkowa i Jan Długosz. Podobnego uzupełnienia domagała się wzmianka p. Spasowicza o najdawniejszych (przed w. XVI) poezyach w języku polskim i łacińskim, wzmianka bardzo niedostateczna wobec dzisiejszego stanu badań literackich. Niepodobna już teraz poprzestawać na wiadomości o ułamkach pieśni, gdyśmy poznali większe całostki, jak legenda o ś. Aleksym lub pieśń o kmieciach pracujących—po polsku, a dyalog o Zbigniewie Oleśnickim i urywek poemaciku o wojnie domowéj — po łacinie. Co dziwniejsza, nietylko te stosunkowo świéże nabytki naszéj wiedzy historyczno-literackiéj, ale nawet dawniejsze, jak pieśń o porażce pruskiéj, lub t. zw. pieśni Sandomierzanina, nie zostały wciągnięte przez tłómacza do obrazu dziejów piśmiennictwa. Wszakże znajdują się już one w tak przystępnym zbiorze, jak „Złota przędza“ (tom IV-ty). O najnowszym nabytku poszukiwań, t. j. o pieśni co do zachowania się przy stole, odkrytéj przez prof. Brücknera, a drukowanéj w tegoroczném „Ateneum“, tłómacz oczywiście wiedziéć jeszcze nie mógł, gdyż rękopism swéj pracy w listopadzie 1890 r. złożył wydawcy.—Inne przypiski tłómacza uzupełniają lub prostują wiadomości zawarte w tekście, świadcząc o dobrém zapoznaniu się z dawniejszém piśmiennictwem naszém; na wszystkie prawie chętnie się godzimy, bo są słuszne; zaznaczyć jedynie musimy, że podjęta już w drugiém wydaniu obrona Opalińskiego, została w trzeciém przeprowadzona namiętnie. Poprzednio zgadzał się, iż Opaliński dopuścił się zdrady w r. 1655; obecnie uważa ten krok za nakazany chęcią ochrony Wielkopolski od grabieży. Poprzednio starał się rehabilitować tém, że „nie był on zupełnie odarty z wszelkich cnót obywatelskich“; obecnie utrzymuje, że „głównym czynnikiem, który wywołał wieczystą przeciw dumnemu obywatelowi klątwę, była właśnie owa księga (t. j. Satyry), jaskrawo w wielu miejscach prądowi rozwielmożnionéj reakcyi katolickiéj przecząca“ (str. 136). Poprzednio sądził, że Opaliński niejeden szczegół dosłownie z satyr Juwenalisa przepisał; obecnie, nie wspominając o tym ważnym i charakterystycznym fakcie literackim, widzi sumienny, wierny (lubo surowy) w jego utworach wizerunek całego ustroju rzeczypospolitéj. Zdaniem mojém, przypisek o Opalińskim w drugiém wydaniu był bliższym prawdy, niż obecny.—Najnowsza literatura nader sumarycznie została zbytą; króciótkie charakterystyki, albo proste wyliczenie autorów nie harmonizują co do sposobu traktowania ze wspomnianym powyżéj ustępem o kronikarzach. — Język wszędzie poprawny, styl starannie wygładzony, zalecają tę cenną książkę pod względem także formalnym.

---

— **Boruta,** dramat z podań ludowych w pięciu aktach z prologiem przez *Bronisława Grabowskiego* (muzyka *Piotra Maszyńskiego*), Kraków (Nakład Wł. L. Anczyca i S-ki. 1890, str. 187). Autor, wyborny znawca rzeczy ludowych, zrobił próbę ułożenia rodzaju *misterium* na podstawie klechdy, starając się jaknajmniéj do niéj domieszać pierwiastku indywidualnego, pogłębienia psychologicznego, czy myśli filozoficznéj. Więc téż u niego świat fantastyczny nie ma tych cech subtelnych a pełnych wdzięku, jak np. w Balladynie Słowackiego, ani tego refleksyjnego charakteru, jak w poemacie Juliana Korsaka lub w misteryum Aleksandra Grozy, albo wreszcie w powieści Kraszewskiego; ale odznacza się prostotą, rubasznością nawet z dołączonym wyraźnym morałem. Jedynie we wprowadzonych epizodycznie dyabłach cudzoziemskich: Asmodeuszu, Belfegorze, Mefiście znajdujemy pewne odstrychnięcie się od toru myśli ludowéj, ale i to nie w takim stopniu, ażeby przez lud zrozumianém być nie mogło. Boruta natomiast to rzeczywiście nasz dyabeł, bo w nim cechy narodowe bardzo są wyraźne: niechęć do trudzenia myśli abstrakcyami, zamiłowanie w lenistwie, niedbalstwo w utrzymaniu jakiegoś porządku i czystości w mieszkaniu, chęć wielka do zabaw i niewynkwintnych figlów, pewna dobroduszność przy znacznéj porywczości. Przenikanie się świata tego fantastycznego z realnym należy oczywiście do znamion zasadniczych pomysłu, dramatu i wiary ludowéj. Szlachcic łęczycki, Kacper Łoński, znany z niepoczciwych postępków i hultajstwa, stąd pomawiany o stosunki z Borutą, kocha zapalczywie córkę skarbnika łęczyckiego Reginę Byszewską, którą ojciec wbrew jéj pragnieniom zaręcza z Tomaszem Zabokrzyckim. Na te zrękowiny pojawia się nieproszony Łoński, a za nim niebawem Boruta w czarnéj karecie karemi zaprzężonéj końmi. Przyjęty przez szlachtę w imię gościnności, gdy się zanadto do panny Reginy przysuwał, wyzwany na rękę i sztuką krzyżową cięty, traci kawał ręki, na któréj zdumiona szlachta dostrzega pazury. Poznany jako Boruta, wypłazowany, ucieka i liże się w zamku łęczyckim. Łoński staje się narzędziem niecnego oligarchy, poczęstunkiem zyskuje sobie znaczną część szlachty na przyszły sejmik, ale się kompromituje tchórzostwem, gdy pomimo kumostwa lęka się pójść do podziemi zamku, dokąd wpadło dziecko biednéj kobiety. Dokonywa tego bez szwanku Tomasz i rozpowiada o bogactwach, jakie widział tam nagromadzone. Łoński dla obłowu ryzykuje, idzie do Boruty, który mu pozwala brać złota, ile unieść zdoła, a gdy wychodził i wspomniał Boga, nogę mu drzwiami przyskrzybnął. Kasztelan tymczasem nagle umarł; zamek po nim kupuje Łoński i za pomocą nikczemnego pomocnika porywa Reginę. Cała szlachta łęczycka, postępkiem tym oburzona, robi wyprawę

na siedzibę gwałtownika. Łoński spostrzega, że podwórzec jego zamczyska powoli się wyludnia, a najwierniejsi dotąd sprzymierzeńcy radzą mu poddanie się, dobrowolne wypuszczenie Reginy. Decyduje się w końcu na to, ale już za późno; oblegający lada chwila się wedrą; na wezwanie Łońskiego Boruta spieszy z pomocą, przysyłając stado sów i nietoperzy, ale stado to na głos pieśni pobożnéj z piskiem ucieka. Panami zamku zostają oblegający; Łoński chroni się na wieżę i stamtąd przesyła zwycięscom upomnienie, iż całą gromadą idą na jednego, wyzywa więc na pojedynek kto zechce z nim się mierzyć. Tomasz staje do rozprawy i rani śmiertelnie Łońskiego; uwiedziona niegdyś przezeń Jagna sama jedna go żałuje i podpala zamek, ale szlachta chciwa obłowu gasi ogień; wówczas wśród grzmotów i błyskawic „Boruta wpada na scenę na drewnianym koniu o trzech nogach,“ a za nim tłum szatanów. Boruta powiedziawszy słowa prawdy „opojom i szalonym pałkom,“ nie dopuszcza, ażeby jego mienie dostało się im w ręce; zamek z trzaskiem zapada się pod ziemię, z ruin buchają płomienie; szatani skaczą do koła Boruty śpiewając. Uznaniem, że się tak dobrze stało, i że zniszczenie potępionéj siedziby powinno stać się początkiem odrodzenia moralnego, „lepszéj myśli i lepszego“ czynu kończy się misteryum, zamknięte słowami: „Amen, tak się stanie!“ Gdybyśmy mieli teatr ludowy, ani wątpić, że utwór taki, pełen cudowności, grzmotów, błyskawic, płomieni, szatanów, kapiący naukami moralnemi, mógłby pozyskać niemało powodzenia wśród widzów, dla których fantastyka ma urok nieprzeparty. Wiersz gładki, dykcya jasna, wyrazista.

---

— *F. Kostrzewski.* **Pamiętnik** z 35 ilustracyami. (Warszawa, Nakład i druk S. Lewentala, 1891, str. 185). Jesto książeczka bardzo ładnie i starannie wydana, a napisana niepretensyonalnie przez człowieka, który dzielnie władając ilustratorskim ołówkiem, nie ma wielkiéj wprawy w pisanie, zwłaszcza w pisanie po literacku. Co żywiéj utkwiło mu w pamięci a co się bezpośrednio odnosiło do niego, opowiedział swobodnie, częstokroć naiwnie, a zawsze szczerze, nie starając się nigdy podnieść sztucznie w oczach czytelnika, lecz owszem przytaczając szczegóły, któreby mniéj szczery autor z pewnością pominął. Pogodnie uśmiechnięta twarz „filozofa“ i smakosza, dbającego o dobry stan żołądka, gdyż od niego „szampański“ swój humor wywodzi, przegląda z każdéj karty Pamiętnika, spełniającego wybornie główne swe zadanie — odmalowania osobistości piszącego. To, co opowiada o ludziach, z którymi się stosunkował, nie wzbogaca naszych wiadomości jakiemiś nieznanemi rysami, dorzuca tylko garstkę anegdot, malujących już to ciemnotę sfery, wśród któréj sztuka i literatura warszawska żyć i rozwijać

się przed laty musiała, już to wesołe, nieraz lekkomyślne usposobienie nie tylko młodzieży, lecz i starszych, już-to pospolitość i niewielką pomysłowość w zabawach. Anegdoty te są raczéj streszczane niż z zamiłowaniem kreślone; wyjątek stanowi ładny i żywy obrazek pierwszéj lekcyi Kostrzewskiego z dwiema pannami Potockiemi, które znając już skądinąd lęki nauczyciela wobec żab, zawiązały z nim znajomość przez zaprezentowanie mu jednego okazu z téj rodziny (str. 99 — 108). Rysunki dołączone do opowiadania ładnie je ilustrują; a przechowanie kilku charakterystycznych sylwetek, choć przy bardzo skąpym tekście, zasługuje na zupełne uznanie. Szereg ich rozpoczyna naczelnik Zieliński wielki amator obrazów, daléj idą hr. Męciński, pełen wyszukanéj elegancyi Kurnatowski, szambelan Skibicki, pogardliwie na świat patrzący Henryk hr. Rzewuski, wysoki i cienki Steinkeller w rozmowie z nizkim, pękatym trochę Salwianem Jakubowskim, generał Chłapowski, Gutakowski, który przez lat 20 nie wychodził z mieszkania, utrzymując, że oddychać dzisiejszém powietrzem nie może i nie warto, a kończy ks. Roman Sanguszko w szaréj kurcie.

---

— **Ballada w literaturze niemieckiéj i polskiéj oraz jéj znaczenie dla celów szkoły średniéj,** napisał *Jan Ew. Rembacz* (Jasło, czcionkami L. D. Stoegera, 1890, str. 124). Jestto praca nauczyciela, nie mająca, jak uprzedza sam autor, pretensyi do ścisłości naukowéj, lecz popularyzująca wyniki badań obcych; jeżeli zaś wkracza niekiedy w sferę umiejętną, czyni to „prawie przygodnie.“ P. Rembacz należy do téj kategoryi umysłów, które przy każdéj sposobności lubią roztaczać daleko sięgające poglądy i rozwijać pomysły w bardzo dalekim zostające związku z omawianym przedmiotem, i dają się téj skłonności unosić tak, że na właściwy temat niewiele im pozostaje określeń. Przy bujnym temperamencie i werwie pisarskiéj, przy zapale z jakim wygłaszają swe myśli i przy stanowczości swych zdań, mogą takie umysły sprawiać wrażenie jako mówcy, słucha się ich z zajęciem, chociaż po wysłuchaniu nie wiele się ma do powiedzenia o treści przez nich roztrząsanéj. Rozprawa p. R. o balladzie zawiera i charakterystykę wieków średnich i długi wywód o celu i środkach wychowania, streszczenie kilku ballad Schillera i Mickiewicza, wyrzekania na duch samolubstwa wiejący z dziejów naszych i domaganie się od stronnictwa postępowego, żeby swój program sformułowało; ale o znaczeniu ballady dla celów szkoły średniéj mamy w niéj uwag bardzo mało. Na „Poręce“ (*die Bürgschaft*) Schillera oraz na jego „Walce ze smokiem,“ wykazać się stara autor, iż ballady tego poety mieszczą w sobie wyborny materyał do ugruntowania w sercach uczniów — najwznioślejszych zasad.

Zgadzając się na określenie ballad Schillera, trudno nam bez zastrzeżeń przyjąć to co mówi autor o balladach Mickiewicza, najprzód dla tego, że podkład ogólno-historyczny, jaki w nich dostrzega p. Rembacz, nie jest dla nas widoczny i musiałby być wprzódy dowiedzionym, a powtóre, że pedagogiczne znaczenie w ścisłém rozumieniu wyrazu, ma właściwie jeden tylko „Powrót taty,“ gdy inne albo mają doniosłość społeczną, jak „Rybka,“ albo estetyczną jedynie, jak większość ballad Mickiewicza.

---

— **Przy budowie kolei,** powieść *Wincentego Kosiakiewicza* (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1891, str. 390). Przy pierszéj większéj powieści p. Kosiakiewicza p. t. „Janek“, robiono mu głównie zarzut z wadliwości kompozycyi, z niewłaściwego, bo nieumotywowanego cofania się wstecz, by powrócić znowu do rozpoczętego a przerwanego wątku. Widocznie wziął autor zarzut ten pod rozwagę i pisząc drugie z kolei obszerniejsze opowiadanie, bardzo umiejętnie się z zadania swego pod względem kompozycyi wywiązał. Największy nawet estetyczny rygorysta nie znajdzie w powieści „Przy budowie kolei“ uchybienia w układzie scen i rozwoju akcyi; wszystko tu jest na swojém miejscu, wszystko roztacza się genetycznie, bez żadnych sztucznych kombinacyi, mocą jedynie naturalnego biegu stosunków i uczuć ludzkich; autor zajmuje się tylko wyborem sytuacyi i ich zestawieniem w taki sposób, ażeby zamierzone uwydatnienie pewnych stron życia doprowadzić do skutku. Więzią, łączącą w jednę spójną całość różnorodne obrazki ze stosunków na prowincyi, jest kilka lat z pobytu Bronisława Piaseckiego inżyniera przy nowo budowanéj kolei. Człowiek ten o średnim umyśle i średniéj temperaturze uczucia, który sobie nigdy wielkiemi kwestyami społecznemi głowy nie zaprzątał, ani też zagłębiał się w tajniki przyrody czy ducha, który nie doznał żadnych nadzwyczajnych przygód, lecz przeszedł spokojnie drogę życia aż do lat 30 kilku, niczém się od przeciętnego ogółu sfery swojéj nie wyróżniając, lubi wygodne, łatwe życie, korzysta z nadarzających się zdobyczy miłosnych, mało co większe okazując zainteresowanie się niemi nad to, jakie okazuje przy jedzeniu, lęka się tylko ożenienia, unika więc panien, a lgnie do mężatek. Ten światek kolejowy, do którego się dostał, to bagnisko pospolitego życia, w którém uczucia tragiczne są nieznane, a zachowanie się kobiet takich jak żona zawiadowcy Julia, dbająca o bieliznę i garderobę męża na równi z urozmaiceniem sobie uciech, choćby z uszczerbkiem wiary małżeńskiéj, nie razi go wcale; wydaje mu się nawet weselszym, przyjemniejszym aniżeli świat warszawski. Wybornie, bez przesady, bez najmniejszego zamiaru satyrycznego kreśli p. Kosiakiewicz przystoso-

wywanie się inżyniera do tego życia prowincyonalnego, próby myślistwa i konnéj jazdy, granie w winta, przypatrywanie się pani Julii prasującéj obficie wykrochmalone spódnice, podziwianie jéj ramion, całowanie w szyję, zazdrość lekką obudzoną przez przyjazd hrabiego, wyjazdy do pobliskiego miasteczka, zalecanie do pięknéj dziedziczki i tysiączne drobiazgi tak odtworzone, że nie nudzą, nie wydają się zbyteczne, ani trywialne. Bardzo dobrze również skreślona jest pierwsza faza stosunków z Janiną, sierotą, wychowanicą pp. Orchockich, w których domku odnajmował inżynier pokój. To wchodzenie Janiny do jego pokoju dla zaparzenia i nalania herbaty, te grzeczne ukłony i podziękowania Piaseckiego bez zwrócenia uwagi na piękność dziewczyny, uważanéj za dziecko, są tak prawdziwe, tak naturalne, że im się wierzy bezwarunkowo. Natomiast druga faza stosunku z Janiną, kiedy do północy przesiaduje z nią w swoim pokoju, dopomagając w nauce przedsięwziętéj w celu otrzymania patentu nauczycielki ludowéj, chociaż w gruncie rzeczy nieprawdopodobną nie jest, dziwi wszelako niedomyślnością i Janiny i Bronisława, iż te lekcye w tajemnicy przed wszystkiemi trzymane a odbywane w końcu przy drzwiach zamkniętych i roletach zapuszczonych, mogą być bardzo źle wytłómaczone. Zachowanie się Piaseckiego po dowiedzeniu się o plotkach i wyznaniu w chwili uniesienia, uczynionem jest zgodnie z jego charakterem; ucieka przed zmorą ożenienia się, ale się nudzi, wraca i zrazu pod naciskiem opinii, potém szczerze ofiaruje swą rękę Janinie. Całe opowiadanie toczy się spokojnie, celuje łagodnemi przejściami; rzadko kiedy wzrusza głębiéj, a wyjątkowo tchnie poezyą; dzieje się to mianowicie tam, gdzie powieściopisarz przedstawia młode drzewka ścinane na wiosnę z powodu przeprowadzenia tamtędy linii, a zwłaszcza zniszczone gniazda ptasząt. Opis ten (str. 82—87) należy do najpiękniejszych w całéj książce, chociaż graniczy z sentymentalnością; szczęśliwie utrzymana miara uchroniła go od przesady i owa granica nie została przekroczona; urok poetycki pozostał. Nie myślę zachęcać autora, by częściéj robił takie poetyczne wycieczki, ale zaznaczyć ją i wartość jéj uznać uważam sobie za obowiązek.

---

— *Wincenty hr. Łoś.* **Linoskoczka,** powieść, 2 tomy (Lwów, nakł. G. Centnerszwera w Warszawie, 1891, str. 258, 173). Utwór ten stanowi dziwną mieszaninę rzeczy zaobserwowanych oraz wziętych jakby żywcem z romansów francuskich. Przedstawia przeważnie głupstwa, śmieszności i podłości sfery arystokratycznéj, przeciwstawiając jéj piękną, szlachetną, poetyczną i oryginalną cyrkówkę, w któréj wychowaniec bogatych i utytułowanych ciotek kocha się na zabój. Wychowa-

niec ten, Jerzy Kostorajski, mający być w przyszłości najbogatszym ze wszystkich krewnych, pozornie przybrał wszystkie cechy dobrze wypolerowanego człowieka, który ani zdania indywidualnego, ani uczucia przechodzącego miarę konwencyonalną nie posiada; w głębi jednak duszy jest to pełen sił żywotnych młodzieniec, wytwarzający sobie pod wpływem potężnej namiętności własną o sprawach świata opinią, lgnący do całkiem odmiennego trybu myślenia i postępowania aniżeli ten. w jakim go chowano. Wyzwoliwszy się atoli z pod wpływu otoczenia w sferze myśli i uczucia, nie ma jeszcze dość stanowczości, by się samodzielnym w sferze czynu okazać; ulega naciskowi krewnych, żeniąc się wbrew skłonności z bogatą histeryczką Stefanią, przez czas jakiś chce przytłumić w sobie przywiązanie do linoskoczki podejmowaniem kosztownych budowli i zajęciami gospodarskiemi, doświadczywszy jednakże samych niepowodzeń i przykrości domowych, wraca do swych uczuć i goni linoskoczkę po świecie. Pomyślne rozwiązanie cisnących go węzłów życia zawdzięcza stryjowi, uważanemu powszechnie za dziwaka i oryginała, a odgrywającemu w powieści wszechpotężną rolę *deus ex machina*, który podpala probostwo dla zniszczenia metryki synowca, ażeby módz na podstawie jego małoletności uzyskać dla niego rozwód i ożenić go z linoskoczką. Pochodzenie swoje obce zdradza ta figura najwyraźniej w tej sprawie, sądząc, że u nas potrzeba mieć lat 24, ażeby prawa pełnoletności posiadać. We wszystkich zresztą jej postępkach widzi się rysy z fantazyi poczerpnięte, nie zaś z rzeczywistości. Podobnież i cyrk Delvodera jest pomysłem romantycznym, przez uczucie wdzięczności dla czasów minionych wskrzeszony, nie posiadający cech spółczesności. Opowiadaniu przyznać należy w wielu ustępach wydatność, żywość i prawdziwość, ale zarzucić wypadnie zbyt częste powtarzanie z naciskiem tych samych rysów, niepoprawność języka, a nawet nierozumienie wyrazów (*kataplazmy* zamiast *kompresy*) i t. p. Forma (rzecz przedstawiona jest w pierwszej osobie przez młodego powieściopisarza, którego ów stryj oryginał wynajął do pilnowania Jerzego), utrzymana co prawda dobrze od początku do końca, nie przyczynia się do wywołania efektu dodatniego i często wolelibyśmy głębsze wniknięcie w charaktery osób niż relacye z mylnych nieraz zapatrywań tego niby-obserwatora, które czasami bywają zawadą w pojmowaniu charakterów.

---

— *Adam M-ski.* **Jeden z wielu,** poemat. (Kraków, 1890, str. 55). Prześlicznemi zwrotkami czterowierszowemi, jasnemi i czystemi jak kryształ a mieniącemi się grą barw tęczowych, opowiada poeta jeden z najczęstszych u nas objawów życia duchowego: w zaraniu mło-

dości wielkie niebosiężne, prometeuszowe wzloty myśli i uczuć, i rychło po nich następujące rozczarowanie, zwątpienie o możności urzeczywistnienia owych wielkich ideałów, a nieumiejętność utrzymania równowagi duchowej, wśród tych warunków jakie przedstawia życie realne. Miłość nieszczęśliwa pozbawia najczęściej — nie tyle może w rzeczywistości, ile w poematach i powieściach — tych miękkich, choć szlachetnych zapaleńców wiary i ufności, rzuca ich na pastwę smutków i niemocy do działania. Zdaje mi się, że częstokroć jest takie tłómaczenie wygodną, poetyczną, czasem wzruszającą wymówką prostéj nieudolności do czynu po wypaleniu się namiętnych ogniów młodości; czyby miłość dopisała czy nie, zapaleńcy tacy, nie mówię zawsze, ale często, nie potrafiliby się utrzymać na pierwotnéj wyżynie, a że życie prócz pięknych słów domaga się działania, tacy bohaterowie, narzekając na ciasne szranki, nic nie robić wolą. W poemacie dźwięczy nuta prawdy w malowaniu przejść serdecznych, a niektóre ustępy zdolne są porwać za sobą nawet chłodniejsze usposobienie, jeśli tylko mają wogóle poczucie poetyczne.

---

= **Syzyf**, obrazy z życia wiejskiego przez *Klemensa Junoszę* (Warsz., Gebethner i Wolff, 1891, str. 204). — **Z zapadłych kątów**, obrazki przez *Klemensa Junoszę* (Warsz., T. Paprocki, 1891, str. 328). Słusznie Junosza nadaje pracom swoim określenie: obrazy lub obrazki; istotnie bowiem nie są to powieści lub nowele, w którychby jakiś ważny wypadek w życiu jednostek, czy grup społecznych, albo też wewnętrzny rozwój ducha stanowił główny motyw opowiadania, lecz raczéj są to zazwyczaj zarysy ludzi i stosunków w scenach luźnych, zaledwie cieniutką nicią ogólniejszego interesu powiązanych. Autor lubuje się w pewnych sytuacyach, np. w rozmowach, które nie posuwają akcyi naprzód, ale służą do bliższego poznania osobistości rozmówców lub rozjaśniają położenie osób trzecich. Jest to właściwość pisarska, która najmniéj traci przy felietonowym sposobie ogłaszania utworu; każdy bowiem felieton, przy umiejętném podziale, może zawierać zaokrągloną w sobie scenę lub scenkę. Wiadomo to oddawna, że postaciami najlepiéj przez Junoszę kreślonemi są przedewszystkiém żydzi, poczynając od najbiedniéjszych i najmniéj oświeconych aż do bogaczów i uczonych w talmudzie. Ich cechy znamienne występują najświetniéj, zgodnie z rodzajem pisarskim autora, nie tyle w działaniu, ile w rozmowie, w któréj Junosza słusznie zaniechał wykrzywiania wyrazów, lecz składnią i stylem uwydatnia odrębność wysłowienia. I tak w „Syzyfie“ znakomicie przedstawioną postacią jest zac-

ny, rozumny, posługujący się ciągle właściwemi sobie porównaniami i alegoryami stary Maneles, rozumiejący położenie szlachty wiejskiéj, spółczujący jéj i narzekający na nienasyconą chciwość nowego pokolenia spekulantów wśród swoich współwyznawców. W „Straconém szczęściu“ („Z zapadłych kątów“) wyborny jest tchórzliwy geszefciarz Boruch i w zachowaniu się swojém i w charakterystycznych wyrażeniach zwłaszcza; ożywia on całe opowiadanie, któreby bez niego bardzo mdło się przedstawiało. Miniaturowém odbiciem Borucha jest Mendel w „Młynarzu z Zarudzia.“ Na drugiém miejscu pod względem estetycznym w obrazkach Junoszy możnaby postawić wszelkiego rodzaju oryginałów, t. j. ludzi jaskrawo odbijających jakiemiś cechami zewnętrznemi od swego szarego otoczenia, czy to będzie ksiądz eks-wojskowy, albo wesoły jowialista, jak Onufry (w „Straconém szczęściu“), czy szlachcic zajmujący się po amatorsku medycyną (p. Karol w „Syzyfie“). Daléj poszłyby sylwetki służby kościelnéj na wsi (w „Straconém szczęściu“, jak w „Syzyfie“), pokątnych doradców (w „Młynarzu z Zarudzia“), chłopów, ekonomów i t. p. Najmniéj zwykle zadawalniają u Junoszy postaci główne i kobiéty, nie dlatego, żeby w rysunku były jakieś ważne błędy, ale dlatego że ich nie umié ukazać w ruchu, w akcyi, a choćby nawet w wybitnéj rozmowie. Taki np. szlachcic, jak pan Jan ze Stawisk, reprezentujący Syzyfową pracę na roli, rozsądny, energiczny, pracowity, nie mający w sobie nic prawie z tradycyjnie przekazywanych właściwości szlacheckich, a mimo to wskutek fatalnych warunków, w jakich nasze rolnictwo się znajduje, z wielkim trudem zaledwie mogący wystarczyć na niezbędne wydatki gospodarstwa i wychowanie dzieci, mógłby w beletrystyce naszéj zająć świetne miejsce, niemal wyjątkowo, gdyby był należycie wykonany, gdyby go czytelnik miał jasno przed oczyma w przeróżnych sytuacyach, w których z powodu swoich interesów znajdować się musiał. Ale on jest zasłonięty przez poboczne figury, p. Karola, doktora Ditto, Manelesa i t. d., o jego kłopotach dowiadujemy się po większéj części z kronikarskiéj relacyi autora lub rozmowy postronnych, działa on po za kulisami i nie może, pomimo sympatycznych rysów, obudzić w czytelniku zainteresowania estetycznego, chociaż jako wyraz położenia ekonomicznego wielce jest zajmującym. Albo taka dzielna, energiczna, jasno widząca sytuacyą kobiéta, jak Marta w „Straconém szczęściu“ jakżeby miłą i pożądaną była kreacyą wśród dodatnich typów niewieścich, gdyby delikatniéj, subtelniéj była wycieniowana, gdybyśmy mogli w duszę jéj zajrzéć głębiéj. Ale i ją zasłaniają figury podrzędne, mające o wiele więcéj życia artystycznego od niéj, takie

jak Boruch, Onufry, sędzia i t. d. Kompozycya jest oczywiście w tych obrazkach bardzo luźna; im rzecz krótsza, tém jest jednolitsza; a im dłużéj się ciągnie, tém więcéj w niéj braków. W „Syzyfie“ np. na 204 stronicach mamy oderwane sceny z dwudziestu kilku lat mozolnego życia p. Jana; harmonijnego rozwinięcia części poszczególnych, na tak szczupłém miejscu i przy tak rozlegle pomyślanym planie, trudno się tu spodziewać. W „Straconém szczęściu“ lubo przeciąg czasu, objętego opowieścią, jest o wiele krótszy, podobnież bardzo nierówno rozwinięte są części składowe.

---

— *Józef Rogosz.* **Karyerowicz** (Ciche tragedye), powieść. Kraków. (G. Gebethner i S-ka, 1890, str. 274). Autor nie będzie miał zapewne do nas pretensyi, jeżeli dla określenia charakteru bohatera ostatniéj jego powieści użyjemy wyrazu szubrawiec najpodlejszego gatunku, bo takim jest ten p. Roman Świerczykowski, który jako student wysługuje się rozmaitym Laurom i Zefirynom, byleby mieć wygodny byt zapewniony, a następnie bałamuci nieładną, ale szlachetną hrabiankę, by się do jéj posagu dorwać i strwonić go na wybryki nibypańskiego gustu. W każdym jego postępku i w każdém niemal słowie przebija się natura gruba, pozioma, nikczemna, nie mająca nawet najlżejszych drgnięć prostéj uczciwości, a zwodząca ludzi swoją ujmującą powierzchownością i usilnie zachowywanemi pozorami wyszukanéj grzeczności. Słabą to było stroną p. Żyglińskiego, który dla takiego łotra powziąwszy raz sympatyę, dał się uwieść jego zapewnieniom i występki jego tolerował, za słabości je poczytując, dopóki sam skutków tych słabości nie poczuł na sobie, gdy mu jego protegowany żonę, piękną a zmysłową Rumunkę, odbił. Miał być ten Żygliński artystycznem przeciwieństwem postaci głównéj, uosobiając rozum, uczciwość, zajęcie się dobrem kraju; ale jakże niestety słabo gra swoją rolę, jak małoznaczącą jest w powieści figurą nietylko wobec Świerczykowskiego, wypełniającego sobą plan główny, lecz nawet wobec takiego wykluczonego za fałszerstwo z grona adwokatów p. Grzegorza Brzytwickiego, który w łotrostwie nie ustępuje p. Romanowi, chociaż podrzędne w utworze miejsce było mu przeznaczone. Wogóle dodatnie osobistości, jak owa hrabianka Aniela, jak Lipski, który ma zostać drugim jéj mężem, jak wreszcie hrabina Szumińska, która, pominąwszy wygórowaną pychę rodową, jest ostatecznie kobiétą rozsądną i zacną,— nakreślone są szkicowo, a w niektórych sytuacyach szablonowo. Nie kładlibyśmy na to szczególnego nacisku, gdyż w beletrystyce zarówno naszéj jak i obcéj stało się to zjawiskiem powszedniém, ale w „Karyerowiczu“ przewaga artystyczna osobistości nikczemnych jest zbyt wiel-

ka i wywołuje bardzo przykre wrażenia, czyni utwór nie powieścią, ale satyrą zamaskowaną. W sposobie obrobienia opisowa strona nieraz bywa dobrą, dyalogowa i narracyjna mniéj zadawalnia, mało bowiem ma w sobie cech znamiennych. Język wogóle poprawny; zwrócilibyśmy tylko uwagę autora na bardzo często powtarzające się galicyzmy (względnie germanizmy) takie, jak użycie przysłówka więcéj zamiast już w zdaniach przeczących, lub spójnikowego wyrażenia: tak długo zamiast dopóty. Przy téj sposobności musimy dodać, że tego rodzaju błędy u pisarzów z Galicyi są niemal powszechne i choć nieraz tępiła je krytyka, uporczywie wracają.

---

= **Strofy.** Wydanie nowe. (Kraków, Anczyc i S-ka, str. 272 + VIII). O zbiorku tym epigramatów w najszerszém znaczeniu wyrazu pisało już „Ateneum" we właściwym czasie; obecnie zaznaczyć wypada, iż w nowém wydaniu urosły Strofy znacznie, bo prawie o połowę (poprzednio było całostek 115, obecnie 203), że tętni w tych świeżo dodanych jak i w dawniejszych uczucie szlachetne, lecz po większéj części smutkiem i goryczą, pesymizmem przeniknięte, że forma pod względem wiersza i dykcyi jest wogóle ładna, chociaż nie zawsze w zupełności wymaganiom estetycznym czyni zadość. W przemówieniu końcowém p. n. „Ostatnie", poeta skazuje sam siebie na milczenie, dlatego, jakoby doba dzisiejsza, domagająca się czynów, odbierała „swobodę myśli" nawet. Sądzimy, że jest to wyraz chwilowego jedynie zniechęcenia; bo w kim iskra wzlotów poetyckich się żarzy, ten z śmiercią dopiero pieśń swą zwykle kończy i nie daje się zwalczyć przeciwieństwami, chociażby wielkiemi.

---

= **Siedm dokumentów do życia Janickiego,** wydał *St. Windakiewicz.* Kraków 1890, str. 11. (Odbitka z Archiwum do dziejów lit. i ośw.). Z pomiędzy poetów złotego wieku literatury naszéj, o żadnym może nie mamy tak szczegółowych wiadomości biograficznych jak o Janickim. Jakgdyby przeczuwając przedwczesny zgon, w pismach swych rozrzucił on taką obfitość szczegółów do swéj biografii, że z nich bez trudności odtworzyć można całkowity życiorys tego poety. Długi czas zachodziła jednak wątpliwość ażali te szczegóły są istotnie prawdziwemi, brakło bowiem oparcia o dokumenta i daty, któreby autentyczność tych danych udowodnić mogły. Wątpliwość tę usunął w części Łukaszewicz przytaczając w swojéj „Historyi szkół" (I. 76) odpis dyplomu na poetę laureata i doktora filozofii udzielony Janickiemu w Wenecyi w r. 1540, rozpraszają ją zaś już w zupełności ogłoszone

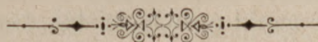
obecnie przez p. Windakiewicza dokumenty z archiwum biskupiego w Krakowie, stwierdzając najdokładniéj szczegóły podane przez samego Janickiego. Dokumentów tych w języku łacińskim spisanych jest siedm. Pierwszy odnosi się do znanego szczegółu objęcia przez Janickiego zaraz po powrocie z Włoch probostwa w Koniuszy pod Proszowicami i mieści zarazem akt rezygnacyi poprzednika. Widocznie nie musiało jednak probostwo to świetnych przynosić Janickiemu dochodów, skoro niebawem, jak stwierdza dokument drugi, zamienia je poeta nasz, w sekrecie przed swym kolatorem Kmitą, na inne w Gołaczowie pod Olkuszem. Dokument trzeci jest kontraktem dzierżawy pomiędzy Janickim a niejakim Janem Pyczkiem, któremu poeta wydzierżawia dochody proboszczowskie na lat trzy, za rocznym czynszem 18 grzywien. Dokument czwarty mówi o jakichś zatargach z parafianami, którzy nie chcieli opłat mszalnych uiszczać w naturze. Trzy ostatnie akta stwierdzają znany szczegół o niedostatku i chorobie Janickiego. Mamy tu między innemi ciekawą umowę o ustępstwo karczmy z gruntami na rzecz innego już jakiegoś Wojciecha Pyczka, który spłaca Janickiemu 20 grzywien i zobowiązuje się do rocznego czynszu. W szóstym z rzędu z daty 20 lutego 1543 wystawionym w imieniu „Piotra z bożéj łaski arcybiskupa gnieźnieńskiego i biskupa krakowskiego", znajdujemy nominacyą Jerzego Podlodowskiego na probostwo osierocone *„per mortem venerabilis olim Clementis Janitii"*. Siódmy i ostatni dokument jest rachunkiem kuśmierza za sporządzenie płaszcza aksamitnego podbijanego futrem i odświeżenie sukni poety i jego matki. Powyższych siedm dokumentów odnoszących się do ostatnich lat życia Janickiego, a stwierdzających we wszystkiém podane przez samego poetę szczegóły, służyć może za dowód wystarczający wiarogodności słów jego i daje podstawę na któréj historya literatury oprzeć może życiorys tego bądźcobądź najznakomitszego przedstawiciela poezyi łacińskiéj złotego okresu naszéj literatury *W. P.*

---

— **Informacya o aktach uniwersytetu bolońskiego,** *przez Dra St. Windakiewicza.* Kraków 1891, str. 23. (Odbitka z Archiwum do lit. i ośw.). Jedną z największych korzyści jakie przyniosła nauce krakowska wyprawa naukowa do Rzymu z r. 1887, jest odnalezienie w aktach uniwersyteckich Padwy, Bolonii i Sienny ksiąg i dokumentów odnoszących się do Polaków, którzy właśnie uniwersytety owe tak tłumnie w XV, XVI i XVII wieku odwiedzali. Znaczną część dokumentów i wypisów do tych rzeczy się odnoszących ogłoszono już, ale ruch wydawniczy nie ustaje gdyż zebrane materyały są nader obfite

i co roku niemal pojawia się nowa garść nieogłoszonych źródeł, które coraz jaśniejszy rzucają promień światła na stosunek naukowy Polski z Włochami, stanowiąc zarazem godny uwagi przyczynek do dziejów cywilizacyi. W rozprawce niniejszéj daje p. Windakiewicz wiadomość o aktach uniwersytetu bolońskiego, które dzieli na 3 kategorye. Pierwszym działem są akta kolegiów profesorskich, drugim akta studentów, trzecim wreszcie akta nacyi, czyli stowarzyszeń akademickich. Z tych trzech rodzajów aktów, który to podział zachowały wszystkie 3 uniwersytety, akta kolegialne są materyałem do ocenienia działalności naukowéj uniwersytetu, studenckie obejmują zewnętrzne administracyjnéj natury sprawy, księgi nacyi zaś dopiero są, wedle słów p. Wind. pomnikiem nie aktów publicznych lecz życia, przedmiotem historyi a nie statystyki. Akta uniwersytetu bolońskiego odnalazł autor w archiwum państwowém i arcybiskupiém w Bolonii, gdzie po połowie zostały złożone. Brak w nich osobnych ksiąg nacyi polskiéj, które nabyła w r. 1834 blioteka Zamoyskich w Warszawie i gdzie dotąd nieznane i niezużytktwane spoczywają. Z tego materyału jaki odnalazł, podaje jednak autor wszystkie zapiski do rzeczy i spraw polskich się odnoszące. Obejmują one okres od r. 1381 do 1609, a dokonane są chronologicznie porządkiem akt według podanego wyżéj podziału. A więc naprzód idą *Libri secreti iuris pontificii*, następnie *Libri secreti iuris Caesarei*, wreszcie *Libri secreti del Collegio Medico*. Mieszczą one mnóstwo nazwisk polskich z zamieszczoną obok notatką czy student odbył promocyę lub nie i w jakich warunkach. Ciekawym i ważnym jest również dział ksiąg tz. *rotuli*, obejmujących spisy wykładów corocznie w uniwersytecie ogłaszanych, a różnią się tém od dzisiejszych *tabulae lectionum*, że redakcyą ich zajmowali się sami uczniowie. Rotuły owe będące nader cennėm źródłem do poznania stanu i rozwoju nauki uniwersyteckiéj ogłosił drukiem uniwersytet boloński w obszernéj księdze wydanéj w roku jubileuszowym 1888. Z działu *acta universitatis*, które stosunkowo najniedbaléj były prowadzone, podaje p. Wind. tylko imiona Polaków, którzy byli konsyliarzami nacyi sarmackiéj, resztę zaś surowego i niezbyt wdzięcznego materyału pozostawia następcom, którzyby po nim dokładniejszém zbadaniem tego przedmiotu zająć się chcieli. W zakończeniu jest wiadomość o rękopisie ksiąg nacyi polskiéj w Bolonii, nabytym przez bibliotekę Zamoyskich w Warszawie. Jestto manuskrypt *in folio* pod l. 397 *ms.* składający się z 33 kart. Tytuł jego brzmi: „*Album Polonorum per civitatem Bononiensem iter facientium 1600—1661.* W interesie wydobycia tego cennego pomnika przeszłości, który mieści, jak wnosić można, najważniejszy i najciekawszy

materyał dotyczący Polaków i spraw polskich w Bolonii, byłoby ze wszech miar do życzenia, aby się corychléj zbadaniem rzeczonego rękopisu zajęto.



# POLEMIKA.

## I.

Marcowy zeszyt „Ateneum“ mieści w dziale rozbiorów i sprawozdań ocenę pracy mojéj „Dyplomy i kancelarya Przemysława II“, napisaną przez p. A. Wysłoucha. Gdyby znajomość nauk pomocniczych do historyi wogóle, a dyplomatyki w szczególności była bardziéj u nas rozpowszechniona, nie uważałbym za właściwe na krytykę powyższą odpowiadać. Nie lubię polemik osobistych, zwłaszcza z krytykami, którzy postanowiwszy *a priori* autora zwalczyć, temuż apryoryzm zarzucają.

Aby czytelnik co do rozumienia zarzutu krytyka, żadnéj nie miał wątpliwości, przytacza p. Wysłouch z troskliwą adnotacyą stronicy i tomu dzieła „pisanego prawie równocześnie“ zdanie O. Didona, że „każdy *„esprit trop cultivé“* ma zawsze przed oczyma swój system, który zmusza *„voir ce qu'on veut et ne pas voir ce qui ne nous convient point“*. „Praca, o któréj mówimy może podobno służyć za potwierdzenie słów uczonego dominikanina“ dodaje krytyk.

Jeśli co, to chyba najłatwiéj zasłonić się frazesem wyrwanym z jakiéjbądź współczesnéj lub dawniejszéj książki. Cytaty zawsze się znajdą. Autora uważa łaskawie krytyk za *„esprit trop cultivé“* i to poczytuje mu za grzech pierworodny. Krytykowi mógłby autor przypomnieć, że również współcześnie piszący p. Witkiewicz w dziele: „Sztuka i krytyka u nas“ dowiódł bezmyślności frazesu „sztuka jest trudną, a krytyka łatwą“. Frazes ten równie bezmyślnym pozostanie, jeśli wyraz „sztuka“ zastąpi słowem „nauka“. Łatwą jest taka krytyka dzieł naukowych, jaką dał p. W. w marcowym zeszycie „Ateneum“. Trudną, prawdziwie trudną, ale zarazem twórczą jest krytyka ściśle naukowa, jakiéj przykład dał np. p. Plebański o pracy Władysława Abrahama o organizacyi kościoła polskiego. Nie zaniedba ona wytknąć, gdzie potrzeba usterek i pomyłek, a nawet błędów, od których żadna naukowa praca wolną być nie może, ale podniesie rezultaty uzyskane na podstawie stanu źródeł i stanu nauki

w danéj chwili, albo metodę, jakiéj autor używa, lub jaką wprowadza. Jeśli nawet potępia dzieło, to i wtedy jest konsekwentną.

Krytyka p. W. ani ścisłością, ani konsekwencyą się nie odznacza. Bo co mnie, wyznać muszę otwarcie, że gdybym komuś zarzucił apryoryzm w dziedzinie nauki prawie ścisłéj, to konsekwentnie postępując, nie szafowałbym monetą pochwał zdawkowych i nie „witałbym z radością jego rozprawy, jako zapowiedzi dalszych prac w tym kierunku“, nie „czułbym żadnéj dla niego wdzięczności za wybór tematu“, (skoro go tak popsuł), nie „składałbym hołdu jego pracowitości i dobrym chęciom“, nie mówiłbym, że „studya na polu dyplomatyki, tak zaniedbanéj u nas, powinny poprzedzić badania paleograficzne, których próbkę dał nam autor“. Nie miałbym także żadnéj „nadziei, że w tym kierunku w dalszym ciągu działać będzie ku pożytkowi nauki“, a nawet z niedowierzaniem spoglądałbym na „pięknie ułożone regesta“. Albo, albo. Nauki pomocnicze do historyi są dla niéj tém, czém technika dla sztuki. Albo technika coś warta, albo nie. W pierwszym razie należy jéj użyć, w drugim trzeba ją odrzucić. Jeśli gdzie, to w technice historycznéj apryoryzm miejsca mieć nie może i nie powinien. Kto tu apryoryzmem się posługuje, ten służy źle nauce i prawdzie i lepiéj, żeby wcale nie działał. Więc jeśli krytyk ma odwagę taki zarzut stawiać, wówczas ma obowiązek umotywować go ściśle. Czy i jak to czyni, przekonamy się, postępując uważnie za tokiem jego recenzyi.

Zaraz na wstępie wspomina krytyk, że zapowiadam trzymanie się metody prof. Sickla, „jakkolwiek uważam ją za niedostateczną“. Nie rozumiem, skąd to wié krytyk. Wstęp mój nic podobnego nie mówi. Piszę tam: „Za punkt wyjścia chciałem obrać zasadę, która tak znakomicie posunęła studyum dyplomatyki średniowiecznéj, zasadę mistrza w téj dziedzinie nauki, prof. Sickla, który w swém dziele o dyplomach karolingskich pierwszy śledził autentyczność i pochodzenie oryginałów oznaczając rękę pisarzów. Widzieć wszystkie oryginały stawało się pierwszym postulatem“. W dalszym ciągu zwracam uwagę, że samo paleograficzne badanie nie wystarcza, że trzeba zważać na treść prawną, na język i na kryterya wewnętrzne, które są wyłącznemi dla dyplomów znanych tylko z kopii.

Nie rozumiem, w czém tu od metody Sickla odstępuję, co więcéj nie widzę nawet czém ją zapowiadam. Mówię o z a s a d z i e autopsyi, która, o ile chodzi o oryginały, panuje w dyplomatyce bezwzględnie, ale nie mówię o metodzie. Krytyk widocznie zasadę a metodę bierze za jedno. A już ta metoda prof. Sickla, to ulubiony konik recenzenta. W innéj bowiem miejscu (str. 633) pisze p. W. „Gdyby autor trzy-

mał się ściśle metody prof. Sickla, nie uzupełniając jéj czém innéni, być może, że wiele światła by rzucił na te sporne kwestye; stało się inaczéj". Znowu identyfikuje tu recenzent badanie paleograficzne z metodą Sickla. Przeciw takiemu pojmowaniu rzeczy zastrzegłby się pewnie przedewszystkiém uczony niemiecki, który przecież najsilniéj wystąpił przeciw odrzucaniu kopii i zawsze wewnętrzne kryterya uwzględniał (Zob. § 109, 112, *Lehre von den Urkunden der Ersten Karolinger*. Wien, 1867, I). Nie wiem co p. W. pocznie z wszelkiemi odpisami i kopiami dyplomów.

Ale wracając do zarzutu zmiany metody, tak jakby pojmować należało (nie jak to czyni krytyk), to i wtedy niesłusznym się okaże. Metoda jest naukowém ujęciem przedmiotu, sposobem łączenia poszczególnych zjawisk, aby występowały wszystkie i dały jasny obraz całości. Rzecz naturalna, że innéj metody użyć trzeba dla dyplomów merowingskich lub karolingskich, innéj dla dyplomatyki cesarskiéj, papieskiéj lub książęcéj. Recenzent pokrywa się tu i owdzie cytatem z Possego (*Lehre von den Privaturkunden*) i mówi o pięknéj pracy Herzberga o dokumentach cesarskich z czasów t. zw. po-staufowskiego *interregnum*. Dziwić się wobec tego należy, że nie wyczytał z tych dzieł tylko tego, czego nie chciał wyczytać, że nie chciał pamiętać o tém, że ci autorowie właśnie ze względu na przedmiot metodę odmieniają. A gdyby p. W. był zaglądnął tu i owdzie do dzieła Fickera „*Beiträge zur Diplomatik*", może byłby się przekonał, że żadna metoda dotąd w dyplomatyce powszechnéj bezwzględnie nie panuje; powtarzam, że nie uważam metody a zasady za jedno.

Do wpływu pracy M. Perlbacha: „*Das Urkundenwesen Herzog Mestwin II*" przyznaję się chętnie. Dotycząca przyległego kraju i prawie tych samych czasów, mechanicznie przejrzysta, wymagała koniecznie uwzględnienia. Że jednak doszedłem do wręcz przeciwnych rezultatów, niż Perlbach, i że to wszędzie zaznaczałem, tego krytyk nie podnosi.

Aby „mozolne zestawienie wszelkiego rodzaju formuł, jako to: inwokacyi, areng i t. d. zbytecznem było" nie sądzę. Z jednéj strony pragnąłem pracownikowi dać łatwy środek kontroli do ręki; z drugiéj tylko cyfry zdołały dowieść jednolitości form dokumentów Przemysława. Jednolitość ta przeważała tak dalece, że uznałem za zbyteczne dać tablice sposobem Perlbacha ułożone, który ich właśnie z powodu przewagi dyplomów przez odbiorców pisanych potrzebował. Dokumenta sfałszowane zaznaczyłem w regestach i w przypiskach do nich. Ich formuły wciągałem do porównania również celem przedłożenia czytelnikowi całego naukowego warsztatu. W pracy kon-

strukcyjnéj byłoby to zapewne błędem, w ściśle analitycznéj może być nawet pożądaném. Nie wiem, czy historyk miałby większy pożytek z mojéj pracy, gdybym był podał antologią kilku areng i ciekawszych formułek *in extenso*. Szerokie tłómaczenie znaczenia poszczególnych formuł wydaje się również rzeczą zbyteczną p. W., który nie przypuszcza, aby u nas historyk nie umiał ich od siebie rozróżniać. Odpowiem, że zagranicą po dziś dzień często się spór toczy o uważanie jakiéjś części dyplomu, za tę lub inną formułę i błędy są częste w tym względzie. To zaś, co u nas w dyplomatyce przygodnie pisano, świadczy dostatecznie, że jeszcze jasno ze składowych części dyplomu nie zdajemy sobie sprawy. Spotyka mnie zarzut, że o dacie mówiąc, ograniczyłem się do nazwania jéj „jedną z najważniejszych części dyplomu“ i nie podniosłem jéj znaczenia. Tak nie jest. Zaraz bowiem w następném zdaniu zapowiadam zastanowienie się nad jéj znaczeniem, a na następnéj stronicy 15-éj faktycznie to czynię. Mówię wyraźnie, że data oznacza albo chwilę dokonania czynności prawnéj, albo chwilę spisania dyplomu. Co prawda, jestem ostrożnym w sądzie, kiedy jeden a kiedy drugi moment w dacie widziéć należy. Ale jeśliby recenzent znał stadya, jakie np. praca nad regestami niemieckiemi przechodziła od Boehmera począwszy do Mühlbachera, a wreszcie Fickera, który całe swoje Przyczynki do dyplomatyki, kwestyi daty i *itinerarium* poświęcił, pewnieby wstrzemięźliwość za zasługę autorowi poczytał. Mimo to wyraziłem przecież zdanie, że w dyplomach wielkopolskiego księcia *actum* częściéj chwilę dokonania czynności prawnéj, *datum* częściéj chwilę spisania dyplomu oznacza. Przy dzisiejszym stanie naszéj dyplomatyki bardziéj kategorycznie nikt téj kwestyi rozstrzygnąć nie potrafi.

A teraz przystąpmy do „szkopułu pracy“, do szczegółu, który krytyka spowodował zarzucić jéj apryoryzm i rozwinąć „swoje zasadnicze poglądy“.

Posłuchajmy recenzenta: „Treścią formuły *actum et datum* jest przedewszystkiém oznaczenie czasu i miejsca wydania dyplomatu: a jeżeli tak, to na jakiéj zasadzie łączy z nią autor *per manus?* Prawda, że przy niém domyślać się należy częstokroć gramatycznie „*datum*“, logicznie jednak zmuszeni jesteśmy „*per manus*“ wyosobnić w oddzielną formułę“, dodaje daléj „bo (formuła ta) zachowuje swą odrębną treść materyalną“. Odpowiem naprzód, że jak przed chwilą podniosłem, formułka daty nie oznacza zawsze chwili wydania dyplomu, ale czasem także chwilę dokonania czynności prawnéj, będącéj jego treścią. Jeśli chodzi o pierwsze znaczenie, łączy się często z „*per manus*“, którego wobec tego żadną miarą całkiem oddzielnie

traktować nie można. Zresztą niepotrzebnie bawi się p. W. w gramatyczne domyślanie „*datum*“. Na str. 15 w. 2 mojéj rozprawy, piszę: „Już tu podnieść należy, że „*datum per manus*“ jest formą przeważną, samodzielnie bowiem zjawia się 63 razy, wespół z innemi formami 29 razy“. Razem więc pojawia się „*datum per manus*“ 92 razy, więc w połowie wszystkich dyplomów Przemysława — nie potrzeba się go dopiéro domyślać.

Ale o ile chodzi o odrębne, samodzielne znaczenie „*per manus*“, to znowu śmiem zapytać recenzenta, na jakiéj podstawie nieuwzględnienie tego znaczenia mi zarzucił. Upraszam znowu czytelnika, by zechciał posłuchać słów mojéj pracy: „jeśli zaś zbierzemy wszystkie razy, w których się „*per manus*“ pojawia, uzyskamy cyfrę 103..., cyfry poprzednie dają charakterystykę wybitną dyplomatyce Przemysława II, u Mestwina na 159 dyplomów przychodzi tylko 15 razy „*per manus*“. Co ta formułka oznacza, nie ma jeszcze zgody, pewna, że nie wszędzie jedno i to samo“.

Mówiąc o rozmaitém znaczeniu „*per manus*“ w dyplomatyce niemieckiéj, wyraźnie podnoszę, że „badanie pisma jedno może ostateczną przynieść odpowiedź“ i tylko mimochodem zwracam uwagę na okoliczności wewnętrzne, które za tém przemawiają. Zapewne, że nawet „*conscripsi*, *scripsi*“ i t. d. „jak słusznie zauważyli“ pp. Posse i Wysłouch, nie zawsze oznacza pisarza dyplomu, ingrossatora, ale przyzna każdy, że to oznaczać może, jeśli autopsya temu się nie sprzeciwia.

Nie należało więc mówić o jakiémś *parti pris* autora, skoro mówiąc o kryteryach wewnętrznych przed zewnętrznemi, zwrócił uwagę na niektóre szczegóły, których uzasadnienie zapowiadał.

Starałem się dać to uzasadnienie w rozdziale czwartym. Krytyk mówiąc o nim, używa całego zapasu frazesów, więc prawi o „tezie autora“, wié o jego apryorazmie i urozmaica swą rzecz francuzkim cytatem O. Didona, który tu wszedł jak piłat w „*Credo*“. Apryoryzmu ma dowodzić „zestawienie oryginałów podług imion notaryuszów, jakie noszą u spodu, mimo to, że różnią się zupełnie charakterem pisma i t. d.“ Nie wiem, czy mam do czynienia z nieświadomością, czy ze złą wiarą recenzenta. Każdy, który przeczyta w méj pracy choćby tylko rozbiór dyplomów, noszących imię Tilona (str. 24—26), przekona się, że po zestawieniu ich i po odznaczeniu tłustym drukiem oryginałów, rozróżniam pisane jedną ręką i pisane odmiennemi charakterami. Badałem na podstawie autopsyi i zestawiałem jednakie pisma, a nie jednakie imiona. Np. d. 482, 543, 555 i pomorski 544, nie mają przecież żadnego imienia, a twierdzę stanowczo, że są ręką Tilona pisane. Grupowanie podług imion notaryuszów było tylko środkiem przed-

stawienia, a nie sposobem badania. Jeśli „*per manus*“ nie odpowiadało pismu tego lub owego pisarza, zaznaczałem to zawsze lojalnie, a nie, jak chce krytyk, tylko przy dyplomach lędzkich. Że mimo to w większéj ilości oryginałów formułce „*per manus*“, złączonéj z imieniem jakiegoś pisarza odpowiadało podobne pismo, to już nie moja wina.

Opisy pisma wszelkie są niedokładne, podałem więc w 12 tablicach w fototypii 35, wyraźnie trzydzieści pięć dość obszernych podobizn, aby każdy mógł wywody moje skontrolować i ocenić. Recenzent wié o istnieniu 12 tablic w fototypii jedynie przy powtórzeniu tytułu pracy. Po za têm podobizny, wydane za sprawą akademii umiejętności krakowskiéj w sposób wszelkim wybrednym wymogom zadość czyniący, nie istnieją dlań wcale. Wobec tego nie mogę odpowiadać na wyrwane ustępy z mojéj pracy np. o piśmie Jaśka, które przedstawia typy odmienne, ale przecież, jak podobizny uczą, bardzo zbliżone; ośmielę się tylko z swojéj strony rzucić pytanie, czy taka krytyka na nazwę krytyki zasługuje.

Piąty rozdział nie przynosi krytykowi żadnych pozytywnych rezultatów. A szkoda. Dowiedziałby się bowiem, że stanowisko kanclerzy Przemysława było wyłącznie honorowém (o ile o wygotowanie dyplomów chodzi) i że kancelarya na notaryuszach polega. O Tilonie i Świętosławie z tytułem protonotaryuszów mówię poprzednio w rozdziale czwartym (str. 26 i 32). Tytuł ich zaczerpnięty z papieskiéj dyplomatyki wydaje mi się również honorowém odznaczeniem. Co do Tilona, to dyplom N. 568, w którym go nosi, wymienia Jaśka notaryusza i pisany jest tegoż ręką. Wnioskując analogicznie, wyraziłem wątpliwość, czy Świętosław sam pisał dyplomy w piśmie podobne, a noszące jego imię.

Błahym rezultatem jest dla p. W. ciekawy fakt bliskiego pokrewieństwa głównych notaryuszów. Zdaje mi się, że nikt z mojéj pracy nie odniósł wrażenia, jakobym na têm pokrewieństwie opierał podobieństwo formuł lub nawet podobieństwo pisma. Mówiąc o piśmie Jakóba (str. 29) lub o piśmie Mikołaja (str. 31) zaznaczałem, że wyszły niewątpliwie z téj saméj szkoły, co pismo Jaśka lub wprost na niém się oparły. Co do formuł, to np. o arendze wspomniałem dwukrotnie (str. 8 i 20), że trzy najczęstsze jéj rodzaje odpowiadają poniekąd trzem głównym pisarzom. Świadczyłoby to, podobnie, jak wielka różnica form w dyplomach w Krakowie lub w kancelaryi królewskiéj wydanych, że pisarze zmieniali czasem formy dowolnie; np. arenga pozwalała najłatwiéj uwzględniać osobiste predylekcye. Formularze były niewątpliwie w użyciu. Ale nie będzie niezgodném z du-

chem owych czasów przypuszczenie, że bracia mogli sobie najłatwiéj formy przekazywać, że najpewniej młodsi pod okiem starszego do tego samego zawodu się zaprawiali. Tak rozumiałem wartość i znaczenie pokrewieństwa pisarzy wielkopolskiéj kancelaryi.

Jeszcze słówko sprostowaniom recenzenta. Błąd w podaniu szóstéj formuły inwokacyi zaznaczyłem sam w eratach. Nie mogę się zaś zgodzić, jakoby brak inwokacyi w sześciu dyplomach z podanych przezemnie był regułą ogólną. Dyplomy te nie są żadnemi, jak mówi krytyk, zwyczajnemi rozporządzeniami (*statuta*, *ordinationes*). Nie ma żadnéj różnicy w treści prawnéj pierwszego z nich N. 2032 a w treści opatrzonych inwokacyą dyplomów NN. 500, 520 lub 619; wszystkie bowiem dotyczą zamiany własności książęcéj. Tak samo dyplom N. 636, pozbawiony inwokacyi, nie różni się od N. 519 nią opatrzonego — obadwa mają za przedmiot uwolnienie od ciężarów. Więcéj przykładów znajdzie czytelnik, jeśli zestawi na str. 16 mojéj rozprawy w rozdziale trzecim, mówiącym o treści prawnéj podane grupy dokumentów, oznaczone cyframi 2, 5 i 6. Dyplomów: N. 543 (reg. 60), będącego rodzajem listu do Krzyżaków i N. 632 (reg. 102) zatwierdzającego ordynacyą biskupią nie zaliczam do żadnéj grupy, ale przekonany jestem, że brak w nich inwokacyi nie wypływa z żadnych zasadniczych powodów.

Dwie arengi dyplomów N. 629 i 743 różne nieco w formie, mają przecież wspólną treść, nie „nic“ jak chce krytyk.

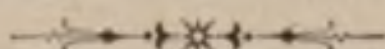
Najciekawszemi są poprawki kilku form imienia księcia z dodatkiem dosłownym recenzenta: „Tak przynajmniéj wydrukowano w kodeksie, bo oryginałów nie widzieliśmy“. A szkoda. Jeden z nich (665) z formą *Primuzel* (nie *Pramuzel*) spoczywa w jednéj z bibliotek warszawskich, innego (617) dość dużą podobiznę z formą *Primilz* (nie *Premilz*) pomieściłem na tablicy X, fig. 20. Ale co tam podobizny — one dla recenzenta nie istnieją, tylko kodeks wielkopolski. A przecież powiedziałem we wstępie mojéj pracy (str. 2), że k a ż d y d y p l o m s k o l a c y o n o w a ł e m z o r y g i n a ł e m.

Korroboracyi nie brak w N. 516, bo przecież dyplom ten z odnalezionego oryginału berlińskiego drukuję w pełnéj formie w dodatku.

Tyle pragnąłem odpowiedzieć na wywody recenzenta. Jeśli replika moja wypadła obszerniéj, niż zamierzałem, upraszam, by zarówno czytelnik, jako też szanowna redakcya zechcieli to usprawiedliwić względem na dobro nauki, która u nas dopiéro rozwijać się po-

czyna, a która dla swéj ważności, ma wszelkie prawo oczekiwać krytyki najsurowszéj ale sumiennéj i umiejętnéj.

*Dr. Stanisław Krzyżanowski.*



II.

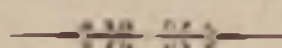
Dopiéro niedawno dowiedziałem się, że prof. Struve odpowiedział mi w marcowym zeszycie „Ateneum“ na moją krytykę „Encyklopedyi filozoficznéj. Treść i forma repliki, w któréj argumentacya moja została starannie ominiętą, oraz dziwne conajmniéj wycieczki osobiste autora, uniemożliwiają wszelką dyskusyę bezstronną i tém samém zwalniają mnie od wyczerpującéj polemiki.

*A. Grosglik.*





# KRONIKA MIESIĘCZNA.



zém powinna być kronika?

Wiernėm odbiciem życia społecznego z ubiegłego tygodnia, czy miesiąca, oświetleniem najważniejszych faktów ogólnėj doniosłości i t. d. Takie wymagania stawiali i stawiają kronikarzowi.

Mniėj więcėj uważają się one dzisiaj za anachronizmy. Bo czémże jest ten szablonowy frazes o „wiernėm odbiciu życia społecznego“? Toć nawet taki majster „odźwierciadlania rzeczywistości“ jak Zola, w ściśle określonych granicach artystycznych, jakie sobie postawił, nie dokazał tėj sztuki, a jego metodę posadzono na ławie oskarżonych. Zkądże więc skromny kronikarz ma posiadać ten dar „wiernego odbicia“ na kilku stronicach? Tak samo jest i z owém „oświetleniem najważniejszych faktów życia społecznego“. Kto się podejmie zakwalifikować ten fakt do dziedziny „ważnych“, a tamten „ważniejszych“? Kto powié, że ten jest ogólnėj, a tamten nieogólnėj doniosłości? Toć nawet uczeni, z pozytywną metodą badania faktów najściślėj obeznani, sprzeczają się o doniosłość faktów, przyznając im lub odmawiając pierwszorzędnego znaczenia. A kronikarz miałby posiadać sekret wyławiania i oświetlania faktów „ogólnego znaczenia“. To dziwne!

Sądzę, że sam tytuł „kronika“ powinien autora od takich dziwnych wymagań i pretensyi uwolnić. Kronika nie jest historyą, jeśli o sposób pisania historyi prowadzi się spór między dwiema wielkiemi szkołami, z których jedna pragnie w niėj wykryć ogólne prawa i zrobić ją tylko gałęzią nauk przyrodniczych, a druga, przyznając wielką doniosłość pierwiastkowi indywidualnemu, na teoryę pierwszėj zgodzić się nie może, to zkądże kronika, dziennikarskiém piórem zrobiona, posiadać ma przywilej „wiernego odbicia? Może być ona tém, czém były kroniki średniowieczne: dowolném i przypadkowém rejestrowaniem.

Z tych względów, miły czytelniku czy prenumeratorze, nie wymagaj wiele od kronikarza i bądź rad, jeżeli on coś rozsądnego powiedzieć ci potrafi.

Czytelnicy „Ateneum“ wiedzą już z poprzedniego zeszytu, że tygodnik literacki „Życie“, po czterech latach istnienia przestał wychodzić.

„Ciągły ubytek prenumeratorów przekonał nas — mówi redakcya w pożegnaniu — że zadanie krzewienia dobrego smaku w zakresie literatury jest za wczesne, i że nie pora na systematyczną, usilną pracę w tym kierunku. „Życie“ nie zdołało wywalczyć sobie trwałego gruntu dla przyszłości i dla tego zamilknąć musi, nie bez gorzkiego żalu ze strony tych, którzy z zajmowanego stanowiska ustępują — oby nie bez następców.“

O upadku czytelnictwa, pism i prenumeraty, pisze się i mówi w ostatnich czasach dużo, tak, że zachodzi obawa, aby tą sprawą nie znudzić czytelników. Jest to jednak kwestya o tyle dla nas żywotna, że powracać trzeba do niéj z obywatelskiego i dziennikarskiego obowiązku.

P. Chorąży w „Wieku“ upadek „Życia“ takim między innemi opatrzył komentarzem: „Pogodzić się trzeba z myślą, że te tylko pisma ostać się mogą, które mając pewien stały grunt pod nogami, pracują w kierunku najbardziéj odpowiadającym dzisiejszym potrzebom swego społeczeństwa. Wśród owego ogółu prasy pomyślniéj dzisiaj rozwijają się i większe na przyszłość nadzieje rokują te pisma, które wytrwale i umiejętnie stoją przy sztandarze dobrze zrozumianego konserwatyzmu: wiedzą o tém wszyscy, którym nie obce są zakulisowe sprawy warszawskiego dziennikarstwa. Fakt ten znamienny winienby zwrócić uwagę zarówno redakcyj jak i publiczności; on bowiem wskazuje, w którą stronę usiłowania w zakresie popierania krajowego piśmiennictwa zwrócić należy.“

Jest to wyraźna reakcyjna piosenka, która co raz częściéj brzmi na szpaltach dziennikarstwa warszawskiego. W ogóle dwa prądy co raz silniéj w niém wzbierają: reakcyjny i drugi, który się lęka, nie chce, czy nie może przyznać do żadnego przewodniego kierunku, a który nazwałbym oportunistycznem filisterstwem. Ten węszy tylko, z któréj strony wiatr wieje, paktowałby dzisiaj z Bogiem, jutro z dyabłem, na przemiany może być kaznodzieją moralności lub kankanującym Kalchasem, zależnie od tego, na co znajdzie większy pokup. Oscyluje on zręcznie i szuka stycznéj między podażą a popytem.

Pierwszy pod osłoną „dobrze zrozumianego konserwatyzmu“ pro-

paguje po prostu jakąś zaściankowość. Tak np. rozumiem wyżéj przytoczone uwagi p. Chorążego.

Inni znów objawiali zdanie, że u nas tylko te pisma mieć mogą racyę bytu, które idą równolegle z życiem, jak prasa brukowa. Nie pomyśleli zapewne nad tém, jakie świadectwo umysłowego ubóstwa wystawiają własnemu społeczeńswu. Albo „prasa brukowa“ albo „dobrze zrozumiany konserwatyzm“. Piękna perspektywa!

Mnie się zdaje, że przyczyn przesilenia, jakie przechodzą prasa i wydawnictwa księgarskie u nas, szukać należy gdzieindziéj. Czytelnictwo w naszym kaju w wyjątkowo ujemnych znajduje się warunkach, które nie mogą być porównane z żadnemi w innych krajach. Tam promienie oświaty i cywilizacyi robią co raz szersze kręgi, wciągając w sferę kultury umysłowéj nowe warstwy, dzięki powszechnéj, a obowiązkowéj szkole, dobrobytowi i uświadamianiu społecznemu najniższych klas ludności. Takie różniczkowanie interesów odbija się naturalnie w prasie, która musi być organem wszystkich kierunków opinii publicznéj i w literaturze, rozszerzającéj krąg swojéj obserwacyi. U nas, zwłaszcza w ostatnich kilku latach, z zachwianiem ekononomicznem obywatelstwa wiejskiego, ubyło czytelników z warstw oświeconych a niski stopień kulturalny ludu jeszcze swych nie dostarcza.

Żadne żyjące i postępujące społeczeństwo nie może długo lekceważyć potrzeb umysłowych i estetycznych. Z temi potrzebami są związane najważniejsze jego interesa, a stagnacya umysłowa jest w skutkach swoich gorszą od stagnacyi ekonomicznéj. To właśnie jest nader smutném, że téj elementarnéj prawdy nie uznajemy.

„Dobrze zrozumiany konserwatyzm“ sprawy nie polepszy. Zdarzyło mi się mówić z wyznawcą téj zasady, człowiekiem, który metrowi od menueta za lekcye, jakie ten dał jego córkom w ostatnim karnawale, zapłacił sto rubli. Obywa on się tylko jednym „kuryerem“. Kiedy ubolewałem przed nim na upadek pism, zauważywszy, że w budżecie ludzi zamożniejszych kilkanaście rubli, na prenumeratę, nic nie stanowi, zawołał:

— Jakto nic! Kupię za nie trzewiki dla moich córek.

Jest przy tém najżarliwszym wyznawcą „dobrze zrozumianego konserwatyzmu“, którego p. Chorąży jest heroldem.

Czy można przewidywać koniec téj opłakanéj stagnacyi umysłowéj?

Z nader nielicznemi wyjątkami, niestety, prasa warszawska lęka się gorącego słowa a machinalna rutyna wygnała z niéj temperament, indywidualność i odwagę swoich przekonań. Sucha, rzemieślnicza

robota z dnia na dzień z numeru na numer, nie może podnieść wrażliwości publicznéj, a tendencyjny zdawkowy frazes nikogo nie przekona. Przeciwnie, czytającemu zależy na tem, aby jak najprędzéj z nim skończyć. Cmentarna cisza, jaka zalega łamy dziennikarskie, wywołuje odpowiedni nastrój w czytelniku. Pamiętajmy o tém, że w słowie drukowaném lepszą jest żółć od wody.

Nadzieje, co do zmiany charakteru komisyi kolonizacyjnéj, w Poznańskiem, nie ziszczają się. Pisano mianowicie w dziennikach, że owa komisya, owoc eksterminacyjnéj i anty-słowiańskiéj polityki Bismarcka, otrzyma ze zmianą polityki pruskiéj inny charakter, że jéj cele polityczne ustąpią społeczno-ekonomicznym. Świadomi stosunków miejscowych nie dają temu wiary. Mianowicie korespondent „Gazety Warszawskiéj“ z Poznania, którego listy, ze względu na gruntowność w traktowaniu życia téj prowincyi i dobrych informacyi co do jéj stosunków, zasługują na uwagę, pisze: „Podawane w ostatnich czasach przez rozmaite organy prasy, wiadomości o projektowanéj jakoby reorganizacyi komisyi kolonizacyjnéj, nie sprawdzają się dotychczas wcale. Przeciwnie, utrwala się tutaj coraz więcéj przekonanie, że są to przeważnie pogłoski, pozbawione, przynajmniéj na razie, wszelkiéj podstawy, a czerpiące swój początek wyłącznie z faktu, że nowy prezes naczelny W. Ks. Poznańskiego nie został mianowany jednocześnie kierownikiem komisyi. A jednak fakt ten daje się wytłómaczyć daleko prostszemi przyczynami. Najpierw bowiem, jak się dowiadujemy z wiarogodnego źródła, p. Willamowitz, przy ofiarowaniu mu urzędu prezesa, oświadczył stanowczo, że nie przyjmie połączonéj z tym urzędem godności kierownika komisyi; a powtóre dzisiaj, przy ogromném powiększeniu zakresu działalności zarówno prezesa naczelnego, jak dyrektora komisyi, połączenie dwóch tych urzędów jest wprost niemożliwe.“ Wspomina tylko daléj korespondent, że projektowane jest rozszerzenie działalności kolonizacyjnéj na całe państwo.

Jednym z nielicznych faktów, jakie przedstawia życie społeczne w Ks. Poznańskiem, jest instytucya Kółek włościańskich, licząca już 18 lat istnienia. Kółek tych jest tam obecnie 150. Zadaniem ich jest popierać prawidłowy rozwój gospodarstw przez zakupywanie nasion, narzędzi i nawozów, przez odczyty, tyczące się ekonomii i kultury rolniczéj i t. d. Na rozwój tych kółek tém większą należy zwrócić uwagę, że są one wybitnym dowodem uzdolnienia chłopa polskiego do solidarnego działania w stowarzyszeniu ekonomiczném, uzdolnienia, którego mu ci i owi skwapliwie odmawiają. Sprawozdanie z zeszłorocznéj ich działalności wspomina między innemi, że 18 synów włościańskich kosztem patronatu kółek uczyło się sadownictwa; komisye kó-

łek zwiedziły 53 wzorowych gospodarstw. Otrzymują one subwencye od Bazara w Poznaniu i Centralnego Towarzystwa Gospodarczego.

W sferach prawodawczych miał powstać projekt zorganizowania specyalnych urzędów, mających pełnić obowiązki doradców prawnych włościan. Urzędnicy tacy pozostawać będą w służbie rządowéj i prowadzić darmo sprawy, nie przenoszące rs. 500. Za prowadzenie spraw większych, klienci opłacać będą honoraryum określone przez prawo. Intencye nowéj ustawy — o ile ona w ciało się oblecze — są jasne i polegają na wyrwaniu chłopów z szponów pokątnych doradców, oraz oduczenia ich od pieniactwa.

„Zanim jednak projekt ten zostanie urzeczywistnionym — pisze p. Lange w „Kuryerze Codziennym", — ustawy sądowe wskazują sposób uniknięcia rujnujących procesów.

Drogą taką są sądy polubowne, przewidziane art. 1367 i 1400 ust. post. cyw. Powaga ich wyroków niczém nie jest różna od powagi wyroków sądów koronnych, które je sankcyonują. O ile zaś droga pojednawcza może być użyteczna, świadczy o tém artykuł p. Z. Gl., pomieszczony przed niedawnym czasem w „Gazecie Warszawskiéj". Autor opowiada o dwóch sprawach włościańskich, które z nader małym kosztem załatwione zostały przez sądy polubowne, w okolicach Tykocina: „Sąd — mówi p. Gl. — w ciągu kilku godzin rozstrzygnął wszystkie kwestye sporne i pogodził zwaśnione strony, co w drodze procesu przeciągnęłoby się niewątpliwie lat kilka i wtrąciło niezamożnych ludzi w szpony lichwy i nędzy, a zarazem moralnego upadku, którym jest roznamiętniona zawziętość i zawiść przeciwników.

„Na szersze rozpowszechnienie sądów polubownych — kończy autor — wpłynąćby mogli w znacznéj mierze obrońcy, do których zwracają się po poradę interesowani. Byle tylko zechcieli!"

W tém właśnie leży cała trudność. I my się zgadzamy z autorem artykułu w „Kuryerze Codziennym", że wpływ adwokatów na naszych chłopów dla ukrócenia pieniactwa mógłby być dość skutecznym. Lecz wpływu swego w tym kierunku nie wszyscy oni chyba użyją. Opinia publiczna w ostatnich zwłaszcza latach, skarżyła się tu i owdzie na adwokatów. Stawiano im liczne i faktyczne zarzuty. Rozpowszechnione po miastach prowincyonalnych zgraje tak zwanych „łapaczów", których funkcye polegają na chwytaniu klientów, demoralizują w wysokim stopniu ludność. Niewtajemniczonych objaśnić należy, że owi łapacze, przygotowujący klientów dla światłych synów Temidy, zajmują się jednocześnie paserstwem, stręczeniem do nierządu dziewcząt i innemi niezaszczytnemi profesyami. W zeszłym roku zdarzył

się w Łomży ciekawy fakt, że kilku z tamtejszych obrońców, więcej skrupulatnych w pojmowaniu swego fachu, wystąpiło z inicyatywą, ażeby nie wpuszczać do siebie łapaczów i klientów przez nich sprowadzonych. Kiedy jednak przyszło do spisania wzajemnego zobowiązania w tym względzie, niektórzy z nich, pomimo uczynionych przed tém obietnic, cofnęli swoje podpisy. Wypadek ten głośny był wówczas w kraju i w prasie i rzucił charakterystyczne światło na stosunki w palestrze.

W téj uwadze nie jesteśmy wcale oskarżycielami naszéj tak dawno istniejącéj korporacyi obrończéj, która dała krajowi tylu głośnych i pożytecznych ludzi, i która dziś ma w swoich szeregach inteligencyę, wiedzę i zasługę. Nie uogólniamy téż rzeczy. Jesteśmy tylko skromnym odgłosem bardzo wyraźnego chóru publicznego, w intencyi, aby szlachetny zawód obrońcy odzyskał przynależny mu szacunek.

Warszawskie towarzystwo dobroczynności pomyślało o powiększeniu rozmiarów domu sierot „Jachowicza“. Komitet, w tym celu utworzony, podał do wiadomości, iż zebrany kapitał wynosi około 13 tys. rubli. Gmach podominikański przy ulicy Freta nie mógłby pomieścić rozszerzonego zakładu, pomślano więc o skorzystaniu z kolonii Drewnicy, o 6 wiorst od Warszawy położonéj, a własność Towarzystwa dobroczynności stanowiącéj. Wychowańcy uczyć się będą rzemiosł, mających związek z gospodarstwem wiejskiém. Koszta utrzymania kolonii na rok pierwszy obliczono na rs. 5,714, a na następne lata po rs. 3,089.

Ponieważ komitet posiada zobowiązania kilkunastu ofiarodawców płacenia po rs. 100 przez lat trzy, to zebrany na sieroty fundusz dorośnie do rs. 17,500; zamiarem więc jest komitetu złożyć z tego kapitału rs. 10,000 w banku, jako fundusz żelazny instytucyi, o ile zaś procent téj sumy, oraz dochody z kolonii Drewnicy nie wytworzą corocznie rs. 3,089, o tyle zgłaszać się do ofiarności publicznéj.

Mówiąc o opiece nad młodém pokoleniem, wspomnieć trzeba o projekcie p. Szymańskiego, który, według pogłosek dziennikarskich, pragnie uzyskać u władzy pozwolenie na zakład poprawczy dla chłopców. Projektodawca wzorować się pragnie na podobnych zakładach zagranicznych i, posiadając 50 tysięcy rubli rozporządzalnego kapitału, nie wątpi o uzyskaniu pozwolenia rządowego.

Podobny zakład odpowiadałby bardzo pilnym potrzebom poprawczo-wychowawczym; Osady rolne albowiem są otwarte tylko dla małoletnich przestępców, których przyjmują z mocy wyroków sądowych. Jest to jedna z tych anomalii, tkwiących w ustroju społecznym, że

wprzód należy zostać przestępcą, aby następnie uzyskać prawo do opieki społecznéj. Przestępstwo więc zapewnia niby przywiléj.

Obserwacya codzienna wskazuje nam, ile młodocianych egzystencyi zostałoby poprawionych lub ocalonych w podobnym zakładzie. Widzimy dzieci z narowami lub wadami, które przez umiejętny system wychowawczy dałyby się poprawić, a które władza rodzicielska, czy to przez wielką surowość czy pobłażliwość, a i w jednym i w drugim razie przez nieznajomość zasad edukacyjnych, ostatecznie wykoleja. Bo na punkcie wychowania jesteśmy wszyscy zatwardziałymi konserwatystami. Zresztą wszędzie sprawy wychowawcze należą do tych, w których najdłużéj rządzi rutyna. Spencer, który sztukę wychowania uznaje za jedną z najtrudniejszych, radby ją widzieć w umiejętnych, specyalnie ku temu przygotowanych rękach.

Nie wiemy, czy projekt p. Szymańskiego oblecze się w ciało, bo, jak wiadomo, projekta tylko łatwo się rodzą. Ale zakład poprawczo-wychowawczy jest bardzo potrzebny.

Odczyty na korzyść Osad rolnych, wygłoszone w sali ratuszowéj w kwietniu, były charakteru specyalnego. Mówili: p. Jankowski „O kwiatach pokojowych“, inżynier p. Krzyżanowski „Miasto i zdrowie“, dr. Nussbaum „Ogólny pogląd na ustrój mechanizmu ludzkiego“, dr. Heryng „O suchotach“. Chociaż temata społeczne ani literackie poruszonemi na katedrze nie zostały w tym sezonie, które, jak wiadomo, najwięcéj wywołują dyskusyi i interesu w inteligentnéj publiczności, to jednak od ogółu słuchaczy należy się wdzięczne uznanie prelegentom za wykład pouczający, jasny i popularny. Kwestye specyalne, tylko w takim wykładzie mogą się stać pożytecznemi i przystępnemi dla ogółu.

W Muzeum przemysłu i rolnictwa działy się nieporządki, o których opowiadały miasto i prasa. Dzięki energicznemu wystąpieniu téj ostatniéj, a mianowicie artykułowi p. Grendyszyńskiego w „Kuryerze Codziennym“, sekretarz Muzeum z zajmowanego stanowiska ustąpił. Pragniemy i życzymy, aby Muzeum odpowiedziało teraz swojemu przeznaczeniu.

Inne Muzeum, mianowicie pszczelnicze, rozwija się po różnych przejściach, korzystnie. Ze sprawozdania okazuje się, że zakład ten zyskuje w kraju i w okolicach cesarstwa zbyt na swoje ule i wyroby, a i zadanie wykształcenia dobrych pszczelarzy osiąga także.

Przed kilkunastu dniami został ogłoszony akt prawodawczy dużéj społecznéj doniosłości o uprawnieniu dzieci nieprawych. Zapisujemy go tymczasem zanim się doczeka oceny fachowéj. Nowe prawo ułatwia rodzicom uprawnienie dzieci, zrodzonych przed zawarciem

małżeństwa, wymagając od nich tylko wniesienia prostéj w tym względzie deklaracyi do sądu. Łatwa i krótka procedura jest właśnie zachętą prawodawcy, ażeby rodzice skwapliwie korzystali z nastręczonéj im możności do poprawy błędu czy występku, jaki popełnili w obec form prawno-społecznych. Byliby podwójnie winni w obec własnych dzieci, gdyby z zapewnionéj im przez nowe prawo rehabilitacyi nie korzystali.

Świeżo ogłoszony akt nie rozcina kwestyi tak zwanych dzieci naturalnych w całéj jéj rozciągłości. Nie wszyscy przecież rodzice takich dzieci wstępują w związki małżeńskie. Przeciwnie, jest ich zaledwie nieznaczny zapewne procent. Najczęściéj uwodziciel nietylko nie daje moralnéj rehabilitacyi uwiedzionéj kobiécie, przez zawarcie z nią małżeństwa, ale nie chce podzielać z nią nawet trudów i kosztów, związanych z utrzymaniem i wychowaniem dziecka, a „dochodzenie ojcowstwa jest wzbronionem“.

Lecz nawet w takiéj rozciągłości, w jakiéj zostało ogłoszone nowe prawo, jest ono dużym krokiem naprzód w odnośnéj sferze stosunków, usuwając część krzyczącéj niesprawiedliwości, popełnianéj na dzieciach, zrodzonych w związkach wolnych.

Jakkolwiekby je przyjęli fałszywi lub naiwni czciciele tradycyi rodzinnych, zostanie ono w obec sumienia i rozumu konieczną i słuszną reformą, wywołaną palącemi potrzebami życia. To życie rozwinie i uzupełni je daléj. *L.*

---

# NEKROLOGIA.

† **Michał Korowaj Metelicki**, ur. w Janowcu w gub. Kijowskiéj r. 1855, wcześnie osierocony przez oboje rodziców, gimnazyum skończył w Połtawie, uniwersytet w Warszawie na wydziale prawnym, otrzymawszy stopień kandydata praw. Wstąpił potém do służby rządowéj w sądzie okręgowym, najprzód w Radomiu, następnie w Warszawie; z powodu słabego zdrowia musiał ją opuścić, szukając polepszenia to w Krymie, to w Sławucie. Zajmował się badaniem poezyi ukraińskiéj i z dziedziny téj pomieszczał artykuły w „Przeglądzie Tygodniowym“ i „Kraju“. Przełożył na język polski z Lermontowa „Demona“ (Warsz. 1889) i „Anioła śmierci“. W rękopiśmie pozostawił zbiorek pieśni własnych: „Sonety“ i „Freski krymskie“. Zmarł 9 stycznia r. b. Pochowany we wsi Kępie Kościelnéj.

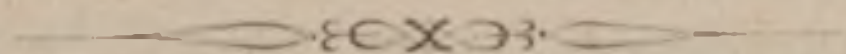
† **Ks. Serwatowski Waleryan**, urodzony 1810 r., odbywszy studya gimnazyalne w Krakowie, a teologiczne w Wiedniu, wyświęciw-

szy się na księdza, został profesorem Pisma Ś-go w seminaryum w Tarnowie, później w uniwersytecie krakowskim. Był bardzo czynnym na polu piśmiennictwa religijnego, począwszy już od r. 1837. W Wiedniu ogłosił: „Wykład Pisma Ś-go Nowego Zakonu“ (Wiedeń, 5 tomów, 1844—46; nowe wyd. w 4 tomach, Warsz. 1860; 3-e wyd. Kraków 1870); „Głos kapłana do ludu Chrystusowego“ (Tarnów, 1848), „Wykład Listów Ś-go Pawła“ 1850—72 (Kraków, Warszawa), „Pogląd na dzieje rodu ludzkiego ze stanowiska chrześciańskiego“ (1852, Kraków), „Pierworys systematu filozofii ze stanow. chrześc.“ (t. t. r.), „Nauki parafialne, dogmatyczne dla ludu wiejskiego“ (Warsz. 1860), „Dzieje Starego Testamentu... dla dzieci“ (kilka wydań od 1869), „Jak mama maleńkiego Jasia religii uczyła“ (Krak. 1874, 1875, zeszytów 2), parę książek do nabożeństwa, i t. d. Umarł w Krakowie około 20 marca r. b.

† **Henryk Łuczkiewicz**, ur. w Perespie w Galicyi r. 1826, kształcił się we Lwowie, potém w Wiedniu, Pradze i Krakowie, gdzie pozyskał stopień doktora medycyny (1825) a następnie chirurgii i był przez lat cztery adjunktem kliniki terapeutycznéj. W r. 1860 habilitował się na docenta patologii i terapii szczegółowéj w akademii medyko-chirurgicznéj w Warszawie; r. 1862 powołany został do wykładu historyi medycyny w téjże instytucyi; w Szkole Głównéj uczył patologii ogólnéj, w uniwersytecie, prócz tego przedmiotu, wykładał historyę medycyny i encyklopedyi nauk lekarskich; jako profesor zwyczajny otrzymał emeryturę w 1886. Na polu piśmiennictwa pracował niestrudzenie od r. 1866, kiedy napisał rzecz o „Zdrożnéj i ruchowéj śledzionie“; w r. 1861 został redaktorem „Pamiętnika towarzystwa lekarskiego“, w 1866/7 i 1878—1880 redagował „Gazetę lekarską“. W przeciągu tego czasu wydał następne dzieła oryginalne: „O białaczce pod względem klinicznym“ (Warsz. 1860), „Choroby układu nerwowego“ (1869), „Choroby narządu krążenia krwi“ (1874), „Kurs propedeutyki lekarskiéj“. Nadto ogłosił popularne broszury treści lekarskiéj: „o suchotach płucnych“ (1866), „o hemoroidach“ (1868), „o chorobie skrofulicznéj“ (1880), „o blednicy“ (1882). Od 1889 był członkiem komitetu redakcyjnego „Wielkiéj encyklopedyi ilustrowanéj“ i opracowywał w niéj cały prawie dział lekarski. Przełożył wiele cennych dzieł, jako to: Sydenhama „O histeryi“ (1859), Hipokratesa „Aforyzmy i rokowania“, Oesterlena „Farmakologia“ (1860), Uhlego „Patologia ogólna“ (1873), „Choroby zakaźne ostre“ (1874), „Hygiena publiczna i prywatna“ (1884), Haesera: „Dzieje medycyny nowożytnéj“ (1886), Celsa „O lecznictwie ksiąg ośmioro“ (1889). Mnóstwo nareszcie artykułów w czasopismach specyalnych,

i popularnych, pisanych zawsze nader starannie, jasno, przystępnie i piękną polszczyzną, uzupełniają obraz niezmordowanéj pracy, któremi kochany i poważany powszechnie profesor życie swe wypełnił. Zmarł w Warszawie 6 kwietnia r. b.

† **Stanisław Zawadzki**, ur. r. 1827, wychowaniec gimnazyum warszawskiego i kursów prawnych, zdolnościami, sprężystością i ruchliwością zdobył sobie jako prawnik i rejent wielkie uznanie i wpływ. Jako referent komisyi rządowéj sprawiedliwości wydał w 3 dużych tomach „Prawo cywilne obowiązujące w Królestwie Polskiém" (Warszawa, 1860, 1861, 1868). Kodeks Napoleona w tym zbiorze ukazał się w nowym przekładzie. Zmarł w Nizzy, gdzie bawił na kuracyi, w początku kwietnia r. b.



## KORESPONDECYA.

**P. Lemieszowi.** List pański otrzymaliśmy; dziękując za pamięć, zużytkujemy uwagi w nim zawarte w przyszłym zeszycie.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński* — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Апрѣля 1891 г. — Druk Jana Cotty.

# NOWE KSIĄŻKI

## nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

### w kwartale I-szym i II-gim 1891 r.

1. *Stanisław Grudziński.* **Żona artysty.** Powieść obyczajowa. Dwa tomy w jednym. Kraków, nakł. G. Gebethnera i S-ki, 1891. 8-o, str. 233.
2. *Wincenty hr. Łoś.* **Jędrzek.** Powieść. Warszawa, skład głów. w księg. G. Centnerszwera, 1890, 8-o, str. 194.
3. **Przygody Robinsona.** Skróciła *F. M.* (dla dzieci). Warszawa, 1891, 8-o, str. 62 z rys.
4. **Antek sierota.** Z powieści Teresy Jadwigi p. t. „Stacho" przerobiła *R. M.* (dla młodzieży). Warszawa, 1891, 8-o, str. 37.
5. **Komedye i monologi** oryginalne i tłómaczone. Serya I. (Wydawnictwo „Echa muzycznego i artystycznego"). Warszawa, 1891, 8-o, str. 426 (cena rs. 1 kop. 50).
6. *J. I. Kraszewski.* **Wybór pism.** Oddział VI. Nowele, obrazki i fantazye, porządkiem chronologicznym ułożone i wstępem krytycznym poprzedzone przez *Piotra Chmielowskiego.* („Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiej"). Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1890, 8-o, str. XIX i 670.
7. *Wincenty hr. Łoś.* **Linoskoczka.** Powieść. Lwów, nakł. księg. G. Centnerszwera w Warszawie, 1891, 8-o, t. I, st. 258; t. II, str. 173.
8. *Gabryela Zapolska.* **Fantazye i drobnostki.** Warszawa, nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1891, 8-o, str. 444.
9. *M. Gawalewicz.* **Drugie pokolenie.** Powieść oryginalnie napisana. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1891, 8-o, t. I, str. 284; t. II, str. 240.
10. **Ostatni projekt** reformy prawa i procesu karnego w Polsce. Napisał d r *Władysław Ostrożyński.* Kraków, 1890, 8-o, str. 68.
11. *M. Guyau.* **Wychowanie i dziedziczność,** studyum socyologiczne, przełożył *J. K. Potocki.* Warszawa, nakł. S. Lewentala (1891), 8-o, str. 410.
12. **Sprawozdanie** z działalności Warsz. oddziału Cesars. towarzystwa racyonalnego polowania za czas od 13 kwietnia 1889 do 1 czerwca 1890. Warszawa, 1890; 8-o, st. 40.
13. **Oksana.** Szkic sielankowy. Napisał *Włodzimierz Wysocki.* Kijów i Odessa, nakł. księg. Bolesława Koreywy, 1891, 8-o, str. 72.
14. **Las.** Napisał *Włodzimierz Wysocki.* Wyd. drugie, Kijów i Odessa, nakł. księg. Bolesława Koreywy, 1891, in 16-o, str. 30.
15. *Julian Łętowski.* **Na bożym świecie.** Nowele i obrazki. Warszawa, nakł. S. Lewentala (1891), 8-o, 256.
16. D-r med. *Ludwik Natanson.* **Hygiena praktyczna.** Warszawa, nakł. S. Lewentala (1891), 8-o, zeszytów 13; część I, str. 432; część II, str. 163.

---

**Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdej z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.**

# ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

**wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.**

## TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

## Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

**Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

**DO REDAKCYI ATENEUM. Oboźna, 5.**